

ISSN 2083-4411

ROMAN

CZASOPISMO STUDENTÓW UJ

**numer specjalny
grudzień 2017**



ISSN 2083-4411

R O M M A N

CZASOPISMO STUDENTÓW UJ

**numer specjalny
grudzień 2017**

ROMAN. Czasopismo Studentów UJ

RADA NAUKOWA

prof. dr hab. Anna Bochnakowa
dr hab. Marzena Chrobak
dr hab. Monika Gurgul
dr hab. Kazimierz Jurczak
prof. dr hab. Waław Rapak
dr hab. Ewa Stala

OPIEKA NAUKOWA

dr Olga Bartosiewicz

RECENZENCI

mgr Marie Giraud-Claude-Lafontaine
dr hab. Mirosław Loba, prof. UAM
dr Iwona Piechnik
prof. dr hab. Waław Rapak
mgr Marek Sosna

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Paulina Batkiewicz, Łucja Hudy, Oktawia Koc, Magdalena Stankiewicz, Julia Więcko,
Natalia Wleklík (redaktor naczelna)

PROJEKT OKŁADKI

Julia Więcko (zdjęcie), Anna Polak (logotyp)

Copyright © by Redakcja, 2017

Czasopismo dofinansowane ze środków przyznanych w ramach dotacji na dofinansowanie zadań projakościowych na rok 2017 i 2018 dla Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

ISSN 2083-4411

Nakład 150 egzemplarzy

ROMAN. Czasopismo Studentów UJ

Instytut Filologii Romańskiej UJ

al. Mickiewicza 9A, 31-120 Kraków

Kontakt z redakcją: roman.redakcja@gmail.com

WYDAWCA

Wydawnictwo «scriptum»

Tomasz Sekunda

tel. 604 532 898

scriptum@wydawnictwoscriptum.pl

www.wydawnictwoscriptum.pl

Spis treści

Od redakcji5

Część I

„Wędrowki i tułaczki” – artykuły pokonferencyjne

Zofia Małyśa
Marcel Duchamp pakuje walizki7

Jagoda Siwińska
Francja elegancja, czyli podróż po paryskim świecie mody 17

Julia Więcko
O tym jak „Coco” została CHANEL.
Podróż w enigmatyczny świat francuskiej ikony mody 31

Natalia Wleklík
Wędrowka po świecie przedmiotów w twórczości Francisca Ponge’a
na przykładzie wybranych utworów 43

Agata Zielińska
Pogranicze brazylijsko-włoskie we włoskiej twórczości
Julio Monteiro Martinsa 53

Część II

„Vertiges” – recueil de nouvelles

Marie Giraud-Claude-Lafontaine	
Remarque préliminaire	65
1ère partie : Urgences	
La peur de l'irréparable	69
Un mystérieux miracle.....	77
Monographie lépidoptérologique.....	84
2ème partie : Vertiges du passé	
Les fantômes du passé	91
« N'aie pas peur ! »	95
3ème partie : Vertiges du présent	
« Bonne journée »	105
Deux petites filles	114
La cruauté enfantine	117
Mortelle devinette	122
4ème partie : Vertiges de l'absence	
Camille.....	129
Le chêne	138
Une chasse singulière	144
Le peintre	151
L'absence	157
5ème partie : Voyages à haut risque	
La passion	163
Un mystérieux voyage	167
Ce qui se passe quand tu commences à parler à une fourmi. . .	172
Le langage du désespoir	177

Od redakcji

Drogi Czytelniku,

od ostatniego specjalnego wydania „Romana” upłynęło już kilka lat. Numer, który trzymasz w dłoniach, jest wyjątkowy z dwóch powodów. Po pierwsze, jest on efektem zorganizowanej przez zespół redakcyjny i Koło Naukowe Rumunistów UJ ogólnopolskiej konferencji naukowej „Wędrówki i tułaczki”, która odbyła się 10 czerwca 2017 roku. Na pierwszą część „Romana” składają się artykuły, których treść mieliśmy okazję usłyszeć kilka miesięcy temu. Teksty, które tutaj odnajdziesz, w ciekawy sposób wykorzystują motyw podróży w literaturze, sztuce i modzie. Wierzę, że czerwcowa konferencja oraz opublikowane na łamach „Romana” artykuły są początkiem nowej tradycji naszego czasopisma i Instytutu Filologii Romańskiej.

Po drugie, w numerze tym chciałybyśmy docenić twórczość oraz ciężką pracę naszych koleżanek. I tak, druga część zawiera opowiadania studentek pierwszego roku filologii francuskiej naszego Instytutu zredagowane w ramach zajęć z praktycznej nauki języka francuskiego w roku akademickim 2016/2017, prowadzonych przez panią Marie Giraud-Claude-Lafontaine, lektorkę języka francuskiego oraz opiekunkę Grupy Teatralnej „Le français en action”. Teksty zostały zgromadzone pod tytułem „Vertiges” [fr. „zawroty głowy”, „lęk wysokości”, „upojenie”]. We wstępie poprzedzającym te krótkie, a tak pomysłowe i wciągające opowiadania, pani Giraud-Claude-Lafontaine pisze, że „Vertiges” są wyrazem zarówno poczucia samotności, niezrozumienia, żalu, jak i ogromnej chęci życia według własnych zasad. Z mojej strony mogę dodać, że są również symbolicznym przekroczeniem pewnej granicy, na której wielokrotnie dochodzi do gwałtownego zderzenia języka obcego i myśli, które chcielibyśmy w nim wyrazić.

W numerze specjalnym „Romana” znajdują się zatem artykuły naukowe i krótkie formy prozatorskie. Mam nadzieję, że lektura zgromadzonych

tu tekstów dostarczy Ci nie tylko przyjemności, ale też dodatkowej wiedzy o literaturze i kulturze krajów romańskich.

W imieniu redakcji chciałabym także podziękować dr Oldze Bartosiewicz za czas, który poświęca zespołowi „Romana”. Bez jej zaangażowania nie byłaby możliwa realizacja żadnego z naszych pomysłów.

Natalia Wleklík
redaktor naczelna

Zofia Małyśa

Marcel Duchamp pakuje walizki

Celem niniejszego artykułu, zatytułowanego *Marcel Duchamp pakuje walizki*, jest analiza wybranych aspektów związanych z projektem nazwanym przez francuskiego artystę mianem *La Boîte en valise* (*Pudełko w walizce*), czyli pierwszym w historii przenośnym muzeum sztuki. W pierwszej kolejności chciałabym poruszyć historyczny kontekst powstania Duchampowskiego muzeum w miniaturze, w drugiej pragnę omówić związki owej koncepcji z przednowoczesnymi praktykami kolekcjonersko-wystawienniczymi oraz jej nowatorstwo pod względem podejścia twórcy do prezentowania własnego dorobku artystycznego.

Koncepcja dzieła, stworzonego przez Duchampa w latach 1936-1940 (podany przedział czasowy dotyczy pierwszego egzemplarza *Pudełka w walizce*), oparta została na próbie zgromadzenia w jednej przestrzeni – w przestrzeni drewnianego pudełka ukrytego w skórzanej walizce o wymiarach 40.6 x 38.1 x 10.2 cm – wszystkich dotychczasowych prac artysty odwzorowanych w pomniejszonej skali. Owa monograficzna wystawa, obejmująca miniaturowe, autorskie reprodukcje umieszczone w niewielkiej, przenośnej przestrzeni, będąc przykładem oryginalnego stosunku awangardzisty do praktyk związanych z prezentacją własnych dzieł, stanowi również swego rodzaju zapis retrospektywnej podróży artysty oraz jego manifestację skierowaną przeciwko rozproszeniu i utracie tego, co należy

do domeny przeszłości. Wspominając ideę przyświecającą *Pudełku w walizce*, Duchamp opisywał:

Moim celem nie było już malowanie rzeczy nowych, lecz zreprodukowanie obrazów i obiektów, które lubię i zgromadzenie ich w tak małej przestrzeni, jak tylko to możliwe. Nie wiedziałem, jak się za to zabrać. Z początku myślałem o książce, ale ten pomysł nie zadowalał mnie. Wtedy wpadłem na to, że mogłoby to być pudełko, w którym bym zgromadził i rozmieścił moje prace jak w małym muzeum. Mówiąc krótko, takie przenośne muzeum¹.

W efekcie realizacji tego pomysłu na zawartość *Pudełka w walizce* złożyło się niemal siedemdziesiąt miniaturowych, wykonanych w technice fototypii, kolorowych reprodukcji obrazów stworzonych przez Duchampa w latach 1910–1923 oraz trzy pomniejszone repliki jego *ready-mades* z lat 1916–1919 (*Składany przedmiot podróżnika*, *Fontanna* oraz *Paryskie powietrze*)². Każda z miniatur, osobiście opracowana przez Duchampa (w bardzo czasochłonnej oraz wymagającej niezwyklej precyzji technice *pochoir*, która polega na własnoręcznym podmalowywaniu reprodukcji), opatrzona jest sygnaturą autora oraz notką informującą o tytule dzieła, materiałach, z których zostało ono wykonane, miejscu i dacie powstania (dane te dotyczą oryginałów, na podstawie których powstały reprodukcje oraz repliki). Warto nadmienić, że przygotowując kolekcję do swojego miniaturowego muzeum, artysta odbył liczne podróże w celu dokładnego zweryfikowania wyglądu oryginalnych dzieł (wymiarów, kolorystyka, detale, cechy szczególne), które wyszły spod jego ręki ponad dwie dekady wcześniej. Przykładowo, niedługo po rozpoczęciu prac nad *Pudełkiem w walizce*, w roku 1936, Duchamp udał się do kolekcjonerów posiadających lwią część jego artystycznego dorobku, hollywoodzkiego małżeństwa Arsenbergów, aby w towarzystwie profesjonalnego fotografa Sama Little'a sporządzić dokładną dokumentację swych prac, która po powrocie do Paryża posłużyła mu do jak najwierniejszego opracowania reprodukcji³. Innym razem, gdy osobista weryfikacja była niemożliwa, pragnąc upewnić się co do detali swych dzieł, Duchamp redagował listy z prośbami do właścicieli, by spo-

¹ Wywiad z J.J. Sweeneyem, przytoczony w: A. Schwartz, *The Complete Works of Marcel Duchamp*, Londyn 1969, s. 513, cyt. za: B. Buchloh, *Fikcyjne muzeum Marcela Broodthaersa*, tłum. J. Kisiel, [w:] *Muzeum sztuki. Antologia*, red. M. Popczyk, Kraków 2005, s. 491.

² D. Ottinger, F. Le Penven, *Marcel Duchamp dans les collections du Centre Pompidou – Musée national d'art moderne*, Paryż 2001, s. 100.

³ E. Bonk, *Marcel Duchamp, The Box in a Valise*, Mediolan 1989, s. 281.

rządzili oraz przesłali mu szczegółowe notki z opisami posiadanych prac oraz ich fotografie⁴.

Historia powstania *Pudełka w walizce* wiąże się jednak nie tylko z wozami odbywanymi przez Duchampa w celach artystycznych, lecz również z podróżami będącymi następstwem sytuacji politycznej, która doprowadziła w Europie do wybuchu II wojny światowej. W obliczu perspektywy nadchodzącego konfliktu zbrojnego, w 1938 roku Duchamp opuścił Paryż, by udać się na południe Francji, gdzie, nie zaprzestając prac nad swoim projektem, kontynuował wytwarzanie kolejnych reprodukcji przeznaczonych do *Pudełka w walizce*. Jak sugeruje Benjamin Buchloh: „nic dziwnego, że w obliczu nadchodzącej wojny Duchamp zaczął po prostu *pakować walizkę*”. Również Robert Lebel, autor biografii artysty, dowodzi, że rok przed wybuchem wojny Duchamp przewidział, iż powinien upakować swoje manatki „w tak małej przestrzeni, jak to tylko możliwe”⁵. Tezy te znakomicie korespondują ze słowami samego artysty, który, ukończywszy omawiane dzieło, zadeklarował, że wszystkie ważne rzeczy, które dotychczas stworzył, można pomieścić w niewielkiej walizce⁶.

W obliczu zaistniałego kontekstu wojennego, w związku z którym w 1939 roku Duchamp podjął decyzję o emigracji do Stanów Zjednoczonych, trwający cztery lata okres prac związanych z kompletowaniem *Pudełka w walizce* wydaje się z jednej strony przezornym „konstruowaniem własnej tożsamości poprzez zestawienie autocytatów”⁷, z drugiej zaś formą artystycznego eskapizmu, swego rodzaju ucieczki od koszmaru wojennych realiów. Wspominając ten okres po latach, artysta lubił opowiadać z wielkim entuzjazmem o tym, jak szmugłował elementy składowe swojego nietypowego bagażu z okupowanego Paryża na południe kraju, posługując się fałszywym paszportem sprzedawcy serów⁸. Duchamp podkreślał także, że mieszkając nieopodal Bordeaux, gdzie czekał na dopełnienie formalności związanych z planowaną emigracją, niemalże codziennie udawał się do pobliskiej drukarni, w której nadzorował powstawanie kolejnych elementów swego artystycznego przedsięwzięcia⁹. „Mało do jedzenia, lecz wiele słońca (...) Staram się skończyć moją skórzaną walizkę” – pisał wówczas Duchamp

⁴ Ibidem.

⁵ B. Buchloh, op. cit., s. 492.

⁶ D. Judovitz, *Déplier Duchamp: Passages de l'Art*, tłum. A. Delahèque, F. Joseph, Lille 2000, s. 12.

⁷ B. Buchloh, op. cit., s. 496.

⁸ Ibidem, s. 493.

⁹ Ibidem.

w liście do swego przyjaciela Georges'a Hugneta¹⁰. *Pudełko w walizce*, efekt czterech lat przygotowań odbywających się na zmiennych współrzędnych geograficznych, jawić się może zatem nie tylko jako rezerwuar konkretnych artefaktów, lecz także uruchamianych przez nie wspomnień.

Dzięki zaangażowaniu Peggy Guggenheim, przyjaciółki Duchampa, właścicielki słynnej nowojorskiej galerii Art of This Century, ukończone w 1940 roku dzieło dobiło do amerykańskiego portu kilka miesięcy przed jego twórcą, jesienią 1941 roku¹¹. Natomiast sam Duchamp, przepłynąwszy Atlantyk w roku 1942, po otwarciu zabranego w podróż bagażu rozpoczął wypakowywanie setek reprodukcji, które miały posłużyć mu do skompletowania na miejscu kolejnych egzemplarzy autorskiego muzeum, określanego niekiedy mianem „przenośnego labiryntu intymności”¹². W efekcie, do roku 1968, wyznaczającego datę śmierci Duchampa, artysta stworzył 312 analogicznych *Pudełek w walizce* pogrupowanych w kolejne edycje, na które złożyło się w sumie około 22 000 miniaturowych reprodukcji. W obliczu wspomnianego wątku emigracyjnego kwestia owej artystycznej „autofagii”, opartej na niemalże obsesyjnej, trwającej ponad trzy dekady multiplikacji własnych dzieł, wydaje się świadczyć o nieustannie ponawianej próbie zachowania oraz ożywiania pamięci o własnej przeszłości. Co więcej, ów długofalowy projekt może być także wyrazem fantomowego bólu, który odczuwał Duchamp, utraciwszy zarazem oryginały swoich prac¹³, jak i dostęp do większości miejsc, w których zostały one stworzone. O tym, że artysta traktował swój dorobek nie tylko w sposób konceptualny znakomicie świadczą następujące słowa: „wystawianie jednej rzeczy tu, innej tam jest jak amputowanie ręki i nogi w tym samym czasie”¹⁴. Gromadząc miniatury swoich dzieł w jednej przenośnej przestrzeni, Duchamp zapewnił sobie nieograniczony dostęp do tego, co fizycznie wydawało się nieodwracalnie utracone. Co więcej, warto dodać w tym kontekście, iż niepoahamowana potrzeba posiadania, tudzież kolekcjonowania obiektów, będąca wyrazem niepokoju związanego z rozproszeniem, świadczyć może także

¹⁰ J. Mileaf, *Boxes, books, and the Boîte en valise*, [w:] *A Transatlantic Avant-garde: American Artists in Paris, 1918–1939*, red. S. Lévy, Berkeley, Los Angeles 2003, s. 169.

¹¹ E. Bonk, op. cit., s. 282.

¹² S. Howard, *Hidden Naos: Duchamp Labirynt*, „Artibus et Historiae”, 1994, vol. 15, nr 29, s. 168.

¹³ Większość prac Duchampa niedługo po powstaniu stała się częścią prywatnych oraz publicznych kolekcji sztuki.

¹⁴ Wywiad z J.J. Sweeneyem, cyt. za: E. Bonk, *Capital M is for...*, „MoMA”, 1999, vol. 2, nr 4, s. 5.

o nostalgicznej potrzebie domu¹⁵. W przypadku Duchampa, którego los naznaczony został wojenną emigracją, niemalże obsesyjne multiplikowanie oraz gromadzenie własnych dzieł jawi się niczym nieustająca próba powrotu do własnych korzeni.

Odnosnie do struktury *Pudełka w walizce*, prekursorski charakter omawianej realizacji ujawnia się na wielu płaszczyznach, albowiem dzieło stworzone przez czołowego przedstawiciela XX-wiecznej awangardy stanowi nie tylko pierwsze w historii przenośne muzeum, lecz także pierwszą w historii muzealną przestrzeń ekspozycyjną, za charakter której w całości odpowiada jeden podmiot. Gromadząc reprodukcje własnych prac w pudełku zamkniętym w walizce, poprzez dosłowne umieszczenie ostatecznego przeznaczenia dzieła w samej definicji jego struktury, Duchamp staje się bowiem nie tylko artystą, którego *œuvre* prezentowane jest w ramach miniaturowej, przenośnej wystawy monograficznej, lecz także kolekcjonerem własnych dzieł oraz twórcą, kuratorem i właścicielem autorskiego muzeum. W świetle powyższych uwag koncepcja wypracowana przez Duchampa okazuje się bliska przednowoczesnym praktykom kolekcjonerskim, to znaczy nowożytnym gabinetom sztuki i osobliwości¹⁶. Zbiory gromadzone przez kolekcjonerów w *kunst-* i *wunderkammerach*, uznawanych za przednowoczesne źródła muzeów, podobnie jak w przypadku *Pudełka w walizce*, lokowane były w niewielkich, zamkniętych przestrzeniach prywatnych (takich jak witryny, gabloty, komody czy szafy), a ich elementy składowe oraz kształt ekspozycji zależne były jedynie od woli kolekcjonera. Celem tego typu założeń, powstających w Europie począwszy od XVI wieku, było stworzenie w jednej przestrzeni pomniejszonego, sprowadzonego do wymiarów oka modelu wszechświata¹⁷.

Podczas gdy nowożytni kolekcjonerzy stawiali sobie za cel zminiaturyzowanie całego uniwersum, włącznie z kośćmi olbrzymów i rogami prawdziwych jednorożców¹⁸, Duchamp w *Pudełku w walizce* postanowił skompletować własny dorobek artystyczny. W efekcie, dzięki zgromadzeniu pomniejszonych wersji niemalże wszystkich jego dzieł, możliwe stało się obcowanie z całym dorobkiem artysty w jednej czasoprzestrzeni. Poprzez

¹⁵ T. J. Demos, *Duchamp's Boîte-en-valise: Between Institutional Acculturation and Geopolitical Displacement*, Grey Room, „MIT Press”, 2002, nr 8, s. 24.

¹⁶ Szerzej o związkach tworzonych przez artystów muzeów z koncepcją nowożytnych gabinetów pisze J. Putnam w książce *Art and Artifact: The Museum as Medium*, Londyn 2009.

¹⁷ K. Pomian, *Zbieracze i osobliwości, Paryż – Wenecja XVI–XVIII wiek*, tłum. A. Pieńkos, Warszawa 1996, s. 96.

¹⁸ *Ibidem*, s. 69.

umieszczenie miniaturowej retrospektywy w podręcznej (oraz poręcznej) walizce, twórca uzyskał nieograniczony dostęp do swojego artystycznego uniwersum. Jako właściciel *Pudełka w walizce* Duchamp w dowolnej chwili mógł sięgnąć do jego wnętrza, by obcować z kryjącym się w środku zbiorem reprodukcji własnych dzieł, wierząc, że „przy dostatecznej koncentracji da się jeszcze raz synoptycznym spojrzeniem uchwycić zapadłe już za horyzontem krajobrazy czasu”¹⁹. Warto sprecyzować w tym miejscu, że na płaszczyźnie konceptualnej ekspozycyjny potencjał *Pudełka w walizce* opiera się na opracowanych przez Duchampa mechanizmach (takich jak stelaże, szyny, możliwe do ustawienia w pionie plansze przypominające ścianki działowe muzeum), dzięki którym znajdujące się w walizce elementy mogą być prezentowane w rozmaitych, dwu- oraz trójwymiarowych konfiguracjach. W efekcie cechą dystynktywną Duchampowskiego muzeum stanowi całkowita dowolność w zakresie jego aranżacji oraz, co równie ważne, wynikająca z niej nieskończoność rozwiązań wystawienniczych. Tak oto ze względu na sposobność nieustannych przetasowań i modyfikacji w obrębie układu przestrzennego dzieł, nie tylko przenośne muzeum, lecz także znajdująca się w jego wnętrzu kolekcja staje się ruchoma. Co ciekawe, w jednym z wywiadów artysta określił *Pudełko w walizce* mianem *aide-mémoire*²⁰, czyli pomocnika pamięci. Można w tym kontekście odnotować, że brak arbitralnie ustalonego, linearnego porządku prezentacji dzieł zgromadzonych w *Pudełku w walizce* wydaje się odzwierciedlać w pewien sposób działanie pamięci – w końcu „wspomnienia rzadko kiedy zachowują chronologię”²¹. Za sprawą strategii wystawienniczej opartej na braku odgórnie narzuconej narracji Duchampowskie *œuvre* – ów „chaos nieokreślonych możliwości”²² – podlega zatem nieustannej, z każdą próbą różnej, re-konstrukcji.

Stworzenie przez Duchampa autorskiego muzeum w przestrzeni obiektu o konotacjach bardziej podróźniczych aniżeli muzealnych jawi się również jako forma ucieczki od nowoczesnych, ujednoliconych form eksponowania sztuki. Wraz z rozwojem instytucji muzealnych, począwszy od XIX wieku, gdy zjawisko zakładania muzeów stało się fenomenem kulturowym i powszechnym, w jego wyniku „różnorodność, jaką odznaczały się ekspozycje prywatne, została zastąpiona wzorcem dającym się powielać, do

¹⁹ W.G. Sebald, *Tekstury snu. Przypisek do Nabokova*, [w:] idem, *Campo Santo*, tłum. M. Łukasiewicz, Warszawa 2014, s. 218.

²⁰ M. Duchamp, *Marchand du sel, écrits de Marcel Duchamp*, red. M. Sanouillet, Paryż 1958, s. 160.

²¹ S. Sikora, *Fotografia. Między dokumentem a symbolem*, Izabelin 2004, s. 163.

²² J.L. Borges, *Pamięć Szekspira*, tłum. D. Elbanowska, A. Elbanowski, Warszawa 2002, s. 157.

czego w dużej mierze przyczyniła się muzealna architektura²³. Ponadto kolekcja zamknięta w muzealnym gmachu użyteczności publicznej, gromadzona oraz prezentowana najczęściej według utartych schematów, przestała być wypadkową osobistych upodobań oraz fantazji kolekcjonera, który samodzielnie „ustalał kryteria doboru obiektów, a także dbał o to, by rozproszone w przestrzeni zostały skupione w jednym, przeznaczonym do tego celu miejscu”²⁴, jego zadania zastąpił bowiem rozbudowany aparat instytucjonalny. Podczas gdy nowożytny zbiory stanowiły wyraz subiektywnych fascynacji „świadomego, aktywnego podmiotu”²⁵, w przypadku muzeum jako instytucji publicznej, swoboda w zakresie kryteriów wyboru składowych kolekcji oraz ich organizacji ustąpiła na rzecz grupowej debaty prowadzonej przez ekspertów do spraw sztuki. Symptomy takiego sposobu myślenia znakomicie przedstawił Georges Perec w opowiadaniu zatytułowanym *Gabinet kolekcjonera*. Kolekcja należąca do protagonisty tego opowiadania, Hermana Raffke, składa się z dzieł wybranych nie tyle przez właściciela gabinetu, co przez jego doradców:

Herman Raffke zdawał sobie świetnie sprawę, jak niewiele wie o malarstwie, zarówno dawnym, jak i współczesnym (...) Właściciel wystrzegał się własnych upodobań i tylko nieliczna część dzieł zdradzała jego skrywane gusty. Nazywał je *Lieblingssünde* - czyli niewinne grzeszki²⁶.

Podążając tym tropem można stwierdzić, że nowoczesne muzeum uległo podobnym transformacjom. Jak notuje Maria Popczyk: „wraz z powstaniem instytucji publicznej sztuka została uwikłana w wielość dyskursów niedających się tak łatwo od siebie oddzielić, zarówno tych jawnie publikowanych, jak i tych skrytych”²⁷, albowiem „muzeum nie jest neutralnym medium dla sztuki o czysto estetycznej naturze, ale nadaje dziełu własne, pozaestetyczne konteksty w sposób bardziej lub mniej jawny”²⁸. Podczas gdy w tak rozumianym muzeum dzieło, wyjęte spod kontroli artysty i prze-transponowane na grunt instytucjonalny, stając się częścią większej kolekcji, zostaje pozbawione pierwotnego kontekstu²⁹, w przypadku *Pudełka*

²³ M. Popczyk, *Dialektyka początku i końca*, [w:] *Muzeum sztuki. Antologia*, red. M. Popczyk, Kraków 2005, s. 275.

²⁴ M. Mencfel, *Skarbce natury i sztuki. Prywatne gabinety osobliwości, kolekcje sztuki i naturalistów na Śląsku w wiekach XVII i XVIII*, Warszawa 2010, s. 7.

²⁵ Ibidem, s. 8.

²⁶ G. Perec, *Gabinet kolekcjonera*, tłum. W. Brzozowski, Kraków 2010, s. 39–40.

²⁷ M. Popczyk, op. cit., s. 273.

²⁸ M. Popczyk, *Wstęp*, [w:] *Muzeum sztuki. Antologia*, op. cit., s. 9.

²⁹ S. Rosenbaum, *Elisabeth Bishop and the Miniature Museum*, „Journal of Modern Literature”, 2005, vol. 28, nr 2, s. 65.

w walizce muzeum i jego zawartość połączone są w estetycznie zintegrowaną całość. Co wydaje się kluczowe w tym aspekcie, to fakt, iż jest to całość zależna jedynie od woli artysty, podlegająca „arbitralnej prywatności zarówno w sensie własności, jak i nadawania znaczeń”³⁰.

Gest Duchampa jako artysty, który stworzył dla własnych dzieł alternatywny, niezależny od zewnętrznych, instytucjonalnych ram kontekst wystawienniczy, znakomicie wpisuje się w krytyczny dyskurs wokół idei muzeum podejmowany przez kolejne awangardy XX wieku. Podczas gdy futuryści, przekonani, że wszystko, co należy do domeny przeszłości należy unicestwić, wzywali do palenia muzeów, a dadaiści oraz surrealiści, krytyczni wobec wszelkich przejawów kultury burżuazyjnej sugerowali, iż idea muzeum sprzeczna jest z naturą sztuki, Duchamp postanowił w twórczy sposób zredefiniować tradycyjne muzealne formuły, tworząc niezależną przestrzeń ekspozycyjną „skrojoną” na miarę własnych potrzeb. Warto nadmienić, iż za sprawą *Pudełka w walizce* Duchamp zainicjował w sztuce współczesnej tak zwaną „muzeologiczną tendencję”³¹, która zaowocowała w późniejszych dekadach wieloma przykładami alternatywnych przestrzeni ekspozycyjnych kreowanych przez artystów. Można uznać zatem, iż sprzeciwiając się wszelkim ograniczającym schematom w obrębie tworzenia oraz prezentowania sztuki, artystyczny eksperyment Duchampa stanowi wyraz dążeń do „uwolnienia artysty jako jednostki od nacisku zewnętrznego świata, w każdym aspekcie i na każdym poziomie – po to, by mogła się dokonać swobodna ekspresja, po to, by nie stać się więźniem czyjś wyobrażenia”³². W ten oto sposób w niewielkim pudełku ukrytym w niepozornej walizce zmaterializowane zostały nie tylko fantomowe bóle twórcy zmuszonego do rozstania się z oryginałami własnych prac oraz do opuszczenia ojczyzny, lecz także jego aspiracje – aspiracje artysty, który nieustannie dążył do poszerzania granic wolności jednostki i który ową wolność definiował jako: „wolność tworzenia, wolność środków i tematów artystycznych oraz wolność od ciasnego gorsetu tradycji”³³.

³⁰ B. Buchloh, op. cit., s. 495.

³¹ J. Putnam, op. cit., s.7.

³² P. Juskiewicz, *Wolność i metafizyka. O tradycji artystycznej twórczości Marcela Duchampa*, Poznań 1995, s. 8.

³³ *Ibidem*.

Bibliografia:

- Bonk E., *Capital M is for...*, „MoMA”, 1999, vol. 2, nr 4, s. 5.
- Bonk E., *Marcel Duchamp, The Box in a Valise*, Mediolan 1989.
- Borges J. L., *Pamięć Szekspira*, tłum. D. Elbanowska, A. Elbanowski, Warszawa 2002.
- Buchloh B., *Fikcyjne muzeum Marcela Broodthaersa*, tłum. J. Kisiel, [w:] *Muzeum sztuki. Antologia*, red. M. Popczyk, Kraków 2005.
- Demos T.J., *Duchamp's Boîte-en-valise: Between Institutional Acculturation and Geopolitical Displacement*, Grey Room, „MIT Press”, nr 8, 2002.
- Duchamp M., *Marchand du sel, écrits de Marcel Duchamp*, red. M. Sanouillet, Paryż 1958.
- Howard S., *Hidden Naos: Duchamp Labrynth*, „Artibus et Historiae”, 1994, vol. 15, nr 29.
- Judovitz D., *Déplier Duchamp: Passages de l'Art*, tłum. A. Delahèque, F. Joseph, Lille 2000.
- Juszkiewicz P., *Wolność i metafizyka. O tradycji artystycznej twórczości Marcela Duchampa*, Poznań 1995.
- Mencfel M., *Skarbce natury i sztuki. Prywatne gabinety osobliwości, kolekcje sztuki i naturalistów na Śląsku w wiekach XVII i XVIII*, Warszawa 2010.
- Mileaf J., *Boxes, books, and the Boîte en valise*, [w:] *A Transatlantic Avant-garde: American Artists in Paris, 1918–1939*, red. Sophie Lévy, Berkeley, Los Angeles 2003.
- Ottinger D., Le Penven F., *Marcel Duchamp dans les collections du Centre Pompidou – Musée national d'art moderne*, Paryż 2001.
- Perec G., *Gabinet kolekcjonera*, tłum. W. Brzozowski, Kraków 2010.
- Pomian K., *Zbieracze i osobliwości, Paryż – Wenecja XVI-XVIII wiek*, tłum. A. Pieńkos, Warszawa 1996.
- Popczyk M., *Dialektyka początku i końca*, [w:] *Muzeum sztuki. Antologia*, red. M. Popczyk, Kraków 2005.
- Putnam J., *Art and Artifact: The Museum as Medium*, Londyn 2009.
- Rosenbaum S., *Elisabeth Bishop and the Miniature Museum*, „Journal of Modern Literature”, 2005, vol. 28, nr 2.
- Sebald W.G., *Tekstury snu. Przypisek do Nabokova*, [w:] idem, *Campo Santo*, tłum. M. Łukasiewicz, Warszawa 2014.
- Sikora S., *Fotografia. Między dokumentem a symbolem*, Izabelin 2004.

Zofia Małysa – absolwentka historii sztuki oraz filologii romańskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, studentka pierwszego roku studiów doktorskich na Wydziale Filologicznym tejże uczelni. Tłumaczka, kuratorka, autorka esejów i tekstów do katalogów wystaw. Interesuje się współczesną sztuką oraz literaturą, przede wszystkim z obszaru Europy Środkowej i krajów romańskich. Dwukrotna przewodnicząca jury konkursu literackiego *Liste Goncourt: le choix polonais*.

Jagoda Siwińska

Francja elegancja, czyli podróż po paryskim świecie mody

Haute couture – wysokie krawiectwo – to dzisiaj termin prawnie zastrzeżony. Kryje się za nim wieloletnia tradycja francuskiego krawiectwa, wielkie nazwiska takie jak Chanel, Dior czy Saint Laurent oraz rzesze krawców i rzemieślników. Przemysł tekstylny zajmował silną pozycję we Francji już w czasach Ludwika XIV. Słynne słowa królewskiego ministra Jean-Baptiste’a Colberta: „Moda dla Francji jest tym, czym są kopalnie złota w Peru dla Hiszpanii”¹ padły w 1665 roku. Moda to nie tylko ubrania. Wiąże się z nią wiele zjawisk społecznych, historycznych oraz kulturowych, a Francja, jako kraj modą przesiąknięty, ma w tej kwestii wiele do powiedzenia.

Pierwsza i druga wojna światowa zmieniły nie tylko polityczną mapę Europy, ale także kobiecy strój. W latach emancypacji kobiet racjonalizacja ubioru zaczynała być szeroko dyskutowana, a lekarze zwracali uwagę na wygodę noszenia sukni, jej dopasowanie do ciała czy jej wagę. Wówczas rozpoczął się także niezwykle istotny proces wyzwolenia kobiet z gorsetów. W erze teatru nic tak nie przyciągało uwagi, jak kreacje noszone przez ak-

¹ P. Szaradowski, *Francja elegancja. Z historii haute couture*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2016, s. 5.

torki. Artystki, wedle ówczesnych zwyczajów, same odpowiadały za swoje kostiumy. Powojenny Teatr Mody, *Théâtre de la Mode*, to połączenie dwóch dziedzin sztuki, które przybierało formę teatralnych scenek przedstawiających stroje na zminiaturyzowanych manekinach. Zmiany oraz nowe trendy w modzie można zaobserwować również w kinie. Świetny przykład stanowi film Rogera Vadima *Barbarella*, w którym główna bohaterka, grana przez Jane Fonde, występuje w „wynalazku” lat sześćdziesiątych, minispódniczce, ukazując zmieniający się stosunek do nagości na ekranie.

Tak jak większość zjawisk, również *haute couture* nie uniknęło kryzysu. Głównym wyzwaniem dla świata mody lat sześćdziesiątych stało się nowe zjawisko, zwane *prêt-à-porter* („gotowe do noszenia”). Poza tym do walki o tytuł światowej stolicy mody stanęły Nowy Jork, Londyn oraz Mediolan, zagrażając w ten sposób niepodważalnej dotąd roli Paryża. W kwietniu 2016 roku w belgijskim Muzeum Mody w Hasselt podjęto próbę połączenia zwrotów *haute couture* oraz *prêt-à-porter*; tzw. *Haute-à-Porter* miało na celu zwrócenie uwagi na liczne podobieństwa tych dwóch rodzajów kolekcji. Była to także próba rozwiązania konfliktu dotyczącego roli i przeznaczenia mody.

Typy i ewolucja ubioru

Termin „odzież” oznacza okrycie ciała, podlega uwarunkowaniom natury materialnej, takiej jak klimat, zdrowie czy produkcja tekstylna. Pojęciem „ubiór” określa się natomiast formę stroju o określonym zastosowaniu. Wiąże się z uwarunkowaniami natury mentalnej, jak wierzenia religijne, estetyka, magia, pozycja społeczna, różnice rasowe czy chęć naśladownictwa. Wszystkie typy ubioru, pojawiające się w dziejach człowieka, prowadzą się do pięciu prawzorów:

- ubioru drapowanego, czyli luźnego
- ubioru zakładanego przez głowę
- ubioru szytego i zamkniętego
- ubioru szytego i otwartego
- ubioru dopasowanego, przylegającego do ciała².

W praktyce oznacza to, że ubiory czasów nowożytnych można zawsze zakwalifikować do jednego z typów lub że strój jest kombinacją kilku z nich.

W ewolucji ubioru można wyróżnić trzy zasadnicze fazy:

² F. Boucher, *Historia Mody. Dzieje ubiorów od czasów prehistorycznych do końca XX wieku*, Arkady, Warszawa 2012, s. 13.

- pierwsza faza obejmuje okres od starożytności do XIV wieku. Ubiór był zazwyczaj obszerny i fałdzisty, a poprzez różnorodność typów odzwierciedlał pozostałości funkcji magicznych i sakralnych.
- druga faza to okres od XIV do XIX wieku. Ubiór stawał się wtedy krótszy i bardziej dopasowany oraz nabierał charakteru osobistego i narodowego. W tej fazie narodziła się „moda” w dzisiejszym rozumieniu tego słowa.
- trzecia faza to czas znacznego rozwoju cywilizacyjno-przemysłowego, została zapoczątkowana w połowie XIX wieku i trwa do dziś. W związku z mechanizacją produkcji konfekcji oraz z europejskim ekspansjonizmem w sferze mody, ubiór stawał się coraz mniej osobisty, nabierając międzynarodowego charakteru³.

Haute couture

W połowie XIX stulecia zaczyna rozwijać się *haute couture*, które łączy w sobie „osobiste” cechy ubioru z wymogami zmieniającej się mody. Za oficjalne narodziny zjawiska *haute couture* jako usankcjonowanej instytucji społecznej uważa się jednak rok 1945, kiedy to powstaje *Chambre Syndicale de la Haute Couture* (Izba Mody *Haute Couture*), o przynależności do której decyduje francuskie Ministerstwo Przemysłu. Dosłownie „wysokie krawiectwo” skierowane jest do określonej grupy społecznej, żyjącej w luksusie i znającej potęgę pieniądza. *Haute Couture* wystawia swoje kolekcje dwa razy do roku – projekty wiosenno-letnie przedstawiane są w styczniu, natomiast jesienno-zimowe w lipcu. Propozycje mają swój własny, indywidualny styl, szyk oraz są zgodne z tradycyjnymi technikami wysokiego krawiectwa. Za ojca *haute couture* powszechnie uważany jest angielski projektant mody Charles Frederick Worth, działający we Francji. To on przekształcił wykwintne krawiectwo z rzemiosła w biznes⁴.

Związek mody z historią – moda obu wojen światowych oraz okresu międzywojennego

1. I wojna światowa

Pierwsza wojna światowa zmieniła podejście francuskich projektantów do mody, zwłaszcza w zakresie kobiecego ubioru. Propagatorów *haute*

³ Ibidem, s. 17.

⁴ M. Fogg, *Style w modzie. Od Chanel do Versace*, Buchmann, Warszawa 2013, s. 8.

couture interesowało głównie ubieranie kobiet z towarzystwa, ale najważniejsze zmiany w modzie często dokonywały się poza Paryżem. Francuska projektantka Coco Chanel, która od 1915 roku rewolucjonizowała damską modę, sprzedawała stroje będące często adaptacją męskich fasonów. Zaistniała sytuacja stawiała kobietom nowe wyzwania – wiele z nich pomagało przy opiece nad rannymi lub pracowało w miejscach wymagających siły fizycznej. Chanel wychodziła naprzeciw tym potrzebom i projektowała proste, miękkie, dżersejowe ubrania, nie tylko dla dam z wyższych sfer. Nowe materiały, kolory oraz fasony powodowały chęć posiadania „czegoś od Chanel”. Zmiany w świecie mody zachodziły również poza *haute couture*, wykształcając współczesną formę damskiego kostiumu – *tailleur*. Wraz z popularnością noszenia żakietu i spódnicy, uszytych z tego samego materiału, wzrosło znaczenie noszonych do nich bluzek. Skrócona spódnica oraz praktyczny fason damskiego żakietu (z licznymi kieszeniami), przypominający męską marynarkę, szybko zostały docenione przez kobiety i noszone również w okresie powojennym. W modzie męskiej można zaobserwować luźne marynarki oraz zwężające się ku dołowi spodnie dające swobodę ruchu⁵.

2. Lata międzywojenne

W latach 1920–1925 ubiór wyzwolił się z odniesień do mody *belle époque*. Najbardziej charakterystycznym strojem w tym okresie była prosta suknia typu tunika, z dekoltem, bez rękawów i koronek, sięgająca nieco poniżej kolan. Kapelusz, tzw. klosz, był głęboki, nasunięty aż na oczy, często pozbawiony kwiatów i piór. Strój zewnętrzny stanowił prosty płaszcz lub okrycie przeciwdeszczowe oraz mocno wycięte pantofle. Suknie wieczorowe, w porównaniu do poprzedniej epoki, były znacznie krótsze, luźne, z dekoltem z tyłu, zakładane przez głowę bez zapięcia⁶. Zdobione były wielobarwnym haftem oraz piórami, przymocowanymi do cienkich krepdeszynów i żorżet oraz lśniły od paciorków i pajetek (kolorowych pozłacanych lub posrebrzanych cekinów). Na długość sukien, jak zauważył francuski projektant Jean Patou, w okresie „szalonych lat dwudziestych” wpłynęło upodobanie do tańca w rytmie *charlestona* i *black bottom*⁷.

W okresie międzywojennym kobiety coraz częściej podejmowały pracę zawodową oraz rozwijały swoje artystyczne i sportowe zainteresowa-

⁵ P. Szaradowski, op. cit., s. 67–69.

⁶ F. Boucher, op. cit., s. 398.

⁷ B. Behlen, *La Belle Époque i złote lata jazzu*, [w:] *Moda. Wielka księga ubiorów i stylów*, red. B. Marcus, Arkady, Warszawa 2014, s. 256.

nia, takie jak taniec, gra w tenisa lub golfa, pływanie czy podróżowanie. Powstawały nawet kreacje przeznaczone specjalnie do wyjścia na plażę lub na kort tenisowy (zdj. 1), a co za tym idzie kobiecy strój stawał się bardziej praktyczny i swobodny. Skróceniu uległa spódnica, gorset został zastąpiony biustonoszem i pasem do pończoch, zaczęto ignorować talię oraz biust. W tym czasie coraz modniejsza stawała się krótka, gładka fryzura typowa dla stylu „chłopczycy”⁸. Pojęcie to określało w latach dwudziestych XX wieku oraz długo po zakończeniu pierwszej wojny światowej kobietę przeciwstawiającą się obowiązującym ówczesnie kanonom piękna oraz stanowiło oderwanie od konwencji epoki wiktoriańskiej. Oprócz noszenia charakterystycznego ubioru, chłopczyce prowadziły niezależny (jak na tamte czasy) styl życia, promowany przez samą Coco Chanel.



1. Suzanne Lengeln w stroju do tenisa zaprojektowanym przez Jean-Alexandra Patou, 1926

3. II wojna światowa

Wybuch II wojny światowej w 1939 roku położył kres szykownym kreacjom i spowodował znaczne spustoszenie na paryskiej scenie mody. Twórcy *haute couture* projektowali stroje pomimo wprowadzenia przepisów ograniczających ilość tkanin przeznaczonych do szycia odzieży czy talonów na kupno sztucznego jedwabiu. Skutkiem nałożonych restrykcji było zamknięcie wielu domów mody, a salony, które pozostały otwarte, odczuwały wyraźne braki materiałów oraz spadek zainteresowania towarem. Wzrosło natomiast zaciekawienie modą militarną, a damskie kostiumy często stylizowano na mundury – żakiety miały watowane ramiona oraz duże kieszenie, talia podkreślona była paskiem, a spódnica została skrócona⁹. Lucien Lelong, prezes *Chambre Syndicale de la Haute Couture*, starał się

⁸ F. Boucher, op. cit., s. 399.

⁹ A. Fukai (red.), *Moda. Historia Mody XX w.*, Taschen/TMC Art, Kolonia 2012, s. 10–11.

utrzymać pozycję paryskiej mody w świecie i nie dopuścić do przeniesienia przemysłu modowego z Paryża do Berlina lub Wiednia, tak jak zamierzali zrobić to Niemcy. Twórcy bardzo zależało na utrzymaniu paryskich tradycji, gdyż twierdził, że opierają się one nie tylko na domach mody i projektantach, ale również na rzemieślnikach gotowych zrealizować najśmielsze pomysły. Zagrożenie nadciągało również ze strony Stanów Zjednoczonych, które liczyły na całkowite zniknięcie francuskiego *haute couture* oraz na sukces rodzimych projektantów¹⁰.

Związek mody ze zjawiskami społecznymi – emancypacja kobiet

Pierwsza wojna światowa uczyniła wdowami około pół miliona kobiet, co zmieniło ich pozycję społeczną – powstał nowy status oraz wizerunek kobiety powojennej. Kobieta powojenna otrzymała prawo do głosowania w wyborach, miała odwagę do walki o własną wygodę i komfort oraz do ubierania się wedle własnego uznania. Ponadto obcinała włosy, nosiła stroje maskujące sylwetkę i publicznie paliła papierosy.

Jednak jeszcze kilkadziesiąt lat wcześniej, w pierwszej połowie XIX wieku, ignorowano potrzeby kobiet na wyżej wymienionych płaszczyznach. Dopiero Charles Worth, dbając o komfort swoich klientek, zmienił krój sukni na krynolinie, spłaszczając jej kształt z przodu oraz zapoczątkowując w ten sposób dyskusje dotyczące ruchu i gimnastyki. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych zaczęto się zastanawiać nad racjonalizacją ubioru – zwracano uwagę na rodzaj materiału oraz jego wagę. W świecie lekarskim omawiano tematy związane z higieną i zdrowiem kobiety oraz dopasowaniem bielizny, zwłaszcza gorsetu, do ciała. Zmiany społeczne dotyczyły również domów mody. Ch. Worth szył tzw. *tea gowns* na zamówienia klientek (zdj. 2). Luźniejsze suknie domowe umożliwiały lżejsze sznurowanie gorsetów, ale wciąż pozostawały na tyle strojne, aby móc w nich przyjmować gości.

Jeanne Margaine-Lacroix po raz pierwszy zaproponowała *robes-sylphides* zwane także *robes sans corset* (suknie bez gorsetu) pod koniec XIX wieku (zdj. 2). Do stworzenia kreacji używano jedwabnych dzianin, w które wszywane były fiszby. Zmniejszona liczba warstw bielizny wysmuklała sylwetkę kobiety, ale jednocześnie zdradzała jej ewentualne mankamenty.

¹⁰ B. Behlen, *Od przepychu glamour do funkcjonalności*, [w:] *Moda. Wielka księga ubiorów i stylów*, red. B. Marcus, Arkady, Warszawa 2014, s. 270.

Nowy strój wywołał skandal, kiedy aktorki pojawiły się w nim na scenie. Konserwatywna część widowni uznała bowiem, że artystki wyglądały, jak gdyby sukienki przykleiły się do ich ciał, albo, co gorsza, jak gdyby w ogóle nie założyły bielizny pod kostiumy.



2. Tea gown w The Metropolitan Museum of art, House of Worth, 1900–1901 (lewa strona) i robe-sylphides zaproponowana przez Jeanne Margaine-Lacroix, ok. 1907 r. (prawa strona)

Związek mody ze sztuką – Powojenny Teatr Mody

W roku 1944 w Paryżu odbyła się zwycięska parada wojsk alianckich. Niestety, militarny sukces i uwolnienie spod okupacji miało także swoje złe strony. Wprowadzone ograniczenia dotyczyły już nie tylko materiałów, ale niemal wszystkiego: jedzenia, prądu, wody, paliwa. Miało to duże znaczenie dla projektantów mody, którym wciąż zależało na dobrej opinii francuskiego krawiectwa. Utrudnienia w organizowaniu pokazów czy w zapraszaniu zagranicznych gości tylko pogarszały sytuację. Dziennikarz Paul Caldauguès wpadł jednak na pewien pomysł, który zrealizował syn projektantki Niny Ricci – Robert. Jego wizja polegała na przedstawieniu kolekcji na miniaturowych lalkach-manekinach. *Théâtre de la Mode*, czyli Teatr Mody, miał za zadanie pokazać różne rodzaje strojów, od sportowych po balowe, w formie scenek. R. Ricci mógł sobie pozwolić na zatrudnienie najlepszych specjalistów do realizacji projektu: dyrektorem artystycznym oraz scenografem

został Christian Bérard, światła ustawiał Boris Kochno, a dekoracje wykonali francuscy artyści pod opieką Jeana Cocteau. Eliane Bonabel wykonała manekiny, które miały głowy odlane z gipsu oraz korpusy z drutu. Modele mierzyły zaledwie 70 cm, więc problem zużycia tkanin został rozwiązany. Zadanie samego szycia nie było jednak proste, gdyż pracownice niechętnie pomniejszały kostiumy, a najwięcej pracy przypadło na wyjątkowo srogą zimą na przełomie lat 1944–1945. Wykonywanie obowiązków w takich warunkach, przy nieregularnej dostawie prądu czy opału, było wysoce uciążliwe. Ostatecznie przygotowano 180 manekinów, ubranych w kreacje *haute couture*, a przygotowane z nich scenki wystawiono w Luwrze. Oficjalne otwarcie wystawy miało miejsce 27 marca 1945 roku. Scenografie składały się z miejsc nawiązujących do paryskich uliczek, niektóre wykazywały cechy surrealizmu, a ostatnia z nich – scena trzynasta – z przepychem prezentowała suknie balowe. Przedsięwzięcie okazało się strzałem w dziesiątkę, a wystawę zwiedziło łącznie 100 tys. osób. *Théâtre de la Mode* podróżował potem po Anglii, Hiszpanii, Danii, Szwecji oraz Austrii. Dotarł także do Stanów Zjednoczonych. Pomimo tego, że Teatr Mody we wszystkich tych miejscach wzbudzał ogromne zainteresowanie, to jego sukces artystyczny niestety nie przełożył się na zarobki domów mody. Projektanci musieli zacząć obmyślać nową strategię działania¹¹.

Pret-à-porter

W latach sześćdziesiątych XX wieku masowa produkcja oraz konsumpcja osiągnęły pełnię rozkwitu. Był to również okres ważnych wydarzeń społecznych i politycznych. W 1961 roku Jurij Gagarin okrążył Ziemię, w 1963 roku został zamordowany prezydent USA John Kennedy. W maju 1968 roku w Paryżu odbyła się rewolta studencka, a w 1969 roku Neil Armstrong stanął na Księżycu. Wydarzenia te miały wpływ na młodzież, która szukała nowych wzorów i pomysłów na życie, a swoje emocje i dążenia wyrażała m.in. za pomocą ubioru oraz fryzur. Mężczyźni nosili jaskrawe stroje z koronkami i falbankami oraz długie włosy. W modzie okres ten został nazwany *The Peacock Revolution* („pawia rewolucją”) lub rewolucją dzieci kwiatów. Hipisi negowali tradycyjny system społeczny i moralny, poszukiwali inspiracji w innych kulturach i religiach, a szczególnym symbolem młodzieżowego buntu stały się dżinsy. W 1966 roku Yves Saint Laurent, jeszcze jako młody projektant, otworzył butik *prêt-à-porter*, w którym wy-

¹¹ P. Szaradowski, op. cit., s. 106–107.

promował damskie spodnie wyjściowe (zdj. 3). Obok hipisowskiej naturalności wprowadzał do swoich kolekcji trendy mody ulicznej – T-shirty oraz znoszone džinsy. W latach sześćdziesiątych została wynaleziona również minispódniczka, za twórców której uważani są Mary Quant i André Courrèges.

Loty w kosmos nie pozostały niezauważone przez projektantów mody. Pierwszym, który zaraził się „kosmiczną gorączką”, był A. Courrèges. Paleta barw, którą wykorzystywał w swojej twórczości – zimna biel, czerwień, czern i zieleń – kojarzyła się jednoznacznie. Artysta był zwolennikiem płaskiego obuwia, które uważał za dużo praktyczniejsze niż buty na obcasie. O krok dalej w czerpaniu inspiracji z kosmosu poszedł francuski projektant o hiszpańskich korzeniach – Paco Rabanne. Artysta ten wychodził z założenia, że jedynie technologia może wnieść coś zupełnie nowego na modowy rynek. Świetnym przykładem jego twórczości jest film *Barbarella* wyreżyserowany w 1968 roku przez Rogera Vadima. Główna bohaterka, tytułowa Barbarella, jest kobietą wyzwoloną, symbolem rewolucji seksualnej. Kostiumy zaprojektowane przez P. Rabanne’a na potrzeby produkcji – połączone ze sobą na kształt sukienek metalowe lub plastikowe płytki – niestety nie odniosły sukcesu w realnym świecie.

W latach 1960–1970 nastąpiło wiele zmian w zarządzaniu przemysłem modowym oraz zróżnicowanie typów ubiorów. Magazyny modowe zmieniły swój wygląd – ilustracje zostały zastąpione przez zdjęcia, często o zabarwieniu erotycznym. Mnogość form spowodowała, że w 1970 roku w modzie zapanowała anarchia¹². Dla światowej gospodarki coraz większy problem stanowiło wyczerpywanie się zasobów surowców. W ramach odpowiedzi zaczęto doceniać tzw. ubrania „z drugiej ręki”. Przykład stanowi Martin Margiela, belgijski projektant, który rozpoczął swoją karierę w Paryżu w 1989 roku. Artysta wciąż przerabiał swoje projekty i wielokrotnie przedstawiał te same stroje w ramach protestu przeciwko wyrzucaniu starych ubrań¹³.

Rozkwit kultury masowej i produkcji sztucznych tkanin spowodował, że *prêt-à-porter* zyskało uznanie w świecie mody. Pokazy zaczęły odbywać się w latach siedemdziesiątych – najpierw projektanci przedstawiali swoje kolekcje dwa razy do roku wyłącznie w Paryżu, a później również w Mediolanie, Nowym Jorku, Londynie oraz Tokio. W latach sześćdziesiątych *haute couture* wciąż wyznaczało trendy, ale czasy masowej konsumpcji

¹² J. Ruppert, *Le costume français*, Flammarion, Paris 2007, s. 396–397.

¹³ A. Fukai (red.), op. cit., s. 163.

cji zbliżały się wielkimi krokami. Od tej pory wszystko, co pojawiało się w świecie muzyki oraz sportu, miało wpływ na modę. Odzież gotowa była wprawdzie znana już od XIX wieku, ale ubrania były wtedy słabej jakości. *Prêt-à-porter* wychodziła naprzeciw zapotrzebowaniu tłumów na produkty w przystępnej cenie, które jednocześnie zadowalały poziomem wykonania.



3. Yves Saint Laurent, kolekcja *Le Smoking* wiosna/lato 1967

Haute-à-Porter

W 2016 roku w Muzeum Mody w belgijskim Hasselt otwarto wystawę *Haute-à-Porter* (zdj. 4). Tytuł, będący oczywiście połączeniem zwrotów *haute couture* oraz *prêt-à-porter*, miał za zadanie zwrócić uwagę na podobieństwa, które łączą te dwa rodzaje kolekcji. Jeśli przyjrzeć się dokładnie pokazom mody *haute couture* i *prêt-à-porter*, czasami trudno dostrzec między nimi różnice. Podział utrzymywany kiedyś, gdy określano jeszcze *prêt-à-porter* jako propozycje ubiorów do noszenia, a *haute couture* jako stroje do podziwiania, dziś już nie istnieje. Obecnie główna różnica pomiędzy tymi dwoma zjawiskami dotyczy kwestii formalnych. Po pierwsze, o tytuł *haute couture* mogą starać się wyłącznie projektanci zatwierdzeni przez *Chambre Syndicale de la Haute Couture*. Jeśli ktoś posłużyłby się tym określeniem bez spełnienia powyższego warunku, zostałby pociągnięty do odpowiedzialności karnej. Kolejną kategorią jest technika wykonania – aby być członkiem luksusowej izby mody, należy utrzymywać pracownię krawieckie. Wykorzystywanie nowoczesnych technologii nie jest oczywiście

zabronione, ale nie może ono wykluczać pracy ludzkich rąk. Wiele technik stosowanych w wysokim krawiectwie ma swoje źródła w XVIII wieku. Dziś wiele szwów wykonuje się na maszynach, a do zadań krawcowych należy wyłącznie wykańczanie ubioru. Kolejny wyznacznik stanowi rozłożenie kosztów produkcji – w przypadku ubrań szytych na miarę, koszt w całości ponosi klient. W przypadku *prêt-à-porter* rozkłada się on na uszyte sztuki. Nie oznacza to, że ubiory gotowe do noszenia są dostępne dla wszystkich – ich ceny również mogą sięgać do kilku tysięcy euro. Wciąż jednak jest to nieporównywalne z *haute couture*, w którym ceny rozpoczynają się od 10000 euro, bez górnej granicy¹⁴.



4. Fragment ekspozycji wystawy Haute-à-Porter w Muzeum Mody w Hasselt, 2016

Podsumowanie

We wrześniu 2014 roku Jean-Paul Gaultier zrezygnował z projektowania kolekcji *prêt-à-porter*. Stwierdził on, że rezygnuje z linii ubrań gotowych do noszenia, ponieważ wyłącznie *haute couture* daje twórcom wolność artystyczną. Projektant pozostaje otwarty na współpracę z innymi markami, ale jego decyzja pokazuje, że wielkie krawiectwo wciąż zajmuje wysoką

¹⁴ P. Szaradowski., op. cit., s. 205–207.

pozycję we Francji. Posiadanie wpływu na to, co jest noszone na ulicach okazuje się mniej kuszące niż utrzymywanie tradycji. O ile *prêt-à-porter* jest zjawiskiem międzynarodowym, *haute couture* występuje wyłącznie w Paryżu. Projektanci traktują poważnie to, że jednym z celów *Chambre Syndicale de la Haute Couture* jest utrzymanie wizerunku stolicy Francji również jako stolicy świata mody.

Moda nigdy wcześniej nie była tak dobrze udokumentowana jak teraz, kiedy to portale społecznościowe oraz Internet pozwalają śledzić najnowsze trendy na bieżąco. Klienci mogą dokonywać zakupów online, nawet podczas pokazu kolekcji. Konsekwencją przemysłu globalnego jest trudność w rozróżnieniu pomiędzy projektantem „jednego sezonu” a artystą, który pozostawi po sobie trwały ślad w świecie mody. Tych ostatnich jest być może niewiele, ale jakość zapewne rekompensuje ich ilość¹⁵.

Na koniec należy przywołać jeszcze dom mody *Maison Chanel*, ponieważ żadna inna instytucja nie przyczyniła się w tak znacznym stopniu do ratowania francuskiego *haute couture*. Wciąż jednak wielu projektantów decyduje się na przeciwny zwrot w karierze niż Jean-Paul Gaultier czyli współpracę z markami komercyjnymi. Przykład stanowi Karl Lagerfeld, który w 2004 roku podpisał umowę ze szwedzką siecią sklepów *H&M*. Mężczyzna rozpoczął w ten sposób cykliczną współpracę marki ze sławnymi projektantami. Przybliżanie się do świata wielkiej mody jest jednak tylko złudzeniem – prawdziwy luksus wciąż pozostaje dostępny dla niewielu.

Nie ulega wątpliwości, że krawiectwo to współcześnie dziedzina sztuki, która oprócz walorów estetycznych jest sposobem wyrażenia własnej indywidualności. W szerszym kontekście stanowi ona niezwykle ważny nośnik informacji społecznej oraz historycznej, a także jest nierozdzielnie związana z innymi środkami artystycznego wyrazu.

¹⁵ M. Fogg, *The Fashion Design Directory*, Thames&Hudson, London 2011, s. 21–27.

Bibliografia:

- Boucher F., *Historia mody. Dzieje ubiorów od czasów prehistorycznych do końca XX wieku*, Arkady, Warszawa 2012.
- Ffoulkes F., *How to read fashion. A crash course in understanding styles*, A&C Black Publishers Limited, London 2010.
- Fogg M., *Style w modzie. Od Chanel do Versace*, Buchamann, Warszawa 2013.
- Fogg M., *The Fashion Design Directory*, Thames&Hudson, Londyn 2011.
- Fukai A. (red.), *Moda. Historia Mody XX w.*, TASCHEN/TMC Art., Kolonia 2012.
- Hancock J. H., Johnson-Woods T., Karaminas V., *Fashion in popular culture: Literature, Media and Contemporary studies*, University of Chicago Press, Chicago 2013, <http://eds.b.ebscohost.com/eds/detail/detail?sid=c8d56e0f-cb7d-4006-8894-83544a34853e%40sessionmgr113&vid=0&hid> [dostęp 05.08.2017]
- Hendrykowski M., *Film i moda*, Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2011.
- Marcus B. (red.), *Moda. Wielka księga ubiorów i stylów*, Arkady, Warszawa 2014.
- Ruppert J., *Le costume français*, Flammarion, Paris 2007.
- Szaradowski P., *Francja elegancja. Z historii haute couture*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2016.

Źródła fotografii:

1. <http://www.le-connoisseur.com/en/p/63/suzanne-lenglen-first-female-french-open-tennis-champion-and-ambassador-of-elegance-a-la-francaise> [dostęp 20.05.2017].
2. <http://www.metmuseum.org/art/collection/search/157330> [dostęp 22.05.2017].
<https://fromthebygone.wordpress.com/tag/belle-epoque-fashion/> [dostęp 22.05.2017].
3. <http://lamode.info/historia-yves-saint-laurent-czesc-2.html> [dostęp 20.05.2017].
4. Szaradowski P., *Francja elegancja. Z historii haute couture*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2016, s. 204.

Jagoda Siwińska – studentka IV roku Międzywydziałowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych, w ramach których łączy filologię włoską z kierunkiem wiedza o teatrze oraz psychologią. Obecnie przebywa na wymianie studenckiej Erasmus + na Université Paris-Sorbonne we Francji. Pasjonatka sztuki, przysłuchująca się echem obecności powstałej w XVI w. komedii dell'Arte we współczesnym teatrze włoskim, francuskim oraz polskim. Członek akademickiej grupy teatralnej „Le français en action” oraz Koła Naukowego Romanistów.

Julia Więcko

**O tym jak „Coco” została CHANEL.
Podróż w enigmatyczny świat francuskiej ikony mody**



1. Dłonie Chanel, 1938, fot. A. Kertész

Temat Coco Chanel to bez wątpienia temat niebezpieczny. Owiany legendą podsycaną przez kontrowersje i sprzeczne ze sobą fakty. Tajemniczy i niezbadany, mimo dziesiątek książek, które poruszają najważniejsze aspekty życia i twórczości Chanel. Temat enigmatyczny, bo sama Coco tego chciała. Pragnęła zostać legendą otoczoną aurą tajemniczości, więc sama swoją legendę stworzyła już za życia. Jej składowe to oczywiście wszystkie rewolucjonizujące świat mody projekty, ponadczasowy styl i minimalistyczna estetyka. To także podkoloryzowane lub kompletnie zmyślane historie, które opowiadała o swojej przeszłości. W końcu, to jej osobowość i siła charakteru, którym zawdzięcza swój sukces.

Zadziwiające, jak niewiele wiemy o kobiecie, która tak namacalnie zmieniła naszą rzeczywistość. W społecznej świadomości krążą utarte klisze, które zasadniczo mają odzwierciedlenie w rzeczywistości, jak na przykład mimowolne skojarzenie Chanel ze sztucznymi perłami, tweedem czy perfumami. Gdyby jednak były to jedyne jej osiągnięcia, nie określilibyśmy jej mianem jednej z najważniejszych kobiet XX wieku.

Aby poznać jej prawdziwą historię, trzeba wyruszyć w świat. I to właśnie od tego rozpoczyna się dyskurs dotyczący motywu podróży w twórczości francuskiej projektantki. Aby dowiedzieć się, jak wojaże inspirowały Coco w jej pracy artystycznej, musimy podążać jej śladem. Najlepiej do Paryża, ale nie tylko. Na naszej liście powinien znaleźć się także Londyn z Victoria and Albert Museum, gdzie na własne oczy można zobaczyć klasyki światowej historii mody. Ponadto powinniśmy udać się do Grasse, miasteczka na południu Francji, które nazywamy światową stolicą perfumiarstwa; dookoła do dziś ciągną się całe pola porośnięte jaśminem i różami na użytek domu mody Chanel. Nie zapomnijmy też o Lozannie, mieście we francuskiej części Szwajcarii, położonym nad Jeziorem Genewskim. Ulubionym miejscem wypoczynku Coco, która przebywała na emigracji w latach 1939–1954, był niedostępny dla przeciętnego turysty Hôtel Beau Rivage Palace położony tuż nad jeziorem, charakteryzujący się pięknymi żółtymi zasłonami. Będąc na miejscu, koniecznie trzeba zajrzeć na cmentarz porośnięty wysokimi drzewami, gdzie zgodnie ze swoją wolą spoczywa Coco. Na minimalistyczny nagrobek składa się płyta nagrobna z białego kamienia z pięcioma wygrawerowanymi lwami (jej znakiem Zodiaku) i dywan drobnych białych kwiatów zamiast płyty nagrobnej, wszystko oczywiście według projektu Chanel.

Najważniejszy i zarazem najbardziej przewidywalny element tej geograficznej układanki (zwanej nota bene Geografią Chanel¹, czyli wszystkimi miejscami, gdzie do dziś unosi się „duch” projektantki) to światowa i najważniejsza stolica mody: Paryż. To tutaj narodziło się Haute Couture i to tu, po dziś dzień, z całego świata nadciągają młodzi adepci krawiectwa i projektowania z konkretną wizją. Przyjeżdżają nie tylko po to, żeby szyć, kroić, ciąć i modelować, ale żeby zrobić coś, co udało się Coco: wykreować swój własny styl i z powodzeniem narzucić go innym.

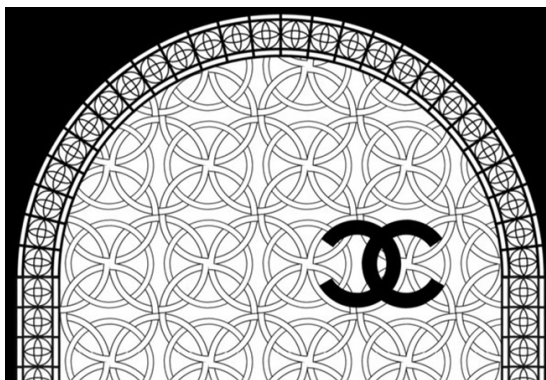
CHANEL, słowo, które elektryzuje kobiety na całym świecie, jeszcze sto lat temu było anonimowym nazwiskiem jednej z wychowanek francuskiego sierocińca. Jej podróż na szczyt świata mody rozpoczęła się niepozornie, a zakończyła się spektakularnym sukcesem, który tworzy do dziś renomę domu mody. Bez wątpienia można powiedzieć, że całe jej życie było wędrówką, zawsze kroczyła do przodu na przekór obyczajom i przyjętym przez społeczeństwo zasadom. Podróże zaś w sensie dosłownym stanowiły istotną część jej życia, a przede wszystkim dostarczały wielu inspiracji, które nadawały niepowtarzalnego charakteru jej kolekcjom.

Zacznijmy w Aubazine, czyli w opactwie cysterskim, gdzie znajdował się sierociniec prowadzony przez zakonnice, w którym Coco spędziła 6 lat swojej młodości. Po śmierci chorującej na gruźlicę matki, opuszczona przez ojca-hulakę, wraz z dwiema siostrami została pozostawiona w drzwiach klasztoru, zaś jej dwaj bracia zostali odesłani na farmę. Później miała w zwyczaju opowiadać, że ojciec zostawił ich wszystkich, by wyjechać do Ameryki, zrobić karierę, zarobić mnóstwo pieniędzy i wrócić po cierpliwie i kochające dzieci. To ewidentne kłamstwo było powtarzane przez nią tyle razy, że sama najprawdopodobniej uwierzyła w tę wersję wydarzeń, co w zasadzie pozwoliło jej przetrwać. Mówi się, że wszystkie zmyślane historie o szczęśliwym dzieciństwie pomogły jej uporać się z traumą sieroctwa, w przeciwieństwie do jej dwóch sióstr, które po latach popełniły samobójstwo.

Klasztorna rzeczywistość dawała się we znaki młodej Gabrielle. Dni naznaczone rutyną upływały na modlitwie, pracy i wypełnianiu różnych obowiązków. To właśnie tam nauczyła się szyć. Codziennie w drodze na jutrznię, idąc korytarzami o surowej klasztornej estetyce przyglądała się minimalistycznemu witrażowi. Przypomniała sobie o nim po kilku latach, podczas tworzenia logo swojego domu mody. To właśnie zapętlone C, od-

¹ F.-C. Prodhon, *L'univers nomade de Coco Chanel*, „Connaissance des Arts”, 2007, nr 648, s. 63.

bite niczym w zwierciadle, zostało wykorzystane przez nią jako motyw przewodni całej jej twórczości – logotyp CC jak Coco Chanel. Była to jej mimowolna podróż w przeszłość, odwołanie się do rzeczywistości, która ją ukształtowała.



2. Witraż w Aubazine oraz Chanel na plaży w 1912, fot. Archives Chanel

Uważa się, że ascetyczna i powściągliwa estetyka Aubazine wyrobiła gust młodej projektantki na całe życie. Czerń i biel, kolory charakterystyczne dla domu mody prawdopodobnie miały swoje źródło w kolorystyce habitów. Minimalizm, prostota i geometryczne formy, motywy gwiazd na posadzce i ozdoby liturgiczne – te wszystkie inspiracje znajdują wyraźne odbicie w jej twórczości na przestrzeni lat.

To jednak nie koniec podróży w przeszłość i w czasy młodości. Wydawać by się mogło, że nieelegancko jest mówić o kwestiach sercowych w kontekście dorobku artystycznego, natomiast w przypadku Chanel jest to nieuniknione. Jej życie uczuciowe było bardzo ściśle powiązane z różnorodnymi podróżami i nowymi doświadczeniami, a w konsekwencji, stało się czynnikiem zauważalnie wpływającym na estetykę i styl jej kolekcji.

Po osiągnięciu pełnoletniości Gabrielle opuściła sierociniec i z pomocą siostr zakonnych znalazła zatrudnienie w szwalni w jednym z miast garnizonowych Owernii, w Moulins. Wieczorami, aby dorobić trochę grosza do marnej pensji, występuje w kabarecie zwanym Rotundą jako „przerywnik” pomiędzy ważniejszymi numerami. Zna tylko dwie piosenki „Ko-Ko-Ri-Ko” i „Qui qu’a vu Coco dans Trocadéro”. Słowo, które powtarza się w obydwu utworach to „Coco”. Przylega do niej ta nazwa i po krótkim czasie towarzystwo zapomina o jej prawdziwym imieniu: to w ten sposób rodzi się pseudonim, który pozostanie z nią przez całe życie. Na widowni kabaretu zasiada Étienne Balsan, młody, przystojny i błyskotliwy dziedzic ogromnej

fortuny. Dostrzega ją, zakochuje się, zaprasza Coco do swojej posiadłości na obrzeżach Paryża i tak rozpoczyna się jej przygoda z wielkim światem. Największą pasją Étienne, poza kobietami i przyjęciami, jest jazda konna. To właśnie materiał wykorzystywany do strojów jeździeckich powróci jako inspiracja kultowej pikowanej torebki Chanel 2.55 (jej premiera miała miejsce w lutym 1955).

W czasie pobytu w Royallieu, podczas jednego z przyjęć, Coco poznaje młodego milionera, gracza polo, Arthura Capela, zwanego Boyem. Imponuje jej swoim intelektem, humorem, a także pracowitością, mimo ogromnej fortuny, którą posiadał. Oboje są sierotami, pasjonują się literaturą, rozumieją się doskonale. Siłą rzeczy wybucha między nimi gorące uczucie. W szafie Boya Coco znajduje nieznaną jej dotąd materiał przywieziony z Anglii: jersey, bardzo wygodny, wówczas noszony jedynie przez mężczyzn, co miała zamiar zmienić. Podczas wspólnej podróży do Biarritz zachwyca się strojami marynarzy i na ich wzór projektuje swetry w paski i dopasowane spodnie dla kobiet. To początek modywej rewolucji. Niedługo swoimi minimalistycznymi i wygodnymi projektami zdetronizuje ogromne, niepraktyczne i bufiaste suknie, w których według niej kobiety wyglądały jak krzesła w stylu Ludwika XIV².



3. Coco nad morzem w strojach inspirowanych marynarzami, 1936,
fot. V.H. Grandpierre

² S. Degunst, *Coco Chanel : Citations*, Éditions du Huitième Jour, Paris 2008, s. 29.

Kilka lat później Chanel udaje się rozpropagować prostą czarną sukienkę zwaną dziś „małą czarną”. Według niektórych biografów miałyby to być sukienka żałobna, która wyrażała smutek po utracie miłości jej życia – w Boże Narodzenie 1919 r. Boy ginie w wypadku samochodowym. To możliwa hipoteza, gdyż w tamtych latach czerń była tylko kolorem żałoby lub charakteryzowała ubiór służby. Konsekwencja w noszeniu czerni przez Chanel sprawiła, że zaczęła kojarzyć się ona z elegancją, a wręcz stała się jej synonimem. By podnieść się po utracie Boya, Coco wyruszyła do Wenecji wraz ze swoją przyjaciółką Misią Sert. Dzięki tej podróży mogła odetchnąć, a także zainspirować się estetyką odwiedzanego miejsca: weneckie lwy gościły na stałe jako motyw guzików przyszywanych do jej kostiumów. Później możemy mówić chociażby o „latach rosyjskich”, kiedy jej projekty były zdominowane przez hafty, futra oraz złoto i biżuterię w stylu bizantyjskim. Ta inspiracja to skutek związku z księciem Dymitrem Romanowem.

Chanel była związana także z księciem Westminsteru, który w tym czasie był jednym z najbogatszych mężczyzn w Wielkiej Brytanii. Miał zwyczaj posyłać po nią pusty pociąg do Paryża, aby w komfortowych warunkach mogła przyjechać go odwiedzić. Coco miała silny charakter, co bardzo mu się podobało. Uwielbiali podejmować razem wszelkie aktywności fizyczne: spacerować, polowania czy połowy łososia w towarzystwie samego Winstona Churchilla. To w garderobie księcia Westminsteru Coco dostrzegła tweed, który postanowiła wykorzystać jako bazę do swojego słynnego *tailleur* – kostiumu ze spódnicą.

Projekty Chanel „podróżowały” nawet za Ocean, już w latach dwudziestych była doceniana przez amerykańskiego *Vogue’a*, a w latach trzydziestych podjęła krótką, aczkolwiek intensywną współpracę z Hollywood. Kiedy zaś uznała, że jej miejsce znajduje się jednak w Europie, a Ameryka nie jest w stanie sprostać jej oczekiwaniom, to klientki udawały się w podróże w celu dokonywania przymiarek. W kostiumy z metką CHANEL ubierały się między innymi Jackie Kennedy, Grace Kelly, Marlene Dietrich czy Elizabeth Taylor. Do legendy przeszła też historia z Brigitte Bardot w roli głównej: gwiazda wykończona przymiarkami w atelier Coco, gdzie spędziła kilka godzin na wysokich obcasach, w apogeum irytacji obróciła się na pięcie i niespodziewanie wyszła.

Pomysły Gabrielle odznaczały się nie tylko minimalistyczną elegancją, ale także ogromną wygodą, a to dlatego, że sama prowadziła aktywny tryb życia. Chciała czuć się swobodnie w ubraniach, które nosiła i dokładnie wiedziała, jak połączyć wygodę z elegancją. Z założenia produkowany

przez nią kostium miał służyć klientkom przez dziesięć lat, dlatego dbałość o każdy detal była konieczna. Wierzyła w ideę „drugiej skóry”, którą według niej miało być ubranie. Każdy najmniejszy szczegół był dopracowany do perfekcji. Do dziś w archiwach paryskiego Muzeum Mody wiszą kostiumy z lat pięćdziesiątych, które zachowały się w stanie niemalże nienaruszonym mimo intensywnego użytkowania.

Praktyczna strona tworzonych ubrań była niemalże jej obsesją. Podczas przymiarek Chanel kazała modelkom schylać się głową do kolan, następnie udawać bieg za odjeżdżającym autobusem i wskakiwanie na platformę; modelki musiały symulować także wsiadanie do taksówki³. Jej czujne spojrzenie śledziło każdy ruch i każde nieprawidłowe zgięcie materiału, które natychmiastowo poprawiała, rozpruwała, odcinała. Po atelier poruszała się zawsze z nożyczkami na wstążce owiniętej wokół szyi. Zawsze gotowa do poprawek, nawet kilka minut przed pokazem. Szczyciła się faktem, że jako jedna z niewielu kobiet w zmaskulinizowanym środowisku projektantów sama może nosić swoje projekty i tak robiła. Wbrew pozorom nie gloryfikowała konsumpcjonizmu. Produkowała wprawdzie perfumy, kosmetyki i ubrania, ale miała w szafie tylko trzy kostiumy i często podkreślała wagę dbałości zarówno o wnętrze jak i wygląd zewnętrzny. Istotne jest przy tym to, że detronizując bufiaste sukienki „bezy”, wprowadziła modę na wygodne ubrania dla kobiet, dzięki czemu podróżowanie i aktywny tryb życia oraz wyrażanie siebie stały się łatwiejsze.

W 1928 r. Coco zbudowała willę w stylu śródziemnomorskim na wybrzeżach Roquebrune-Cap-Martin, gdzie wraz ze swoimi paryskimi znajomymi udawała się na wypoczynek (często odwiedzał ją np. Salvador Dalí), chociaż sama szczerze nienawidziła idei wakacji jako takich: najczęściej pracowała od rana do wieczora w swoim paryskim atelier, a klucze do willi udostępniała przyjaciółom. Zwykła mawiać, że najciekawsze podróże odbywa leżąc na kanapie w swoim apartamencie przy ulicy Cambon i czytając. Chanel w fenomenalny sposób łamie stereotyp osoby, która interesuje się jedynie ubraniami. Potrafiła spędzać godziny, zaczytując się w światowej klasycie literatury. Lubiła zwłaszcza tę francuską, angielską i rosyjską. Przyjaźniła się z artystami i w ogromnej dyskrekcji rozwiązywała ich problemy finansowe. W kręgu jej znajomych możemy wymienić takie nazwiska jak: Cocteau, Stravinsky, Picasso, Diaghilev, Reverdy, Morand, Apollinaire czy Visconti. Miejscem ich spotkań były często paryskie kawiarnie lub jej apartament, który służył tylko do celów wypoczynkowo-towarzyskich.

³ L. Marquand, *Chanel ma dit*, JC Lattès, Paris 1990, s. 74–75.



4. Mniej znane oblicze Coco,
fot. R. Schall



5. Chanel i Daí,
fot. C. Beaton

W kontekście podróży ciekawy jest fakt, że przez 30 lat życia za dom służył jej oddalony o kilka minut od ulicy Cambon słynny Hotel Ritz położony przy nie mniej znanym Placu Vendôme. Podobno spała właśnie tam, gdyż bała się samotności w pustym apartamencie. Dziś można spędzić noc w jej pokoju hotelowym za co najmniej 20 tysięcy euro za noc. Na szczęście nie trzeba płacić za przespacerowanie się po Placu Vendôme, którego kształt był inspiracją do stworzenia zakrętki flakonu perfum Chanel N°5. To perfumy, których skomponowanie Coco zleciła „nosowi” Ernestowi Beaux. Dzięki licznym podróżom odkrył on nieznanne dotąd kompozycje zapachowe. Zgodnie z życzeniem Coco, zapach miał być czystą abstrakcją, a więc nie mógł przypominać niczego, co dotychczas znane. Wyzwanie zakończyło się sukcesem, a mieszanka ponad 80 składników pozwoliła na uzyskanie niespotykanego dotąd efektu, który zachwyca do dziś. Są to najlepiej sprzedawane perfumy na całym świecie.

W 1937 roku Coco zaprojektowała kolekcję biżuterii z motywami kosmicznymi, by chociaż metaforycznie zbliżyć się do nieosiągalnych gwiazd, które ją fascynowały. „Chciałam pokryć kobiety konstelacjami”⁴ – mówiła, a w rozmowach z dziennikarzami podśmiewywała się z idei podróży kosmicznych. Tu zresztą kolejny raz ujawnia się jej słabość do otaczających ją motywów. Wśród ciał niebieskich możemy dostrzec gwiazdy, komety, księżyce. Ponadto powtarzające się w ówczesnej kolekcji tematy to wstążki, kokardy czy frędzle. Wszystko to, by nadać lekkości ciężkiej strukturze kamienia. Co ciekawe, biżuteria, którą stworzyła z setek diamentów, była niezwykle funkcjonalna. Naszyjnik można było rozłożyć na części i nosić jako broszkę i bransoletę, zawieszki można było przekształcić w broszki, kolie w diademy. Sama jednak nigdy nie nosiła swoich diamentowych projek-

⁴ I. Fiemeyer, *Chanel Intime*, Flammarion, Paris 2011, s. 102.

tów, gdyż wolała biżuterię osobistą, którą często dostawała w prezencie od ukochanych. Szmaragdy, rubiny czy perły były jej ulubionymi kamieniami. Z wielką pewnością promowała także sztuczną biżuterię, podkreślając, że „nie liczy się karat, tylko iluzja”⁵.



6. Coco w trakcie pracy, 1937,
fot. R. Schall



7. „Kometa”, 1932,
fot. R. Bresson

Coco Chanel stworzyła swoją własną legendę. Jej składową jest świat ukształtowany z symboli, którymi lubiła się otaczać. Ich echa znajdujemy nie tylko w kolekcjach, także jej mieszkanie jest miejscem, w którym odbijają się jej gusta, pasje i wspomnienia. Wszechobecny numer 5 to jej szczęśliwa liczba (wszystkie pokazy odbywały się piątego dnia miesiąca), widać go na przykład na okuciuczy zyrandolu zaprojektowanego specjalnie dla niej. Liczne parawany Coromandel z lakowanego chińskiego drewna (często ozdobione kameliami, jej ulubionym kwiatem) to dowód na fascynację Orientem, o którym z pasją opowiadał jej Boy. Na stołach i półkach lwy - jej znak Zodiaku, a także motyw, którego źródłem jest podróż do Wenecji. Następnie snopy zboża, symbol dobrobytu, mimowolnie kojarzony z czasem dzieciństwa i wymagowanymi historiami o kochającym i troskliwym ojcu. W końcu mnóstwo książek, często z dedykacjami od autorów, których znała osobiście oraz piękne meble. Chanel nie uznawała przepychu w ubiorze; w dekoracji wnętrz – wręcz przeciwnie. To właśnie w tym miejscu, poza atelier, spędzała najwięcej czasu i pragnęła, żeby przypominało jej najpiękniejsze wspomnienia.

Podróż w enigmatyczny świat Coco Chanel jest podróżą wielowymiarową. Warto zwrócić uwagę na jej pomysły, które nigdy nie wychodzą z mody: małą czarną, kostium ze spódnicą, sztuczną biżuterię, pikowaną

⁵ F. Baudot, *Chanel Joaillerie*, Assouline, Paris 2003, s. 5–6.

torebkę na łańcuszku, beżowe czófenka z czarnym noskiem czy perfumy Chanel N°5. Świat Coco to także wszelkie symbole, które mnożą się w jej kolekcjach: głowa lwa, kamelia, snop zboża, cyfra 5, perły czy gwiazdy. Odkrywanie wszelkich powiązań i znaczeń, które znajdowały się w jej otoczeniu i znajdowały swoje echa w kolekcjach domu mody to praca niemalże detektywistyczna, która pozwala dostrzec, jak wiele inspiracji Coco czerpała z podróży odbytych przez siebie lub swoich przyjaciół.

Zachęcona przez przyjaciół z kręgów literackich, w swoim notesie zapisywała maksymy i przemyślenia dotyczące otaczającej ją rzeczywistości. „Nie czas się liczy, lecz to, co z nim robimy”⁶. Odkrywanie tego, co Chanel zrobiła ze swoim czasem to fascynująca wędrówka.



8. Chanel w swoim apartamencie, 1962, fot. D. Kirkland

⁶ Cytat pochodzi z krótkiego filmu promocyjnego zrealizowanego przez dom mody Chanel. Każdy z rozdziałów przedstawia kluczowy dla twórczości Coco element stylistyki, bądź najważniejsze wydarzenia z jej życia. Całą kolekcję filmów krótkometrażowych można bezpłatnie zobaczyć na oficjalnej stronie w języku angielskim lub francuskim. *Chapitre 19: Le temps Chanel*, <http://inside.chanel.com/fr/time-of-chanel> [dostęp 17.05.2017].



9. Słynny kostium, fot. Archives Chanel

Bibliografia:

- Aveline F., *Chanel Parfum*, Assouline, Paris 2003.
Baudot F., *Chanel Joaillerie*, Assouline, Paris 2003.
Baxter-Wright E., *Le petit livre de Chanel*, Eyrolles, London 2012.
Bott D., *Chanel, Collections & Créations*, Ramsay, Paris 2005.
Charles-Roux E., *Le temps Chanel*, Chêne/Grasset, Paris 1979.
Degunst S., *Coco Chanel : Citations*, Éditions du Huitième Jour, Paris 2008.
Dela Haye A., Tobin S., *Chanel, the couturiere at work*, Victoria and Albert Museum, London 1994.
Fiemeyer I., *Chanel Lénigme*, Flammarion, Paris 2016.
Fiemeyer I., *Chanel Intime*, Flammarion, Paris 2011.
Floch J.-M., *L'indémoudable total look de Chanel*, IFM Éditions du regard, Paris 2004.
Galante P., *Les années Chanel*, Paris Match, Paris 1972.
Gautier J., *Chanel, Figures de style*, Éditions de la Martinière, Paris 2011.
Koda H., Botton A., *Chanel*, The Metropolitan Museum of Art, New York 2005.
Marquand L., *Chanel m'a dit*, JC Lattès, Paris 1990.
Mauriès P., *Les bijoux de Chanel*, Éditions de la Martinière, Paris 2012.
Morand P., *L'allure de Chanel*, Gallimard, Paris 1996.
Picardie J., *Chanel sa vie*, Steidl, Göttingen 2011.
Prodhon F.-C., *L'univers nomade de Coco Chanel*, « Connaissance des Arts », 2007, nr 648, s. 63–66.

Ternon F., *Histoire du N°5 de Chanel, Un numéro intemporel*, Éditions Normant, Nantes 2009.

Vilmorin L., *Mémoires de Coco*, Gallimard, Paris 1999.

Źródła fotografii:

1. <http://ojoacromatico.blogspot.com/2013/08/andre-kertsez-maestro-de-maestros.html> [dostęp 01.11.2017].
2. <http://inside.chanel.com/fr> [dostęp 01.11.2017].
3. <https://www.violetgrey.com/violet-files/beauty-lessons/maintenance-rules-by-coco-chanel> [dostęp 01.11.2017].
4. <http://chanel-news.chanel.com/en/home/2016/08/chanel-in-the-garden-at-la-pausa-roquebrune-cap-martin.html> [dostęp 01.11.2017].
5. <https://thegenealogyofstyle.wordpress.com/category/photography/page/21/> [dostęp 01.11.2017].
6. <https://www.pinterest.fr/pin/496803402618954627/> [dostęp 01.11.2017].
7. <http://www.vogue.fr/joallerie/a-lire/diaporama/les-bijoux-chanel-joallerie-au-fil-des-pages/9471> [dostęp 01.11.2017].
8. http://www.lexpress.fr/styles/diapo-photo/styles/mode/mademoiselle-coco-chanel-par-douglas-kirkland_849607.html [dostęp 01.11.2017].
9. <http://inside.chanel.com/fr> [dostęp 01.11.2017].

Julia Więcko – studentka filologii francuskiej UJ. Sercem i myślą rozdarta między Śląskiem, Krakowem i Paryżem, gdzie spędziła ostatni rok, analizując życiorys i dorobek Coco Chanel. Uwielbia musicale, zbiera znaczki z bajkami i w wolnych chwilach robi zdjęcia starą Yashicą.

Natalia Wleklik

Wędrowka po świecie przedmiotów w twórczości Francisca Ponge'a na przykładzie wybranych utworów

„Idee nie są moją najmocniejszą stroną. (...) Zachwycają mnie za to przedmioty ze świata zewnętrznego. Zagadują mnie czasem zniemacka, ale nigdy nie troszczą się o moją aprobatę. Z miejsca ją uzyskują. Nigdy nie podają ich w wątpliwość.”¹ – napisał w *My Creative Method*² Francis Ponge, francuski poeta, którego najbardziej znany, a także przełomowy dla niego samego zbiór poezji, nosi tytuł *Le parti pris des choses*, czyli *Po stronie rzeczy*. Głównym celem artykułu jest z jednej strony analiza filozoficzna wybranych utworów, z drugiej zaś analiza językowa. Oba podejścia pozwolą nam na udanie się w wędrowkę po uniwersum przedmiotów ze wspomnianego wyżej tomu, przedmiotów znajdujących się zawsze w centrum twórczości poetyckiej F. Ponge'a. Przedmioty stanowią niejednokrotnie także przyczynek do rozważań o charakterze filozoficznym i metajęzykowym, ale przedostanie się do ich „głębin” należy zacząć od próby przebiccia się

¹ F. Ponge, *My creative Method*, tłum. J. M. Kłoczowski, „Literatura na Świecie”, 2006, nr 9–10, s. 119.

² *My creative Method* to swoista *ars poetica* F. Ponge'a, napisana w czasie jego pobytu w Sidi-Madani w Algierii między 1947 a 1948 rokiem. Poeta nadał tekstowi angielski tytuł.

przez skorupę języka. Artykuł ma za cel ukazanie związku poety z filozofią i retoryką oraz przybliżenie jego metody twórczej. Zabiegi, na których się skupimy, a w które bogate są utwory Ponge'a, dotyczą operowania na poziomach etymologicznym oraz wizualnym czy też typograficznym. Wybrane przykłady posłużą do wejścia w świat rzeczy pozornie znanych i zdefiniowanych, ale przez Ponge'a oglądanych z innej perspektywy.

Le parti pris des choses ukazuje się w roku 1942, zawiera jednak wiersze pisane przez Ponge'a na przestrzeni co najmniej ostatnich dziesięciu lat³. Warto podkreślić, że sam poeta ma wówczas 43 lata i ten właśnie zbiór 32 utworów, wyróżniający się na tle innych tomów poetyckich, zapewnia mu rozpoznawalność i sprawia, że Ponge zajmuje nareszcie znaczące miejsce na scenie literackiej ówczesnej Francji. Wzbudza zainteresowanie takich malarzy jak Pablo Picasso i Georges Braque, z którymi utrzymuje przyjacielskie kontakty. Czas powstania, który dzieli poszczególne utwory, może dawać mylne wrażenie niejednorodności i sugerować rozbieżność między Pongem młodzieńcem a Pongem dojrzałym mężczyzną. Jednak lektura *Po stronie rzeczy* odsłania główny przedmiot zainteresowania i ukształtowany styl tego poety. Ponge poświęca się w całości rzeczom i językowi. *Le parti pris des choses* traktuje o przedmiotach małych, prostych, prymitywnych, takich jak ostryga, otoczek, mech, krewetka, ale też wytworzonych przez człowieka jak papieros czy świeczka. Znajdziemy w tym tomie również utwory o zjawiskach atmosferycznych i procesach zachodzących w naturze, np. o deszczu czy wegetacji, oraz o przedstawicielach gatunku ludzkiego. Pojawia się w tym zbiorze utwór o młodej matce, gimnastyku i biednych rybakach. Należy także wspomnieć o utworach dotyczących miejsc.

Skąd zatem zestawienie różnych elementów świata (zjawisk atmosferycznych, ludzi, miejsc, obiektów natury) w jednym tomie pod tytułem *Po stronie rzeczy*? Już na tym poziomie stykamy się z problemem, który Ponge starał się ukazać w swojej twórczości. Przyjmuje on taką samą metodę patrzenia zarówno na mech, jak i na matkę. Rzecz to przecież „materialny element otaczającego nas świata”⁴, a matka, gimnastyk, rybacy, deszcz czy krewetka mają swoją materialność. I choć wszystkie są w jednakowym stopniu

³ Utwory z *Le parti pris des choses* są pisane przede wszystkim w latach 30. XX wieku, choć niektóre z nich powstają znacznie wcześniej, np. *Le Galet* [Otoczek] w 1928. Tom jest gotowy do druku już w roku 1938, jednak wybuch wojny w 1939, a w związku z tym mobilizacja Ponge'a, niweczą plany autora. Zbiór ukazał się ostatecznie w serii *Métamorphose* wydawnictwa Gallimard. Była to seria zawierająca krótkie utwory (100–140 stron) młodych pisarzy, którym trudno było zaistnieć na rynku wydawniczym.

⁴ Hasło: ostryga, [w:] *Uniwersalny Słownik Języka Polskiego*, PWN, Warszawa 2003.

przedmiotem postrzeżenia zmysłowego, ich ogłąd nie jest zbudowany na jednakowych zasadach. Na matkę patrzymy przez pryzmat słowa, na którym osiadły warstwami społeczno-kulturowe znaczenia. Ponge buntuje się przeciw temu. Według niego język powinien być sprzymierzeńcem w patrzeniu na świat. Dla niego słowa są równie realne i materialne co przyroda i świat zewnętrzny⁵. Po stronie rzeczy (*le parti pris des choses*) to także branie pod uwagę słów (*le compte tenu des mots*) oraz zajmowanie stanowiska przeciwko czemuś innemu. Po stronie rzeczy czyli przeciwko ideom.

Perspektywa Ponge'a w przyglądaniu się przedmiotom jest wyjątkowa. Z jednej strony jest to perspektywa myśliciela materialisty, o czym pisał Jean-Paul Sartre⁶, z drugiej zaś poety, który jest fenomenologiem natury⁷. Ponge'owi bowiem bliskie są przedmioty, z całą ich sensualnością i ciężkością istnienia, ale także obarczone tym, co zdążyła o nich powiedzieć nauka. Akceptuje ich samoobecność, a nawet samoistność rozumianą jako istnienie niezależne od ludzi. I jak gdyby podążając za hasłem „do rzeczy samych”, nie poddaje się spekulacjom, czyli językowi wraz z jego nieścisłościami, które namiętnie demaskuje i stara się ująć rzeczy takie, jakimi one są, jakimi się ukazują. J.-P. Sartre sugeruje niekonsekwencję Ponge'a w takim podejściu do przedmiotów, stąd też wspomniane przez niego napięcie. Fenomenolog wypowiada się o świecie jak naukowy materialista. Ponge stara się wziąć w nawias to, co już wiadomo o danej rzeczy, ujmuje ją własność po własności, aby dostrzec jej ogólną formę, ale dopuszcza w wielu utworach głos nauki. Branie w nawias wiedzy o świecie nie jest zawsze możliwe oraz dla Ponge'a nie stanowi ani punktu wyjścia, ani celu. Jest to niekonsekwencja, na którą może on sobie pozwolić jako poeta. Sam zresztą nigdy nie odwoływał się do konkretnych idei i kierunków filozoficznych jako do nadrzędnych źródeł, z których czerpał inspiracje. Daleko mu do jakichkolwiek ideologicznych deklaracji w kwestiach pisarskich: „Idee nie są moją najmocniejszą stroną. Nie umiem się nimi swobodnie posługiwać. To raczej one posługują się mną. Budzą we mnie jakiś wstręt lub mdłości. Nie lubię przebywać w ich towarzystwie.”, pisze poeta⁸. To ze świata zewnętrznego, namacalnego, czerpie najwięcej. Przypatrzmy się *Ostrydze*, która jest jednym z wielu przykładów jego fascynacji światem zewnętrznym.

⁵ F. Ponge, Ph. Sollers, *Rozmowy Francisa Ponge'a z Philippe'em Sollersem*, tłum. E. Wieleżyńska, „Literatura na Świecie”, 2006, nr 9–10, s. 253.

⁶ J.-P. Sartre niedługo po zapoznaniu się z *Le parti pris des choses* napisał w 1944 roku esej o Ponge'u i jego metodzie pisarskiej. Esaj zatytułował *L'homme et les choses*.

⁷ J.-P. Sartre, *Człowiek i rzeczy*, tłum. T. Swoboda, „Literatura na Świecie”, 2006, nr 9–10, s. 105.

⁸ F. Ponge, *My creative Method*, op. cit., s. 119.

*Uniwersalny Słownik Języka Polskiego PWN*⁹ podaje następującą definicję „ostrygi”: ostryga «wł. ostrica» «Ostrea, małż morski o ciele osłoniętym dwuczęściową skorupą wapienną przyrośniętą do podłoża, żyjący w morzach przybrzeżnych ciepłych i umiarkowanych, tworzący ławice, poławiany i hodowany dla celów kulinarnych».

W *Le parti pris des choses* znajdujemy taką oto „definicję” ostrygi:

OSTRYGA

Ostryga ma wielkość średniego otoczaka, ale jej powierzchność jest bardziej chropowata, a połyskliwie białawy kolor mniej jednolity. Mamy tu do czynienia ze światem trwającym w uporczywym zamknięciu. Daje się go jednak otworzyć: w tym celu trzeba uchwycić ostrygę przez ścierkę i wielokrotnie posłużyć się wyszczerbionym, niezbyt ostrym nożem. Przy tym mało subtelnym zajęciu kaleczą się ciekawskie palce i łamią paznokcie. Uderzenia zadawane ostrydze zostawiają na jej okrywie białe kółka przypominające aureole.

W środku odkrywamy osobny świat, bogaty w płyny i pożywienie: pod firmamentem (mówiąc dosłownie) z macicy perłowej górne niebo przyniata swym ciężarem niebo dolne, w wyniku czego tworzy się bajoro, ośliżgły, zielonkawy worek obrzębiony czarną frędzlą, który przy pływa i odpływa od powonienia do wzroku.

Niekiedy – bardzo rzadko – w opalizującej gardzieli perli się foremny twór, gotowa ozdoba¹⁰.

Dla porównania przytoczmy tekst oryginalny:

L'HUITRE

L'huitre, de la grosseur d'un galet moyen, est d'une apparence plus rugueuse, d'une couleur moins unie, brillamment blanchâtre. C'est un monde opiniâtrement clos. Pourtant on peut l'ouvrir : il faut alors la tenir au creux d'un torchon, se servir d'un couteau ébréché et peu franc, s'y reprendre à plusieurs fois. Les doigts curieux s'y coupent, s'y cassent les ongles : c'est un travail grossier. Les coups qu'on lui porte marquent son enveloppe de ronds blancs, d'une sorte de halos.

À l'intérieur l'on trouve tout un monde, à boire et à manger : sous un firmament (à proprement parler) de nacre, les cieux d'en dessus s'affaissent sur les cieux d'en dessous, pour ne plus former qu'une mare, un sachet visqueux et verdâtre, qui flue et reflue à l'odeur et à la vue, frangé d'une dentelle noirâtre sur les bords.

Parfois très rare une formule perle à leur gosier de nacre, d'où l'on trouve aussitôt à s'orner¹¹.

⁹ Hasło: rzecz, [w:] <https://sjp.pwn.pl/szukaj/rzecz.html> [dostęp 15.10.2017].

¹⁰ F. Ponge, *Ostryga*, tłum. A. Kozak, „Literatura na Świecie”, 2003, nr 3–4, s. 30.

¹¹ F. Ponge, *L'huitre*, [w:] *Le parti pris des choses*, Gallimard, Paryż 1998.

Ponge pragnął, aby jego utwory, ułożone w porządku alfabetycznym, utworzyły zupełnie nowy słownik, swoisty spis pojęć. Zestawienie typowej definicji słownikowej z „definicją” Ponge’a uświadamia nam, o jak wielu własnościach zapominamy, mówiąc, myśląc czy pisząc o danym przedmiocie. Ponge pozwala swoim oczom rzeczywiście zobaczyć ostrygę bez konieczności odwoływania się do zdobytej przez naukę wiedzy, jak robią to słowniki. Nie pisze on wprost, jak i z czego są zbudowane ostrygi. Nie dowiemy się od niego, gdzie żyją. Poeta przywołuje raczej całą gamę najradszych i najwstydliwszych nawet właściwości tego przedmiotu oraz skupia się na reakcjach i skojarzeniach, jakie ten przedmiot wywołuje¹². Metoda ta dotyczy także innych jego utworów. Ponge nie wpada w pułapkę słowa zastawioną przez chociażby słownik. Otwiera przed nami istotę ostrygi, nie wyszczerbionym nożem, ale wnikliwą obserwacją. Wydaje się, że Ponge przedmioty nie tylko widzi, ale je także rozumie. To jest właśnie ta aprobat, którą rzeczy z miejsca u niego zyskują.

Należy zaznaczyć, że Ponge nie skazuje słowników na potępienie, bowiem to właśnie od nich zaczęła się jego przygoda ze słowem. Jako nastoletni chłopiec odkrył w bibliotece ojca słownik *Littrégo*, który wzbudził jego fascynację m.in. podaną etymologią wybranego hasła. Z korespondencji Ponge’a i wypowiedzi jego przyjaciół wynika, że obecność tego słownika na stole była obowiązkowym elementem pracy nad tekstem¹³. W późniejszym czasie pojawiła się także retoryka i łacina, dwa nieodłączne składniki jego poezji. Styczeńność z twórczością m.in. Lukrecjusza i Malherbe’a zrodziła w nim upodobanie do retoryki i wpłynęła na wybór zarówno tonu i rodzaju podejmowanych tematów, jak i stylu pisania. Łacina zaś, obecna na każdej stronie jego ukochanego słownika, służyła Ponge’owi do przywrócenia gęstości językowi francuskiemu. Zabieg, po który często sięga, polega na odwołaniu się do etymologii słowa. W *Ostrydze* mamy następujący przykład: *firmament* od łac. *firmus*, czyli mocny, solidny, niewzruszony. Firmament z macicy perłowej (*firmament de nacre*), czyli szczelnie zamknięta skorupa, solidna i niewzruszona, którą należy otworzyć wyszczerbionym nożem. Sam autor nakierowuje nas na odczytanie ukrytego znaczenia tego słowa dodając w nawiasie *à proprement parler*.

Spójrzmy na jeszcze jeden przykład dotyczący etymologii, tym razem z innego utworu:

¹² F. Ponge, *My Creative Method*, op. cit., s. 126–127.

¹³ Francis Ponge par Marcel Spada. Entretien de Marcel Spada et Michèle Gorenc, <http://francisponge-slfp.ens-lyon.fr/?Francis-Ponge-par-Marcel-Spada> [dostęp 27.09.2017]

GIMNASTYK

Jak pokazuje jego G, gimnastyk nosi bródkę i wąsy, które niemal zbiegają się z grubym łokciem na niskim czole.

Ubrany w opięty kostium, który tworzy fałdy w pachwinie, podobnie jak jego Y nosi ogonek po lewej stronie.

Wszystkie serca wciąż łamie, ale nigdy nie skłamię, kiedy klnie, mówi DRANIE!

Raczej różowy niż naturalny i nie tak zwinny jak małpa, skacze na przyrządach owładnięty czystą gorliwością. Potem **czubkiem ciała** [podkreślenie – N.W.] zaplątany w liny bada przestrzeń jak glista wychylona ze swego kopczyka.

Na koniec spada czasem spod sklepienia jak gąsienica, ale zaraz odbija się nogami i właśnie wtedy podziwiany wzór ludzkiej głupoty pozdrawia państwa¹⁴.

Przyjrzyjmy się jeszcze tekstowi oryginalnemu:

LE GYMNASTE

Comme son G l'indique le gymnaste porte le bouc et la moustache que rejoint presque une grosse mèche en accroche-cœur sur un front bas.

Moulé dans un maillot qui fait deux plis sur l'aine il porte aussi, comme son Y, la queue à gauche.

Tous les cœurs il dévaste mais se doit d'être chaste et son juron est BASTE!

Plus rose que nature et moins adroit qu'un singe il bondit aux agrès saisi d'un zèle pur. Puis **du chef de son corps** [podkreślenie – N.W.] pris dans la corde à nœuds il interroge l'air comme un ver de sa motte.

Pour finir il choisit parfois des cintres comme une chenille, mais rebondit sur pieds, et c'est alors le parangon adulé de la bêtise humaine qui vous salue¹⁵.

W *Gimnastyku* Ponge używa zamiast słowa *tête*, które funkcjonuje dziś w języku francuskim jako określenie głowy, sformułowania *chef de son corps*. *Chef* pochodzi od łacińskiego *capum*, czyli właśnie głowa. W języku francuskim *chef* oznacza dziś przywódcę, przewodnika, kogoś, kto stoi na czele, np. *chef d'état* czyli przywódca kraju, *chef d'entreprise* – dyrektor przedsiębiorstwa, *chef d'orchestre* – dyrygent czy *chef-d'œuvre* – dzieło sztuki. W swoim właściwym znaczeniu pojawia się w słowie *couvre-chef*, czyli nakrycie głowy. We współczesnej angielszczyźnie również spotkamy się ze słowem *chef* zapożyczonym bezpośrednio z francuskiego, a które oznacza szefa kuchni. Zestawienie *chef* z pojawiającym się kilka linijek niżej słowem *bêtise* wprowadza zgrzyt, ale też szczyptę komizmu. Obraz gimnastyka,

¹⁴ F. Ponge, *Gimnastyk*, tłum. M. Kurek, „Literatura na Świecie”, 2006, nr 9–10, s. 10.

¹⁵ F. Ponge, *Le Gymnaste*, [w:] *Le parti pris des choses*, Gallimard, Paryż 1998.

który powstaje w tym utworze, kłóci się z powagą niektórych słów, ponieważ *capum* pochodzi z łaciny klasycznej, natomiast *tête* z potocznego zasobu słownictwa łacińskiego. *Testa*, od której mamy dziś *tête*, oznaczała pierwotnie dzban, ale była też pogardliwym określeniem głowy. Paradoksalnie, wobec tego, co powiedzieliśmy nieco wyżej o słownikach, jedną z podstawowych czynności w czasie lektury utworów Ponge'a powinno być sięganie właśnie do słowników, szczególnie tych, które zawierają objaśnienia etymologiczne. Wędrownka po *Le parti pris des choses* to przedzieranie się do głębin języka, jego najszybszych zakamarków.

Wróćmy jeszcze na moment do *Ostrygi*. Utwór składa się z trzech części, każda jest coraz krótsza. Pierwsza pokazuje zamkniętą ostrygę i sposób, w jaki można ją otworzyć. W drugiej zaglądamy do środka ostrygi, w trzeciej zaś ukazuje się nam „foremny twór, gotowa ozdoba”, czyli perła, tak mała i niepozorna, jak krótki jest ostatni wers utworu. Ponge wymienia cechy zewnętrzne, niezależne od naszego oglądu ostrygi: wielkość, rodzaj powierzchni, kolor. Już w drugim zdaniu dostrzegamy samoistność ostrygi, która obędzie się bez naszych o niej przemyśleń, która będzie trwać w swoim uporczywym zamknięciu. Jednak w ten uporczywie zamknięty świat ostrygi wdziera się siłą człowiek.

W przypadku *Ostrygi*, jeśli będziemy odwoływać się do redukcji, można powiedzieć, że Ponge tylko częściowo bierze w nawias to, co o niej wie. Nie wspomina, że jest zamknięta w „wapiennej” skorupie, ale że trwa w uporczywym zamknięciu. Perły nie nazywa perłą, ale „foremnym tworem, gotową ozdobą”. Widać więc próbę redukcji wiedzy o ostrydze. Ale zdanie: „Daje się go jednak otworzyć: w tym celu trzeba uchwycić ostrygę przez ścierkę i wielokrotnie posłużyć się wyszczerbionym, niezbyt ostrym nożem” odwołuje się do naszego powtarzanego od wieków sposobu otwierania ostryg. U Ponge'a przedmiot, czy tego chce czy nie, nawet jeśli uznamy jego samoistność, wchodzi w relacje ze światem człowieka, współtworzy go. Niemożliwe jest neutralne i całkowicie zdystansowane patrzenie na uniwersum przedmiotów. Wędrownka w jego głąb to tak naprawdę wędrownka po meandrach znaczeń, sensów, funkcji, jakimi obdarzamy rzeczy.

Choć często pomijany, wizualny charakter utworów Ponge'a jest niezwykle ważny, na co zwraca uwagę sam poeta. W oryginalnym tekście *Ostrygi* znak cyrkumfleksu oraz cząstka *-tre* w wyrazach *blanchâtre*, *opiniâtrement*, *verdâtre* ma korespondować, także fonetycznie, ze słowem *huître*, czyli tytułową ostrygą¹⁶. W *Gimnastyku* taką korespondencję od-

¹⁶ F. Ponge, Ph. Sollers, op. cit., s. 282–283.

najdujemy między literami G i Y a pewnymi aspektami wyglądu zewnętrznego – G ma naśladować kozią bródkę [w tekście tłumaczenia: bródkę], wąsy i pejsy gimnastyka, zaś litera Y podkreśla jego narządy płciowe.

Ponge dostrzega w literach związek z samym przedmiotem. Jego odświeżanie języka poprzez pozbywanie się niepotrzebnych warstw znaczeń działa zatem zarówno na płaszczyźnie etymologii, jak i wykrywaniu analogii między znakiem językowym a rzeczą, do której się odnosi. Trudno w tym momencie nie przywołać utworu *Notes prises pour un oiseau* z tomu *La rage de l'expression* (1952), w którym Ponge analizuje słowo *oiseau*. Sugeruje, że *oi* i *eau* z każdej strony litery *s* w tym słowie to skrzydła ptaka. Zauważa, że *oiseau* zawiera wszystkie samogłoski, tylko *s* się wyróżnia. Dla Ponge'a dostrzeganie tych powiązań wpisane jest w jego metodę twórczą.

Istotną rolę odgrywa także długość poszczególnych zdań, a nawet fragmentów tekstu, co widzieliśmy na przykładzie przywoływanej wielokrotnie *Ostrygi*. Podobnie dzieje się w utworze zatytułowanym *Pluie* (*Deszcz*), w którym ostatnia konstatacja *il a plu*, co przetłumaczymy na *padało*, kontrastuje swoją prostotą i dosadnością z trzydziestoma sześcioma wersami opisu widzianego z okna podwórka w deszczu, sposobu, w jaki ten deszcz spada i dźwięków, jakie powstają, gdy krople uderzają o ziemię. Typograficznie *il a plu* rzuca się w oczy, umieszczone jest nawet po jedynym dwukropku w tym utworze, z tego względu ma również narzucony przez ten znak interpunkcyjny status wyjaśnienia lub uzasadnienia. Przykład ten ponadto pokazuje, jak pojemne może być zdanie proste, ale też jakie nakłada ograniczenia, bo prostota tego zdania pociąga również za sobą symplifikację w odniesieniu do opisu zjawiska przyrody.

Utworky Ponge'a obfitują w przeróżne figury retoryczne i zabiegi stylistyczne, o których częściowo była już mowa. Pozwalają one pocieć na uwypuklenie pewnych cech przedmiotu, a zarazem na intelektualną grę z czytelnikiem. Sprawiają, że tytułowa wędrówka po świecie przedmiotów w twórczości francuskiego poety staje się kilkupoziomowa.

Co dla nas, czytelników, może wyniknąć z takiej wędrówki? Dzieło Ponge'a w całości jest zaadresowane do naszego rozumu. Christian Jacomino zauważył, że „Ponge nie robi nic, aby uwieść swojego czytelnika”¹⁷. Nie jest to do końca prawda, bo uwodzić można także intelektem. Moim zdaniem, wędrówka po świecie przedmiotów z *Le parti pris des choses* daje nam wgląd w to, jak patrzymy i jak nie patrzymy na otaczające nas rzeczy, na ten cichy, pozornie tylko zewnętrzny świat. Daje nam także

¹⁷ Ch. Jacomino, *Francis Ponge: corps et âme*, „Magazine Littéraire” 1987, nr 247.

wgląd w to, jakie możliwości otwiera przed nami język, ale też jakie wyznacza nam granice. Bo czasami brakuje nam słów, aby wyrazić to, co widzimy. Niewątpliwie jego poezja jest dla nas wyzwaniem intelektualnym i sprawdzianem dla naszej wyobraźni oraz wrażliwości językowej.

Bibliografia:

- Burzyńska A., Markowski M. P., *Teorie literatury XX wieku*, Znak, Kraków 2006.
- De Vecchi T., *Trois procédés de l'écriture dans « Le Parti pris des choses » de Francis Ponge*, „Annali di Ca' Foscari” XXVII, 1988, nr 1–2, s. 111–138.
- Gorenc M., Spada M., *Francis Ponge par Marcel Spada. Entretien de Marcel Spada et Michèle Gorenc*, <http://francisponge-slf.ens-lyon.fr/?Francis-Ponge-par-Marcel-Spada> [dostęp 27.09.2017]
- Jacomino Ch., *Francis Ponge : corps et âme*, „Magazine Littéraire”, 1987, nr 247.
- Ponge F., *My creative Method*, tłum. J. M. Kłoczowski, „Literatura na Świecie”, 2006, nr 9–10.
- Ponge F., *Le parti pris des choses*, Gallimard, Paryż 1998.
- Ponge F., Sollers Ph., *Rozmowy Francisa Ponge'a z Philippe'em Sollerssem*, tłum. E. Wieleżyńska, [w:] „Literatura na Świecie” 2006, nr 9–10.
- Sartre J.-P., *Człowiek i rzeczy*, tłum. P. Swoboda, „Literatura na Świecie”, 2006, nr 9–10.

Natalia Wleklík – studentka II stopnia filologii francuskiej i komparatystyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Interesuje się literaturą XX wieku, językami indoeuropejskimi oraz rysunkiem.

Agata Zielińska

Pogranicze brazylijsko-włoskie we włoskiej twórczości Julio Monteiro Martinsa

Pojęcie pogranicza w istocie swej odnosi się do przestrzeni realnych, do obszarów znajdujących się na styku dwóch i więcej kultur. Jest to przestrzeń, w której mieszają się elementy oraz cechy charakterystyczne dla rozdzielonych granicą obszarów. Pogranicze staje się zatem przestrzenią spotkania, w wyniku którego dochodzi do redefinicji kulturowego samopoczucia jednostki, która w spotkaniu tym bierze udział – naturalny podział na „ja” oraz ten „Inny”, wynikający z faktu istnienia granicy, zanika. Doświadczenie pogranicza daje początek nowej tożsamości – „ja-Inny”, w której wyraża się pewna szczególna postawa psychologiczno-kulturowa charakterystyczna dla stanu wielojęzyczności, którego dany człowiek doświadcza.

Tytułowe pogranicze brazylijsko-włoskie, dokąd zabiera nas w swoich opowiadaniach Julio Monteiro Martins, ma charakter czysto metaforyczny. Jest to przestrzeń, którą powołał do życia sam pisarz podejmując szereg takich, a nie innych decyzji. Zanim jednak podejmiemy próbę jej scharakteryzowania, warto przytoczyć kluczowe punkty biografii Monteiro Martinsa, które przyczyniły się do zaistnienia tego niezwykle kruchego konstruktu, jakim jest pogranicze brazylijsko-włoskie.

Julio Monteiro Martins¹ urodził się w Brazylii, gdzie jako dwudziestolatek publikował swoje pierwsze utwory poetyckie i prozatorskie. W latach 80. XX wieku, w związku ze spadkiem zainteresowania nową literaturą brazylijską, wydawnictwa odmawiały publikacji jego książek. Przyczynił się do tego także głośny proces, który pisarz wytoczył znanemu reżyserowi, oskarżając go o kradzież tekstu. Martins, chcąc dalej zajmować się literaturą, postanawia wyemigrować – udaje się do Stanów Zjednoczonych, następnie zaś do Portugalii, by ostatecznie osiąść we Włoszech.

Podjąwszy decyzję o opuszczeniu kraju, Monteiro Martins stanął przed koniecznością ponownego zdefiniowania samego siebie. Zmuszony był poszukać odpowiedzi na pytanie dotyczące własnej tożsamości w świetle przeżytego doświadczenia emigracji. Jest to moment przejścia od bycia „kims” do bycia „kims innym jakiegoś pochodzenia”, który jest kluczowy dla rekonstrukcji własnego „ja”. By proces ten mógł się dokonać, należy przestrzegać zachodzące zmiany jako integralną część życiorysu i nie wprowadzać jego sztucznego podziału na etap wcześniejszy i etap późniejszy, które miałyby między sobą znacząco się różnić. José Ortega y Gasset pisał: „ja jestem sobą i moimi okolicznościami”², w którym to stwierdzeniu zawarł przekonanie o spójności tożsamości ludzkiej, która jest niepodzielna bez względu na zmiany, jakim podlegają determinujące ją czynniki czasoprzestrzenne. Człowiek jest sumą doświadczeń, które go określają. Odcięcie się od któregośkolwiek z nich jest niemożliwe, ponieważ oznaczałoby odcięcie się od samego siebie. W procesie, który towarzyszy migrantowi chodzi zatem o znalezienie tzw. trzeciej drogi, tj. o rekonstrukcję własnego „ja”, nie zaś o odrzucenie dawnej czy budowanie nowej tożsamości, gdyż to – w myśl twierdzenia Ortegi y Gasset – nie może się udać.

Pomimo ciągłości dorobku Monteiro Martinsa w jego włoskiej twórczości dostrzec można istotne zmiany, na które wpływ miało doświadczenie emigracji. Jest to zupełnie zrozumiałe – Monteiro Martins nie może pisać jak autor brazylijski, ponieważ zbyt silnie oddziałuje na niego rzeczywistość, w której tworzy; nie pisze także jak pisarz włoski, gdyż w jego tekstach do głosu dochodzi tradycja, z której się wywodzi.

¹ Przy opracowywaniu biografii pisarza korzystałam z następujących publikacji: R. Morace, *Biografia*, [w:] *Un mare così ampio. I racconti-in-romanzo di Julio Monteiro Martins*, Libertà Edizioni, Lucca 2011, s. 163-165; I.C. Ricciardi, *A colloquio con lo scrittore*, http://www.el-ghibli.provincia.bologna.it/index.php?id=2&issue=01_07&sezione=10 [dostęp 8.05.2017 r.] oraz z biografii dostępnej na oficjalnej stronie szkoły Sagarana: <http://www.sagarana.net/scuola/julio/julio.htm> [dostęp 8.05.2017].

² J. Ortega y Gasset, *Medytacje o Don Kichocie*, tłum. J. Wojcieszak, Wydawnictwo Muza, Warszawa 2008.

Fenomen brazylijskości we włoskiej twórczości Monteiro Martinsa obecny jest na wielu płaszczyznach. Zaobserwować można go na poziomie języka, gdzie przejawia się chociażby w bezpośrednim zwrocie do czytelnika, filmowym charakterze dialogów oraz metysażu językowym, a więc w przenikaniu się w tym przypadku elementów języka portugalskiego i włoskiego. Obecny jest także na poziomie przewijających się w tej twórczości motywów. Podczas naszej wyprawy będziemy poruszać się po czterech ścieżkach, które odpowiadają czterem motywom obecnym w literaturze brazylijskiej, a których obecność silnie zaznaczona jest we włoskiej twórczości autora. Są to seksualność, karnawał, natura oraz muzyka.

Seksualność

Motyw seksualności jest silnie obecny w literaturze brazylijskiej, jednak przez pisarzy i pisarki przedstawiany bywa w różny sposób: w utworach tych pierwszych mamy do czynienia ze stereotypowym obrazem kobiety-kochanki lub kobiety-żony, zawsze jednak podległej mężczyźnie i jego pożądaniu; w utworach tych drugich zaś jest ona świadoma własnego ciała i staje się jego panią³. Motyw ten odnajdujemy także w twórczości Julio Monteiro Martinsa.

W opowiadaniu zatytułowanym *In naturalibus*⁴ relacja mężczyzny i kobiety oddana zostaje w zmysłowym opisie ciała ukochanej:

(...) poszedłem do pokoju i zobaczyłem ją w półmroku, rozciągniętą nago na łóżku, zrelaksowaną (...). Chciało mi się płakać. Ze wzruszenia estetycznego. To było silniejsze ode mnie (...). Zawsze spała naga na prześcieradle (...). Mówiła, że ubrania ją denerwują. Ale ona **była** [podkreślenie – A.Z] naga. Nawet wtedy, gdy miała na sobie ubranie, rozumiesz? (...) Była najczystszyim istnieniem jakie kiedykolwiek widziałem. Była pierwieszca od grzechu pierworodnego i od pierwszego słowa pisanego⁵.

³ Zob. C. Fereiro-Pinto, *Gender, Discourse and Desire in Twentieth-Century Brazilian Women's Literature*, Purdue University Press, West Lafayette 2004.

⁴ J. Monteiro Martins, *Racconti italiani*, Besa Editrice, Nardò 2000.

⁵ „(...) sono andato in camera e l'ho vista nella penombra, distesa nuda sul letto, come sempre, rilassata (...). Mi è venuto da piangere. Per commozione estetica. È stato più forte di me (...). Lei dormiva sempre tutta nuda sul lenzuolo (...). Diceva che i vestiti (...) le davano fastidio. Ma lei era nuda sempre. Anche quando era vestita, capisci? (...) Era l'essere più puro e assoluto che avessi mai visto. Era più antica del peccato originale e della prima parola scritta.” Ibidem, s. 11–12. Wszystkie tłumaczenia z języka włoskiego, o ile nie podano innego źródła, pochodzą od autorki.

W opisie tym mężczyzna pozostaje bezbronny w zetknięciu z nagością kochanki. Staje się biernym obserwatorem spektaklu cielesności, w którym ukochana odgrywa główną rolę. Widok ten budzi w nim doznania estetyczne, nie erotyczne. Historia tych dwojga staje się pretekstem do poruszenia szerszego problemu, jakim jest wartość pierwotnej naturalności w dzisiejszym świecie.

Autor zestawia mityczną postać kobiety z obrazem, jaki przekazuje reklama i mówi o: „uśmiechniętych na potrzeby kampanii reklamowych sylwetkach o amfetamicznym wzroku⁶”. Opisywana przez mężczyznę kobieta uosabia zatem Życie, jest kobietą z krwi i kości, w której płyną życiodajne soki. Opowiadanie to nie jest erotycznym opisem doznań bohatera, lecz jest wyrazem tęsknoty za dziewiczą cielesnością i apelem o powrót do pierwotnej nagości rozumianej jako Bycie w całej jego prostocie.

Karnawał

Nie ulega wątpliwości, że karnawał stanowi nieodłączny element kultury brazylijskiej, jednak nie o takie rozumienie tego pojęcia nam tu chodzi. Interesującą nas definicją karnawału jest ta zaproponowana przez Michaiła Bachtina w książce zatytułowanej *Problemy poetyki Dostojewskiego* (1929), którą następnie rozwinął on w pracy *Twórczość Franciszka Rabelais'ego a kultura ludowa średniowiecza i renesansu* (1969). Pojmowana w ten sposób karnawalizacja łączy się z groteskowym przedstawieniem świata na opak, w którym prawa izwyczaże obowiązujące w świecie realnym zostają odrzucone, podważa się wszelkie autorytety, a zhierarchizowane relacje międzyludzkie zastępowane są stosunkami opartymi na zasadzie równości⁷.

Motyw ten wykorzystany zostaje między innymi w opowiadaniu zatytułowanym *La parabola del giovane economista*, którego akcja toczy się na granicy świata realnego i bajkowego. Punkt wyjścia stanowi historia młodego człowieka wykształconego w Anglii, który postanawia powrócić do kraju z rodziną. Próby znalezienia przez niego pracy kończą się jednak niepowodzeniem. Zdesperowany kieruje swe kroki do cyrku, w którym dostaje pracę jako panda. Podczas występu musi założyć kostium misia Ding-Donga i przejść po rozciągniętej pod czaszą namiotu linie. Na arenie zaś

⁶ „(...) sogome sorridenti per campagne pubblicitarie, con sguardi da anfetamina.” J. Monteiro Martins, op. cit., s. 12–13.

⁷ Zob. A. Achtełik, R. Cudak, M. Pytasz, *Karnawalizacja*, [w:] *Słownik wiedzy o literaturze*, Videograf II, Katowice 2005.

krążą wygłodniałe dzikie zwierzęta. Upadek nie jest jednak tak straszny, jak mogłoby się wydawać, gdyż główny bohater spoglądając śmierci w oczy słyszy dobiegający z wnętrza lwa głos: „Cicho bądź, kretynie. Wszyscy mamy doktorat...”⁸

W zdaniu tym zawiera się groteskowy charakter całego opowiadania. Mówi ono o śmierci inteligencji i deprecjacji wykształcenia. W opowieści tej wyraźnie rysują się dwa światy: świat rzeczywisty oraz świat baśniowy, który stanowi ucieczkę od tego pierwszego. Jest to także utwór o niedopasowaniu, lecz nieco innym niż to, z jakim spotykaliśmy się w literaturze do tej pory – nie jest to opowieść o niedopasowaniu człowieka do świata, lecz o niedopasowaniu świata do człowieka. W chwili, gdy świat realny nie ma do zaoferowania młodemu człowiekowi nic prócz rozczarowań, ucieka on w magiczny świat cyrku. Cyrk jest miejscem, w którym niemożliwe staje się możliwe – słonie stają na trąbach, a ludzie potrafią latać na trapezach. Jest to magiczna przestrzeń, w której płócienna płachta namiotu oddziela człowieka od tego, o czym on sam chciałby zapomnieć. W tym świecie na opak nic nie jest takie, jakie mogłoby się wydawać, nawet zwierzęta okazują się nie być prawdziwe. Tutaj właśnie znajduje swe miejsce młody ekonomista, dla którego to ten właśnie świat staje się światem rzeczywistym.

Natura

Natura jest nieodłącznym elementem tożsamości tego nadamazońskiego kraju. Benedicto Costa w tomie poświęconym literaturze brazylijskiej opisuje cechy, które łączą las tropikalny i brazylijską duszę:

(...) brazylijski las z jego nieładem i przepychem; z jego siłą i słabością; drzewa, które stoją przez wieki i kwiaty, których kwitnienie trwa zaledwie chwilę; liany, które żywią się sokiem innych roślin; znakomitość storczyków; głosy barwnych ptaków, upał... W duszy każdego Brazylijczyka zawiera się taki sam kontrast, który charakteryzuje tropikalny las⁹.

⁸ „Stai zitto, cretino. Qui tutti abbiamo il dottorato...” J. Monteiro Martins, *Racconti italiani*, op. cit., s. 154.

⁹ „(...) the Brazilian forest, with Its «disorder and opulence. Its vigour and languor; trees that last for centuries and flowers that bloom but a few moments; lianas that live upon the sap of other growths; the brilliancy of orchids, the voices of birds of Iridescent coloration, the heat ... There Is In the soul of every Brazilian the same contrasts that characterize the tropical forest.»” B. Costa, *Le roman au Brésil*, Paryż 1928, [w:] I. Goldberg, *Brazilian Literature*, A. A. Knopf, Nowy Jork 1922, <http://ia700303.us.archive.org/22/items/brazilianliterat1922gold/brazilianliterat1922gold.pdf> [dostęp 4.06.2017].

Wśród opowiadań Monteiro Martinsa niewiele znajdziemy tekstów poświęconych samej przyrodzie. Najczęściej stanowi ona tło dla opisywanych zdarzeń. Zawsze jednak przedstawiona jest jako nieujarzmiony żywioł. Utwór zatytułowany *Gita al mare* jest wśród włoskich publikacji pisarza jedynym przykładem narracji w całości poświęconej naturze:

Plaża Goiabal jest najbardziej niebezpiecznym miejscem na Ziemi. (...) Mówię, że jest najbardziej niebezpiecznym miejscem na Ziemi, ponieważ na całej długości usiana jest dołami, rowami i jeziorami mniej lub bardziej głębokimi. Podczas odpływu, aby zbliżyć się do morza wystarczy iść zygzakiem omijając doły (...). [Przypływ przyp. aut. – A.Z.] w kilka minut zalewa cały piasek. Musisz się spieszyć, jeśli chcesz bezpiecznie wrócić na brzeg, lecz woda przypomina błoto i nie sposób dojrzeć dno (...). Przemierzyłeś zaledwie kilkadziesiąt metrów, podczas gdy przypływ zalał już ponad kilometr plaży, a ty znalazłeś się nagle na otwartym morzu (...)¹⁰.

Bohaterem opowiadania jest plaża, która – obok amazońskiej dżungli – stanowi charakterystyczny element brazylijskiego krajobrazu. Nie jest to jednak jej stereotypowy obraz, gdyż zostaje ona przedstawiona nie jako miejsce zabawy i relaksu, lecz jako wrogi teren, na którym na człowieka czyhają liczne niebezpieczeństwa. Opowiadanie to podkreśla zdradliwy charakter natury, która potrafi zmienić się w jednej chwili i stać się dla człowieka zagrożeniem.

Utwór ten można również odczytywać metaforycznie. Plaża stanowiłaby tutaj obszar przejściowy, na którym piasek symbolizujący to, co znane, styka się z oceanem, będącym metaforą tego, co nieznanne. Podczas odpływu, gdy plaża sięga daleko w głąb morza, woda majaczy gdzieś w oddali, na horyzoncie. Gdy jednak morze wzbiera, żywioł zalewa ślady naszych stóp i nie sposób je odnaleźć. Podobnie dzieje się z człowiekiem, który, jeśli zapuści się zbyt daleko i straci z oczu miejsce, z którego wyruszył, zginie, ponieważ nie będzie w stanie odtworzyć w pamięci drogi powrotnej.

¹⁰ „La spiaggia di Goiabal è il posto più pericoloso al mondo. (...) Dico che è la più pericolosa al mondo perché la sua larga distesa di sabbia è cosparsa di buchi, vallate e laghetti più o meno profondi. Durante la bassa marea per avvicinarsi al mare basta che uno cammini contornando i laghetti in uno zigzag (...). In pochi minuti copre tutta la superficie di sabbia, per tornare al sicuro devi fare in fretta, ma siccome l'acqua è fangosa è impossibile vedere il fondo (...). Avrai percorso solo poche decine di metri quando la marea avrà già ricoperto più di un chilometro di spiaggia, si è improvvisamente in alto mare (...)” J. Monteiro Martins, *Gita al mare*, [w:] R. Morace, *Un mare così ampio. I racconti-in-romanzo di Julio Monteiro Martins*, Libertà Edizioni, Lucca 2011, s. 146.

Muzyka

Pobrzmiwiająca w tle opowiadania muzyka to charakterystyczny zabieg literatury brazylijskiej, która po przewrocie modernistycznym w 1922 roku zaczęła łączyć w sobie wiele sztuk. Utwory te charakteryzują się nie tylko intertekstualnością, ale także barwnością opisów oraz bogatą warstwą muzyczną, dzięki czemu utwory te w łatwy sposób dało się przenieść na ekran. Muzyka w utworach Monteiro Martinsa pełni wielorakie funkcje, co starała się prześledzić Rosanna Morace¹¹. Mówi ona między innymi o muzyce jako tle dla opisywanych wydarzeń i przytacza tu utwór *Love, Love, Love* Johna Lennona w opowiadaniu zatytułowanym *Cate, Simone e Alessio*¹². Jest to piosenka z czołówki popularnego programu telewizyjnego „Stranamore”, w którym przedstawiane są historie par przechodzących kryzys. Audycja ta pomaga im znaleźć drogę do szczęśliwego zakończenia.

Opowiadanie to jest przede wszystkim historią Cate i Alessia, którzy są uczestnikami wspomnianego programu. Miłość ich zostaje wystawiona na próbę, jednak dzięki udziałowi w „Stranamore” udaje im się uratować to, co zostało z łączącego ich uczucia. Paralelnie do relacji z tego, co dzieje się w studiu nagraniowym, wspomnienia swe snuje Simone, którego z Cate połączyła chwila namiętności. Opowiadanie to jest historią dwóch miłości, z których jedna staje się pretekstem do przywołania drugiej. Większe znaczenie dla samej narracji ma właśnie ów wątek poboczny. Miłość Cate i Simone jest bowiem miłością zakazaną, gdyż dotyczy osób spokrewnionych ze sobą – Simone jest kuzynem Cate. Ponadto różnica wieku między tym dwojgiem jest znaczna, bo wynosi prawie dwadzieścia lat. To wszystko sprawia, że uczucie ich skazane jest na zapomnienie. Tytuł przywołanej piosenki streszcza nam opowiadanie, którego motywem przewodnim jest miłość właśnie.

Inną wyróżnioną przez Morace funkcją muzyki w narracjach Monteiro Martinsa jest odzwierciedlanie stanu ducha postaci. Przykładem tego jest przywołany we wspomnianym opowiadaniu utwór Toma Waitsa zatytułowany *Blue Valentine*. Utworu tego słucha zamknięty w swoim pokoju Simone, podczas gdy pozostali członkowie jego rodziny zgromadzili się przed telewizorem, by obejrzeć show z udziałem Cate i Alessia. Utwór ten doskonale oddaje uczucia Simone, którego prześladują wspomnienia zakazanej miłości wciąż pozostającej w jego pamięci. Gradację uczuć głównego bohatera widać zwłaszcza w chwili, gdy przywołany zostaje kolejny utwór

¹¹ R. Morace, op. cit., s. 112.

¹² J. Monteiro Martins, *La passione del vuoto*, Besa Editrice, Nardò 2003.

Toma Waita zatytułowany *Small Change*. Jest to opis miejsca zbrodni będący pełnym makabryzmu obrazem, który wskazuje nam na nasilenie intensywności doznawanych przez Simone uczuć.

Muzyka w opowiadaniach Monteiro Martinsa jest także metaforą samej opowieści, czego przykład stanowi utwór *A love supreme* Johna Coltrane'a w *Hic sunt leones*¹³. Jest to opowiadanie o przemianie, jakiej doznaje główny bohater, który postanawia rzucić wszystko, by przemierzyć pół Europy i odnaleźć swego syna, Alexeia. Sam album był przełomowy również dla Coltrane'a. Dzięki duchowej odnowie udało mu się wyjść z uzależnienia od heroiny oraz alkoholu i stać się jednym z najlepszych saksofonistów wszechczasów. Opowiadanie Monteiro Martinsa jest historią takiego właśnie przejścia.

Omówione przeze mnie pogranicze brazylijsko-włoskie zawarte w utworach Monteiro Martinsa jest miejscem interferencji dwóch silnych kultur o jakże odmiennych uwarunkowaniach geograficznych i historycznych; jest to miejsce, w którym język włoski miesza się z brazylijskim, a motywy znane z literatury południowoamerykańskiej splatają się z tymi, które obecne są w literaturze włoskiej od czasów Boccaccia; wreszcie jest to miejsce, w którym nie obowiązują sztywne ramy czasoprzestrzenne – rzeczywistości przenikają się wzajemnie, a postaci historyczne i fikcyjne żyją obok siebie. Wszystko to świadczy o ogromnym walorze kulturowym tych utworów.

Obecność tych jakże charakterystycznych dla kultury brazylijskiej motywów we włoskiej twórczości Monteiro Martinsa każe nam zastanowić się nad tym, czy był to zabieg celowy, czy może było to podświadome przeniesienie elementów znaczących dla tożsamości kulturowej pisarza. Idąc dalej, możemy zadać pytanie czy w ogóle możliwe jest zupełne odcięcie się od jednej kultury i obranie sobie nowej, bez ryzyka przeniesienia na jej grunt elementów tej, w której dorastaliśmy? Chcąc odpowiedzieć na te pytania zastanówmy się, czym różni się pisanie Innego od pisania osoby, która pozostaje zamknięta we własnym kręgu kulturowym? Otóż różnica polega właśnie na kwestii owego zamknięcia, z którego Inny wydostaje się w chwili, gdy postanawia opuścić swój kraj i udać się w inne miejsce po to, by tam żyć i tworzyć. Owemu przejściu towarzyszy zderzenie dwóch rzeczywistości – tej, którą Inny zostawia za swoimi plecami i tej, w którą wkracza. Pierwszej nie jest on w stanie zupełnie się wyzbyć, drugiej natomiast

¹³ J. Monteiro Martins, *Racconti italiani*, Besa Editrice, Nardò 2000.

musi się nauczyć, jednak ze świadomością, że nawet w tym nowym dla siebie języku, w innym kodzie kulturowym wybrzmiewać będzie jego własna tradycja. Pisarz nie może pozwolić sobie na to, by dokonać jakiegokolwiek wyboru między jedną a drugą tradycją – jest to dylemat, przed którym nie stają „zwykli” imigranci. Musi on więc stworzyć coś na kształt syntezy obu, nie zatracając całkowicie kultury własnej, ani nie broniąc się za wszelką cenę przed przyjęciem niektórych elementów nowej kultury.

Literatura jest spotkaniem – na poziomie społecznym mamy do czynienia ze wspólnotą czytelnika i autora, na poziomie psychologicznym oznacza ona spojrzenie w głąb samego siebie, na poziomie kulturowym jest mostem łączącym dwie lub więcej tradycji. Armando Gnisci pisze, że:

pisarze migracyjni, (...) którzy zmieniają życie i język, którzy przemierzają się w czasie i przestrzeni, którzy przemierzają światy (...), poszerzają obecność literata w świecie i kreolizują krainy, w których się zatrzymują¹⁴.

Tworzą tym samym nowe pogranicza, na których wyrastają nowe kultury bogate pięknem tradycji, które się w nich mieszają.

Bibliografia:

- Achtelik A., Cudak R., Pytasz M., *Karnawalizacja*, [w:] *Słownik wiedzy o literaturze*, Videograf II, Katowice 2005.
- Fereiro-Pinto C., *Gender, Discourse and Desire in Twentieth-Century Brazilian Women's Literature*, Purdue University Press, West Lafayette 2004.
- Gnisci A., Moll N., *Lettere migranti e diaspore europee*, [w:] *Diaspore europee e lettere migranti*, Edizioni Interculturali, Rzym 2002.
- Goldberg I., *Brazilian Literature*, A. A. Knopf, Nowy Jork 1922, <http://ia700303.us.archive.org/22/items/brazilianliterat1922gold/brazilianliterat1922gold.pdf> [dostęp 4.06.2017].
- Monteiro Martins J., *Racconti italiani*, Besa Editrice, Nardò 2000.
- Monteiro Martins J., *La passione del vuoto*, Besa Editrice, Nardò 2003.
- Morace R., *Un mare così ampio. I racconti-in-romanzo di Julio Monteiro Martins*, Libertà Edizioni, Lucca 2011.
- Ortega y Gasset J., *Medytacje o Don Kichocie*, tłum. J. Wojcieszak, Wydawnictwo Muza, Warszawa 2008.
- Ricciardi I.C., *A colloquio con lo scrittore*, http://www.el-ghibli.provincia.bologna.it/index.php?id=2&issue=01_07&sezione=10 [dostęp 8.05.2017].
- Sagarana, <http://www.sagarana.net/scuola/julio/julio.html> [dostęp 8.05.2017].

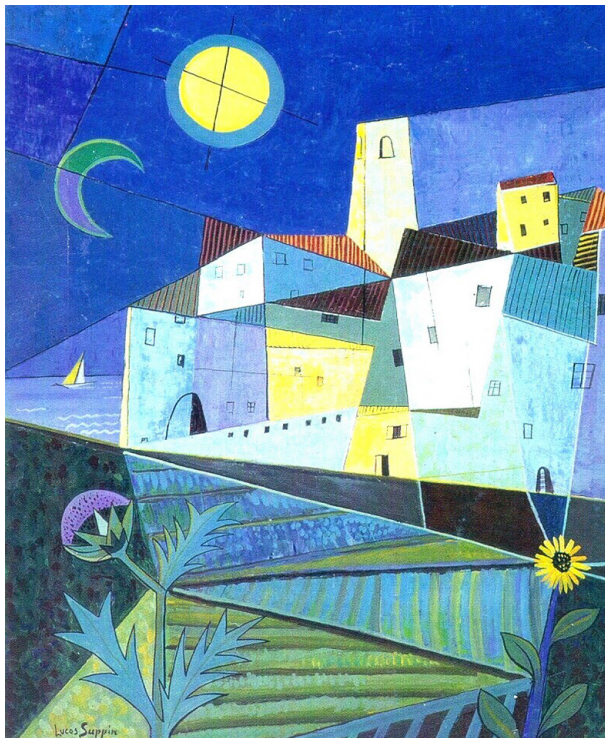
¹⁴ A. Gnisci, N. Moll, *Lettere migranti e diaspore europee*, [w:] *Diaspore europee e lettere migranti*, Edizioni Interculturali, Rzym 2002, s. 194.

Agata Zielińska – rocznik 1986; doktorantka w Instytucie Filologii Romańskiej UAM. Absolwentka filologii włoskiej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz kulturoznawstwa – cywilizacji śródziemnomorskiej na Uniwersytecie Warszawskim. Ukończyła podyplomowe studia dla tłumaczy literatury w Katedrze do Badań nad Przekładem i Komunikacją Międzykulturową Uniwersytetu Jagiellońskiego. Prowadzi kursy językowe dla firm i instytucji. W pracy badawczej zajmuje się tematyką włoskiej literatury migracyjnej. Mama i żona.

Vertiges

Recueil de nouvelles

Par les étudiants de 1^{ère} année
de Philologie romane
de l'Université Jagellonne



2016–2017**Remarque préliminaire**

On a parfois du mal à mesurer ce dont sont capables nos étudiants. On pense souvent que notre travail d'enseignant consiste à baliser un chemin d'apprentissage progressif, sécurisant et rationnel, exigeant mais prudent, faisant appel à la tête plutôt qu'au cœur. Ce qui est loin d'être faux, étant donné la dose de patience nécessaire pour assimiler les méandres de règles de cette capricieuse langue française qui ne se laisse pas aisément dompter et dont on découvre la souplesse une fois sa rigidité bien comprise.

Mais c'est ignorer le cœur, l'attrait irrésistible du cœur pour une langue, sa mélodie, son phrasé, ses fantaisies. Depuis maintenant dix ans que j'enseigne le français à l'étranger, je ne comprends toujours pas complètement lorsqu'on me dit que ma langue est belle. « Merci, c'est gentil ». Que dire d'autre ? J'aime toutes les langues que je connais, j'aime qu'elles disent chacune à leur manière le monde. Cela m'aide à voir plus large, et de plus haut. Certes, mais pour y consacrer des années d'études, et parfois sa vie, il faut bien plus que cela. Il faut brûler d'une véritable passion, capable de nourrir un feu inassouvi. Seule une telle force permet de s'engouffrer sans trembler dans les profondeurs de la connaissance d'une langue étrangère.

En donnant l'occasion à mes étudiantes, d'abord sans m'en rendre compte, d'aller puiser à cette source, j'ai été sidérée par sa puissance. Car en leur permettant de renouer avec cette passion initiale pour la langue, sautant par-dessus la barrière des exigences syntaxiques et lexicales, j'ai découvert un espace de création infini. Les étudiantes s'y sont engouffrées, chacune à leur manière, prouvant non seulement qu'elles avaient des choses

importantes à dire mais qu'elles étaient aussi capables de maîtriser la manière de le dire. Aucune n'a abandonné, toutes sont allées jusqu'au bout malgré les obstacles nombreux, épaulées par cette envie démesurée de faire, c'est-à-dire de créer.

Pour ma part, au-delà de cette leçon du pouvoir du cœur, j'y ai découvert un peu de cette âme slave que je découvre depuis deux ans... Cliché ? Peut-être... La solitude, l'absence, l'incompréhension, les souffrances et les regrets peuplent ces nouvelles... Mais aussi une grande force de vivre, de mener sa vie à sa manière, de tracer son chemin dans ce monde de plus en plus compliqué. Alors, j'ai pensé à intituler ce recueil *Vertiges*. Vertiges du passé, du présent, vertiges de l'absence. Urgence de vivre.

Marie Giraud-Claude-Lafontaine

1^{ère} partie : Urgences

La peur de l'irréparable

AG

Vers 8 heures du matin, dans un hôpital public à Paris. Elle marchait d'un pas rapide, toute tendue et angoissée, en se disant que si une fois de plus elle n'arrivait pas à temps, elle ne pourrait se le pardonner. D'ailleurs, on l'avait informée la nuit précédente que c'était un cas désespéré, que son patient subissait de terribles souffrances et qu'il fallait opérer sans tarder.

Elle croisait ses collègues dans le couloir, la tête baissée. En vain. De toute façon ses yeux fuyants la trahissaient. Sachant qu'ils la regardaient tous de travers ce jour-là, elle n'a pas eu le cran de faire le moindre geste afin de les saluer. Au fond, elle s'en rendait bien compte et n'avait pas de mal à reconnaître qu'ils avaient tout à fait raison de la dévisager de la tête aux pieds et de passer au crible son comportement inhabituel. Puisque ces derniers temps, dans sa vie, plus rien n'allait comme prévu. Autrefois, travailleuse assidue et pleine d'entrain, elle se fixait des objectifs hors d'atteinte, qu'elle était, quoi qu'il en soit, capable de réaliser. Contrairement au passé, à ce moment-là, même les tâches les plus simples devenaient une sorte de corvée. Ainsi, elle se sentait honteuse à cause de sa propre existence. En plus, l'idée tenace de la lourde responsabilité du sort d'autrui l'accablait. Et pourtant, elle n'avait jamais connu ce sentiment odieux avant. Effet de surmenage ? Syndrome d'épuisement professionnel ? Dépression ? Elle n'en savait rien.

Quatre heures plus tard, elle est sortie en courant de la salle opératoire. Avant même de prendre conscience de ce qui venait de se passer, les larmes lui sont montées aux yeux. Son cœur battait à tout rompre. En un tournemain, elle est devenue toute pâle. Prise d'un coup de fatigue soudain, elle s'est assise par terre. « Il est mort ». Il semblait que les mots d'une des infirmières n'allaient pas cesser de retentir dans sa tête.

La confusion s'installait. Si seulement elle pouvait remonter le temps. Mais ce n'était pas le cas. Il fallait qu'elle assume la réalité telle qu'elle était. À quoi bon nier les faits ? Effectivement, elle n'aurait probablement pas été tellement affligée si tout n'avait été de sa faute. Du moins, c'est-ce qu'elle croyait. La culpabilité destructrice la dévorait jusqu'au point de verser des larmes. Malgré de nombreuses tentatives de consolation de la part d'autres employés qui lui ont répété, à maintes reprises, que c'était inévitable ; malgré d'innombrables mots rassurants prononcés à son adresse d'après lesquels on ne pouvait plus rien faire, cet événement bouleversant l'a laissée complètement abattue et sans voix. L'idée d'avoir tué un homme et la migraine quasi insupportable lui ont fait vivre un choc émotionnel sans pareil.

Dès qu'elle a ouvert la porte de sa maison, elle a entendu ses parents discuter vivement. Ou plutôt, se disputer violemment. Comme toujours d'ailleurs, il n'était pas question qu'ils se fassent des reproches sans hausser la voix. Sauf que pour elle, les entendre pousser des cris de fureur n'était rien qu'une situation coutumière. Elle s'y était faite, il y avait de longues années. D'aussi loin qu'elle s'en souvenait, ces querelles abominables faisaient partie d'une routine bien ancrée dans son quotidien. En dépit des obstacles, elle avait déjà essayé d'y mettre un terme par des moyens de fortune, mais sans grand succès. L'un cherchait perpétuellement querelle à l'autre. On dirait que leur mariage représentait pour eux un sort irrévocable, une fatalité ou un esclavage auquel ils s'étaient retrouvés tous les deux condamnés. En un mot, une prison sans issue. En tout cas, telle était l'esquisse de leur relation dans l'imaginaire de Camille. Mais elle était peu ordinaire, il fallait quand-même l'avouer. Enfin, rares sont les personnes qui souhaitent que leurs parents divorcent et qui continuent à habiter encore chez eux après leurs trente ans.

Comme ce soir-là, elle n'avait pas du tout envie de se livrer au travail de juriste ou celui de psychiatre, auquel elle aurait sans doute échoué, elle a fait de son mieux pour ne pas faire le moindre bruit. Marchant sur la pointe des pieds, elle a monté l'escalier quatre à quatre sans que personne ne s'en aperçoive. Seule sa chatte Fidèle l'a accompagnée en entrant habilement dans sa chambre, avant qu'elle n'en ait fermé la porte. À force de tâtonner dans l'obscurité, Camille est arrivée à passer inaperçue. Elle a pris la décision de ne pas allumer la lumière pour ne pas éveiller les soupçons de sa présence. Elle s'est assise sur une chaise près de la fenêtre, à regarder la ville ; d'un côté pour se calmer, de l'autre par un pur besoin de s'enfoncer encore plus dans cette horreur grandissante des remords impérissables. Ainsi s'écoulaient des heures douloureuses, le temps lui glissait inexorablement entre les doigts. Mais à cette heure de la nuit, elle veillait encore, en se questionnant sur le sens de sa propre existence. Tout autour d'elle semblait être tombé dans de froides ténèbres. Il était difficile de croire combien la vie était affreuse pour cette jeune femme, si innocente et délicate.

Soudain, une angoisse inexplicable l'a fait se lever. Elle avait l'impression de voir une ombre, une silhouette plus au moins définie d'un corps humain derrière le rideau d'à côté. Profondément traumatisée, elle aurait pu jurer qu'il y avait un homme. Suivant son instinct, elle a retenu son souffle tout en demeurant immobile, par crainte de faire accidentellement un pas qui s'avérerait indésirable. Même si ses pensées obsédantes et mauvais pressentiments ne cessaient de la hanter, elle a fixé son regard sur cet endroit. Hors d'haleine et souhaitant enfin pouvoir détourner les yeux, elle regardait quand même. Finalement, reprenant peu à peu ses sens, elle a commencé à se demander si ce n'était qu'une illusion provoquée par sa peur du noir, ou encore si elle n'était pas tout simplement paranôtaque. Ne voulant plus y penser, elle a constaté qu'il était temps qu'elle aille se coucher pour en finir pour de bon.

Allongée sur son lit, elle venait juste de fermer les yeux, lorsqu'elle a senti un souffle glacial dans son cou. Maintenant, c'était clair. Un revenant. Il nourrissait indubitablement le désir de vengeance. Puis, un murmure lamentable :

– Suis-moi.

Pourquoi pas. Après tout, elle allait finir par être enterrée. Sa vie ne valait pas grand chose. Elle a touché le fond et ne serait plus jamais à la hau-

teur. Vivre un enfer ici ou là-bas, cela ne faisait vraiment pas une grosse différence. Oui, c'était décidément ce chemin déplorable qu'elle allait prendre. Mais non pas maintenant, elle y penserait demain. Enfin, il était beaucoup trop tard. Complètement vidée de ses forces, à un moment donné, elle s'est endormie comme d'un coup de baguette magique.

Lorsque le réveil a sonné à 6 heures du matin, ouvrir ses paupières lourdes lui semblait être la tâche la plus difficile du monde. Néanmoins, face à ce défi, elle a su faire taire ses sentiments. Au bout du compte, elle n'avait pas d'autre choix que de faire preuve d'une grande abnégation et d'une maîtrise de soi. Comme elle n'avait presque rien mangé la veille, elle s'est dirigée tout de suite vers la cuisine. Tandis qu'elle était en train de verser du lait dans un bol de céréales, replongée dans ses pensées, sa mère a surgi de nulle part. Comme d'habitude, elle a commencé la journée par lui reprocher d'être rentrée trop tard et lui insinuer que la maison n'avait rien à voir avec un hôtel. Puis, voyant que Camille ne l'écoutait point, elle a changé de ton et lui a demandé comment se passait le travail. Sans même penser aux répercussions de ce qu'elle allait faire, sa fille lui a tout avoué. Mais il n'était pas question que sa mère se mette à sa place et essaye de comprendre. Cette dernière ne se souciait guère des tourments qu'endurait Camille et ne pensait pas prendre la peine de lui apporter un peu de réconfort. Au lieu de cela, elle a profité de l'occasion pour la réprimander de nouveau.

Il n'était pas encore midi que Camille s'est retrouvée devant l'hôpital. Elle a poussé la porte pour entrer mais, à sa grande surprise, elle était fermée à clé. Troublée, elle s'est dit que c'est n'était pas possible et qu'il fallait tout simplement pousser un peu plus fort. En plus, elle venait au travail toujours à ses heures habituelles et un pareil incident n'avait jamais eu lieu auparavant. De plus en plus désorientée, elle s'est retirée à l'écart pour observer comment faisaient les autres, juste pour se rendre compte que pour un monsieur et une dame âgés qui passaient devant elle bras dessus, bras dessous, cela ne posait pas le moindre problème. Alors qu'ils étaient entrés il y avait quelques minutes, elle en restait bouche bée. Suite à une autre tentative infructueuse, elle en a eu marre d'être la seule qui ne puisse ouvrir la porte. Et si ce n'était pas assez, tout le monde la regardait comme si elle n'était pas bien dans sa tête. Personne ne l'aidait. Au bout du désespoir, elle s'est reculée de quelques pas quand une idée lumineuse lui est venue à l'esprit ; il devait y avoir d'autres entrées. Ça y est, elle en a trouvé une à l'arrière du bâtiment. En pure perte. La même situation. Impossible de l'ouvrir.

- Tu veux vraiment faire encore du mal aux autres ?

Elle a sursauté de peur. Qui a dit ça ? Qui est-ce qui bloque la porte ? Sans trop y penser, elle s'est enfuie à toute allure pour s'enfermer dans la voiture. Une fois engouffrée dedans, une fois ayant repris son souffle, lorsqu'elle s'était presque calmée, elle l'a remarqué s'avancer précipitamment vers elle dans un rétroviseur extérieur. Maintenant qu'elle pouvait voir son visage en plein jour, elle ne doutait plus de son identité. Le voyant s'avancer dans sa direction, l'air extrêmement courroucé, elle a appuyé à fond sur l'accélérateur pour quitter le parking le plus vite possible.

Même si elle en avait froid dans le dos, elle se déplaçait à une vitesse ahurissante risquant d'en subir des conséquences irréversibles. Il lui fallait du temps pour rassembler ses pensées et décider quel serait son pas suivant. Puisque quoi qu'elle fasse, quel que soit le chemin qu'elle se résolve à prendre, elle ne saurait plus jamais jouir de la vie. Jusqu'à présent, le sort ne lui avait pas été favorable, sur quel fondement espérer donc un miracle ? Tout ce dont elle n'avait aucun doute se résumait en une seule conviction qui ne faisait, d'ailleurs, que se confirmer chaque jour. La conviction fondée sur une idée absurde qu'elle avait perpétuellement derrière la tête. Une idée odieusement tenace se traduisant par des voix agressives qui ne cessaient de l'envahir. Ces voix malicieuses qu'elle connaissait bien et qui ne la lâchaient pas en s'obstinant constamment à l'humilier. Elles lui disaient souvent que s'il y avait encore quelque chose qui l'attendait dans ce monde, c'était immanquablement ce qu'il y avait de plus effroyable. Camille ignorait à quel point elle ressemblait à ses parents en croyant à cette prédestination imposée inéluctablement par ses sens. Cet état d'inconscience était, malgré tout, une chose positive parce que dans le cas contraire, elle éprouverait sûrement du dégoût et il est fort probable que par conséquent, elle se mépriseraient encore plus.

Elle a roulé pendant plus longtemps qu'elle ne l'imaginait en ne se rendant même pas compte d'avoir déjà fait le tour de la ville plus d'une fois. Au bout du trajet parcouru, elle a tiré une conclusion décisive de ses réflexions. Elle est enfin parvenue à trouver une solution qui lui permettrait de se libérer de ce cauchemar pour ne plus jamais être en proie à la douleur. Elle s'est dit qu'après tout ce qu'elle avait vécu, elle ne pourrait plus jamais endurer de telles souffrances. Elle préférait diriger vers elle toutes les passions destructrices.

trices qu'elle portait en elle. La solution la plus efficace pour mener à bout ce projet purement masochiste ? La mort.

À ce moment-là, elle savait exactement ce qu'elle allait faire ensuite. Il ne lui restait plus qu'à trouver un moyen certain. Comme elle avait vu pas mal de films d'horreur et lu de nombreuses tragédies, le sujet du suicide ne lui était pas du tout étranger. De peur que l'idée de surdoser ses médicaments s'avère faillible et qu'elle se réveille le lendemain, elle a constaté qu'il valait mieux se jeter dans le vide du haut d'un immeuble. Lorsqu'elle a regardé par la fenêtre, la première chose qu'elle a remarquée était la Tour Eiffel. Elle l'a observée un instant se dresser fièrement et briller de mille lumières en rendant cette nuit un peu moins triste. Paradoxalement, c'était également elle qui allait lui servir à parvenir à ses fins déplorables.

Un quart d'heure plus tard, Camille se tenait à la rambarde tout en regardant vers le bas quand la neige a commencé à tomber abondamment. Elle n'était plus capable de voir ni la ville qui l'entourait ni les enfants chinois qu'elle suivait tout à l'heure du regard. Ils n'étaient plus là pour jouer des coudes afin de se frayer un passage dans une foule de touristes. C'est vrai qu'il était déjà tard et qu'il gelait à pierre fendre. Ils ont dû s'en être allés avec leurs parents. Tout d'un coup, le tumulte a cessé et tout est devenu muet. C'était un moment parfait. S'apprêtant à enjamber le garde-corps, elle a aperçu une personne floue à quelques pas d'elle. Même si elle ne s'attendait pas du tout à voir qui que ce soit, il ne lui a pas fait peur. Il s'est approché un peu plus. Très lentement, puisqu'il titubait. C'était un vieil homme au visage ridé mais gai qui lui semblait connu. Oui, bien sûr, elle se souvenait parfaitement de lui. C'était son tout premier patient qui avait survécu à une opération cardiaque à risque. Une opération qui avait eu lieu il y avait une dizaine d'années et qui s'était pourtant bien déroulée notamment grâce à Camille. Elle avait sauvé sa vie et monsieur Dupont lui en était extrêmement reconnaissant. Il lui apportait des fleurs et de petits messages de remerciements chaque vendredi après-midi jusqu'au jour de son quatre-vingt-dixième anniversaire où il est parti de ce monde. Maintenant qu'il était juste à côté, auprès d'elle comme il en avait l'habitude autrefois, les conversations avec cette personne tellement chaleureuse au sourire contagieux lui manquaient plus que jamais. Il a dû savoir lire dans ses pensées puisque dans le moment même, il lui a adressé la parole d'une voix tremblante mais affectueuse:

– Camille, écoute-moi un instant, s’il te plaît. Je ne veux t’obliger à rien mais je ne veux non plus que tu agisses impulsivement. Je suis venu car te voir si désespérée me fait mal au cœur et je n’arrive pas à le supporter.

Il a fait une courte pause comme s’il s’attendait à ce qu’elle dise quelque chose mais Camille a choisi de se taire en lui donnant ainsi son consentement de continuer à parler.

– Cela fait assez longtemps que nous nous sommes rencontrés pour la première fois mais je suis convaincu que tu te rappelles encore de moi. Je t’assure que malgré tout ce dont tu es persuadée, depuis ce temps-là, à part mon absence, pas grand chose a changé dans ta vie. J’espérais que tu te débrouillerais un peu mieux sans moi, je l’avoue. Mais je ne suis absolument pas déçu parce que je sais que rien n’est perdu. Tu m’avais sauvé la vie et je ne cesserai de t’en être reconnaissant. Même si je n’étais plus ni jeune ni vigoureux, tu m’avais montré comment vivre dans le moment présent et profiter de chaque seconde de la vie. Tu m’avais appris ce que voulait dire apprécier en témoignant d’une grande compassion et en étant toujours prête à prendre soin d’autrui. Je voudrais que tu m’apprennes maintenant ce qu’est le vrai courage. Il y a nombre de personnes qui ont désespérément besoin de toi. Leur plus grand rêve est de pouvoir vivre. Je le sais parce que moi aussi, j’étais l’une d’elles. Je ne vais pas te mentir, tes parents ne sont peut-être pas fiers de toi et ne se rendent pas compte du grand trésor qu’ils ont sous leur toit. Sauf que se soucier de ce que pensent les autres ne vaut pas la peine. Il n’est pas possible de plaire à tout le monde. Crois-moi, j’ai vécu quand même un peu plus longtemps que toi. Il y aura toujours ceux qui t’aimeront et ceux qui t’abaisseront. Parfois pour des raisons absurdes. Bien sûr, les échecs font partie de la vie de chacun et très souvent, on n’y peut rien, impossible de les éviter. Il faut que tu gardes toujours en tête qu’en réalité, ce ne sont que des leçons. De dures épreuves qu’on affronte et surmonte pour en sortir plus fort. C’est seulement à toi de choisir comment elles t’influenceront ou si elles t’influenceront du tout. D’ailleurs, ce n’était pas toi qui t’as donné la vie et ce n’est pas non plus à toi de t’en priver. Le monde est en manque de personnes si précieuses et te perdre serait un grand dommage. C’est pourquoi je te prie de ne pas abandonner ta passion et de poursuivre ton œuvre. Il n’est jamais trop tard pour recommencer. S’il te plaît, réalise mon rêve cette dernière fois et remets-toi debout. Lâche prise et tu verras que les fantômes du passé feront de même. Ils ne te hanteront plus. Je te le promets.

Ayant dit cela, il a disparu. Et quant à Camille, il l'a laissée fort étonnée de ce qui venait de se passer. Toute perplexe et soulagée, elle ne daignait plus commettre une telle folie. Très émue, elle s'est dirigée précipitamment vers la sortie. Le désir de changement qu'elle a ressenti représentait probablement la plus belle sensation qu'elle avait éprouvée tout au cours de sa vie. Elle s'est rendu compte que le bonheur était à portée de main et qu'il fallait la tendre le plus haut possible afin de l'atteindre. Elle ne se trompait guère parce que peu de temps après, à sa porte a frappé le renouveau et la joie de vivre.

Monographie lépidoptérologique

Natalia Jarecka

Le Docteur a enfin compris que dans son ventre s'étaient installés des papillons, toutefois c'était un phénomène fort probable, voire inéluctable. Il s'y attendait parce que pendant son enfance, il lui arrivait de manger des saloperies trouvées dans l'herbe et sa mère l'avertissait souvent que les chenilles dans son estomac s'y métamorphoseraient tôt ou tard. C'est donc ce qui s'était passé ; durant les quelques mois précédents, le Docteur éprouvait au-dedans de lui un fourmillement inhabituel.

C'était plus ou moins le moment où il avait été réprimandé par le directeur de la clinique pour ses absences récentes qui se répétaient trop souvent. Pourtant, à ce moment-là, le Docteur se désolait moins de la vie des papillons que du licenciement qui pourrait éventuellement suivre cette réprobation dépourvue d'indulgence. Une sensation de légères et multiples piqûres ressenties aux alentours de l'intestin grêle avait provoqué chez lui un sentiment d'irritation persistante. Il ne pouvait plus fixer son attention sur le travail parce qu'il méditait sans cesse sur l'intérieur de son corps. En tant que médecin, il était convaincu qu'il n'existait aucun moyen de se débarrasser d'un tel souci ; en tout cas, on n'a jamais réussi une intervention chirurgicale visant à supprimer de l'estomac un groupe d'insectes vivants. Et puisqu'il ne pouvait pas se tirer de cette situation honteuse, il s'est décidé à l'accepter.

Depuis lors, le Docteur qui de tout temps était follement épris de repas gras et indigestes, a commencé de n'ingérer que des aliments facilement assimilables, sinon il faisait du mal aux lépidoptères. Il choisissait des plantes mellifères, notamment des fruits sucrés et des fleurs. Dans un guide d'élevage, il avait lu que les pommes légèrement fermentées sont un régal pour plusieurs espèces de papillons, par exemple les Paons-du-jour. Il a donc amassé une réserve gigantesque de Golden. À vrai dire, le Docteur n'était pas sûr que ce soient justement des Paons-du-jour qui résidaient dans son ventre, mais il croyait que les pommes fermentées ne nuiraient à aucune espèce. Il mangeait nombre de feuilles de persil, beaucoup de laitue, d'aneth et de trèfle. Tout au début, il cherchait à recueillir la rosée pour la boire, mais il s'en est lassé sur-le-champ, d'autant plus que l'eau du robinet n'a rien de différent.

Il se demandait maintes fois quelles sont les coutumes des femelles qui vont déposer des œufs, tout de même, il voulait leur assurer les conditions de reproduction les plus favorables. Devrait-il rester assis à ce moment, pour que les papillons puissent se livrer sans hâte à la recherche de plantes pour les larves nouvellement nées ? Ou bien ne pas cesser de bouger, ce qui entraînerait une pulsation apaisante de l'estomac grâce à l'absorption d'oxygène ? En outre, le Docteur songeait à des aphrodisiaques pour les mâles, quoiqu'il n'ait aucune idée de ce qui excite le désir chez les lépidoptères. Aussi s'est-il décidé à ne pas se préoccuper de leurs rites amoureux, d'autant plus qu'il ne savait point quand apparaîtraient les premiers œufs. Il a lu quelque part que l'oviposition dure généralement jusqu'au mois d'août, il n'empêche qu'il est difficile de deviner la saison au-dedans d'un ventre. Le Docteur s'inquiétait de ce que tout ce rituel implique une période de sacrifices trop exigeants, et il tenait à mener une vie ordinaire.

En prévision de toute éventualité, il essayait de manger plus sainement afin que les jeunes larves aient un vaste éventail d'aliments. Les chenilles semblent avoir une faim perpétuelle, elles veulent manger sans mesure ; leurs organes de perception sont handicapés à tel point qu'elles ne sont pas capables de distinguer le jour de la nuit, mais elles reconnaissent immédiatement des plantes particulières. Sur une image dans une encyclopédie générale, le corps de la forme larvaire est oblong et métamérisé avec une tête apte à faire passer un aliment. Il paraît que sa formation dure au moins 30

jours en admettant que les conditions climatiques soient clémentes, mais on ne sait pas si les spécialistes classent l'estomac parmi les milieux qui conviennent aux insectes.

Le corps est tant développé qu'une cuticule molle doit l'empêcher de se dilater, ce qui invite la chenille goulue à terminer son repas. C'était l'heure de la mue. Le Docteur était convaincu que ses larves y feraient front avec courage, néanmoins, il s'inquiétait du moment de la métamorphose elle-même. La chenille doit trouver un endroit convenable, par exemple une tige ou une ramille suspendue au-dessus du sol, et s'y attacher. Elle reste immobile pendant trois jours ; le Docteur redoutait que des cocons puissent se détacher avant le temps prévu, ce qui l'a décidé à observer son corps chaque matin. Au moment où les larves commenceraient à coller à la cavité abdominale, il prendrait quelques jours de congé sans solde et resterait chez lui pour ne pas les ennuyer. Toutefois, le monde des lépidoptères comptait déjà plus de 150 000 espèces différentes et le Docteur ne savait point de laquelle il s'agissait.

Il consacrait ses loisirs à mâcher de petites pousses d'herbe et à feuilleter des ouvrages spécialisés, en comparant les hétérocères avec les rhopalocères. Pourvu qu'il ait avalé une larve de Mégère qui était son espèce bien-aimée ! Pourtant les souvenirs d'enfance lui échappaient toujours plus, et les œufs de lépidoptères ont des milliers de formes dissemblables ; ils peuvent être fuselés, allongés ou sphériques, la surface lisse ou avec des aspérités. Quelques-uns ont des creux et des sillons, des rayures parallèles et unidirectionnelles. Leurs couleurs peuvent varier : les œufs sont verts, jaune criard, orange, blancs, gris. Il n'était pas facile de préciser sur lesquels il était tombé autrefois. En plus, il était fort probable qu'il avait dans son ventre des dizaines, voire des centaines de papillons différents. S'il n'avait pas mangé au moins un couple, ils ne se reproduiraient pas du tout.

Heureusement, le Docteur ne devait pas s'en inquiéter, parce que, peu après, il a senti que dans son estomac glissaient des tonnes de petits œufs. Selon sa décision antérieure, il a demandé un congé ; sachant qu'à ce moment-là, la condition la plus importante du développement de son élevage, c'étaient les plantes, il en mangeait beaucoup. Il existe plusieurs lépidoptères qui restent à l'étape de chrysalide durant trois ans, donc le Docteur cherchait à engloutir beaucoup de laitue pour qu'ils puissent hiverner

tranquillement. Cette éventualité était pourtant peu probable – leur tâche principale consiste à se reproduire, voilà la raison pour laquelle les Imagos meurent relativement vite, et dans un cas extrême, ils n'absorbent pas d'aliments. Le Docteur a entendu parler de papillons qui déclinent en quelques minutes, il y a aussi ceux dont la vie dure plusieurs mois. Mais quand bien même ils mourraient tous après avoir déposé des œufs, leur progéniture apparaîtra peu de temps après.

Le Docteur se demandait ce qui allait arriver quand son appareil digestif ne serait plus capable de contenir tant de papillons. Il espérait qu'ils réussiraient à s'échapper de l'estomac, pénétrer dans l'œsophage et s'envoler par la bouche afin de recommencer leur vie quelque part en plein-air, bien qu'il existe des insectes attachés au lieu d'éclosion. Le Docteur souhaitait que ceux qui demeuraient dans ses viscères soient plus raisonnables et qu'ils quittent son corps au moment opportun.

Il ne voulait pourtant pas attendre passivement que les insectes décident de déménager. Tout le rituel pouvait impliquer une période de sacrifices trop exigeants, et il tenait à mener une vie ordinaire. À cause de la métamorphose, il a failli être licencié de la clinique ; les employeurs en général ne supportent pas des papillons volant librement à l'intérieur des salariés, mais le Docteur était obstiné. Il a commencé par la rédaction d'un tas de demandes d'emploi. Pour que son futur patron sache bien avec qui il allait passer un contrat de travail, dans une rubrique « Centres d'intérêt », le Docteur a écrit sans délai : « élevage de papillons ».

Lorsqu'il y a apposé sa signature, il a senti un corps minuscule se frayant un chemin à travers son système gastro-intestinal. Le lépidoptère chatouillait légèrement la paroi de son œsophage en s'avançant vers le pharynx. Le Docteur est resté immobile ; il a retenu son souffle, la bouche ouverte, jusqu'au moment où il a vu un tout petit Damier des marais mouillé de salive. Le papillon a étendu ses ailes fines comme un papier buvard pendant que le Docteur, ému du miracle de la naissance, le regardait avec affection.

– Je te vois enfin, a-t-il dit, enchanté de faire ta connaissance.

Aucune encyclopédie ne mentionne que le Damier des marais possède les organes de la parole, alors le Docteur avait raison de ne pas s'inquiéter de son silence.

Il a passé toute la soirée à admirer la beauté des ailes couvertes d'écaillés marronnet orange, le revers orné de damiers clairs, la trompe enroulée en spirale... Excité, il a aménagé en chambrette un pot de verre, en le décorant de feuilles et de plantes à fleurs. Auparavant, il n'a jamais pensé que ses papillons voudraient rester avec lui. C'est pourquoi il était surpris d'en voir d'autres se matérialiser devant ses yeux : un Damier des marais de plus, mais aussi un Vulcain, un Machaon, un Grand nacré, un Azuré du mélilot... Le pot ne pouvait plus les contenir et le Docteur leur a permis d'occuper un vieux terrarium, enfin, ils se sont installés dans la chambre la plus petite de son appartement. Il leur apportait des paniers de pommes et des bouquets de fleurs sauvages, il ramassait des branchettes ; lorsque les lépidoptères manifestaient leur gratitude en se posant sur ses épaules, le Docteur se sentait indispensable pour la première fois de sa vie.

Leur petite communauté s'agrandissait toujours plus. Il ne s'en plaignait pas, mais il s'est trouvé impuissant à maîtriser les migrations des papillons qui décidaient de sortir au moment le moins convenable possible. Un léger picotement éprouvé dans la gorge peut procurer un certain plaisir, à moins qu'il advienne à un médecin opérant d'urgence... Les patients témoignaient leur mécontentement aussitôt après avoir quitté son cabinet. Étonnés et dégoûtés, ils remarquaient que pendant un examen ou une consultation chez leur médecin traitant, de la bouche de celui-ci jaillissait un morceau de papier mouillé, c'est-à-dire, en réalité, une Petite tortue désorientée, et ils allaient immédiatement s'en plaindre à la direction.

C'est pourquoi le Docteur a commencé à chercher des informations sur l'influence de facteurs externes qui conduisent à la métamorphose, encore ne pouvait-il pas déterminer la photopériode dans l'estomac. Il lui semblait qu'aucun climatologue ne s'était jamais penché sur le problème de la fréquence des précipitations au-dedans du corps humain. Et puisqu'il ne savait point comment contrôler les métamorphoses de manière artificielle, il a essayé de faire comprendre aux papillons qu'ils devaient se retenir de quitter leurs cocons au moins jusqu'à ce qu'il soit déjà sorti de l'hôpital. Peut-être les migrations se sont-elles régularisées justement grâce à cette allocution paternelle ; dès lors, elles ne commençaient pas avant 19 heures.

Mais une fois, il est arrivé qu'un des papillons ait surgi entre ses lèvres couvertes d'un masque chirurgical, ce qui a créé un désordre soudain dans la salle d'opération. Une peur panique s'est emparée du personnel soignant qui s'est dispersé en tous sens. Des infirmières, terrifiées, ont attaqué l'insecte avec des pinces et des bistouris sans faire attention au patient sous anesthésie générale, étendu sur la table d'opération.

Ainsi, pour la quatrième fois en deux mois, le directeur de l'hôpital a grondé le Docteur pour ne pas avoir respecté quelques recommandations de l'OIT sur la santé et la sécurité au travail :

– J'en suis déçu, a-t-il dit en tâtant le sommet de son crâne dégarni par une calvitie précoce, vous ne vous acquittez pas de vos devoirs, malgré des efforts collectifs et mon indulgence personnelle. À maintes reprises, des infirmiers de bloc opératoire se sont plaints de vos retards et d'un abus de fonction inexcusable... et de ces papillons...

Le directeur a secoué la tête en signe de désapprobation sévère :

– Bien sûr, je comprends parfaitement que vous avez un violon d'Ingres, mais la semaine dernière, un garde-malade a découvert quelques papillons cachés derrière une machine cœur-poumons. Et moi, je suis tombé sur des Cuivrés communs endormis sous un amas de gants stériles. Voyez, s'est-il exclamé en ouvrant vigoureusement un tiroir de son bureau, d'où se sont échappés immédiatement deux Machaons. Le Docteur ne se doutait pas jusqu'alors que les lépidoptères s'adaptent au dressage. Soudain, il a songé aux dresseurs de puces, lesquels amusaient des participants de l'Oktoberfest en annonçant à haute voix « ein Zirkus mit den Flöhen » avant d'ouvrir leurs valises. Depuis fort longtemps il rêvait de visiter Munich. *Es lebe das Abenteuer !*

– Voici mon dernier mot, le directeur a-t-il ajouté, en balançant machinalement un crayon entre ses doigts et en regardant un des papillons qui s'est posé sur une pile de documents. Dès maintenant, laissez vos hobbies à la maison, s'il vous plaît.

À ce moment-là, presque inconsciemment, il a percé le Machaon du crayon. L'insecte épouvanté s'est mis à se débattre de toutes ses forces, mais la mine du crayon pointu était bien enfoncée dans le thorax. Le Docteur s'est levé en sursaut et il a poussé le Directeur qui, assis dans le fauteuil de bureau en cuir, a roulé vers l'armoire à rideaux. Le crayon est tombé par terre, mais le Machaon libéré n'avait pas encore pris son vol. Le Docteur l'a touché avec délicatesse comme s'il auscultait un malade dans son cabi-

net, et plus il examinait ce petit corps fragile, plus il tremblait d'une colère frénétique contre le directeur qui avait blessé un de ses enfants avec une méchanceté affreuse.

Qui sait ? Peut-être le Docteur visitera-t-il enfin Munich...

Quand la porte du cabinet du directeur s'est refermée derrière lui avec grand bruit, une femme de ménage balayant le couloir a redressé la tête, mais il ne l'a pas saluée. Furieux, il s'est dirigé vers une sortie de secours ; tout autour de sa tête tournoyaient les papillons qui s'étaient décidés à quitter l'hôpital avec lui. Le Machaon dans sa main n'avait pas encore bougé, et le Docteur l'a comparé mentalement au guerrier spartiate qui devait revenir d'un champ de bataille soit victorieux avec son bouclier, soit mort sur le bouclier. Au moment où il est arrivé sur le palier en haut de l'escalier de pierre, il s'est senti indiciblement heureux ; soudain, il s'est demandé combien de papillons une valise pouvait contenir. Peut-être qu'il devrait donner son appartement en location afin de se permettre l'achat d'une caravane, mais l'essentiel était que le Docteur ait sa famille près de lui.

Un mystérieux miracle

Marta Wójcik

Un jour comme les autres, Mathilde est rentrée à la maison, ses cours finis. Elle est allée dans sa chambre pour se reposer et pour lire une histoire captivante. Soudain, elle a entendu la voix de sa mère :

– Ma petite chérie, tu m'aides à la cuisine ?

– Oui, j'arrive ! a répondu Mathilde, interrompant sa lecture intéressante.

Elle adorait préparer des plats avec sa maman. Cette fois, il fallait s'occuper des épinards pour faire une quiche, le plat préféré de toute la famille.

– Tu peux couper les épinards et moi, je fais la tarte. Nous devons finir avant que ton père revienne du travail.

– On peut le faire ! J'espère que le dîner lui plaira.

– Oh oui, je le pense aussi, Mati.

Jean-Pierre est rentré à la maison pendant qu'elles finissaient les préparations:

– Bonsoir mesdames ! Quelle bonne odeur !

– Merci, Papa. Nous avons préparé une quiche aux épinards.

– C'est super, j'ai très faim ! Mangeons.

Après un repas délicieux, Mathilde est allée chez Claude, son meilleur ami. Ils ont parlé de l'école et de leur cours favori avec leur surveillante. Puis la jeune fille a dû revenir chez elle, car il était tard. Le lendemain, il fallait

se réveiller tôt. En allant au travail, son père l'a amenée à l'école. Mathilde a retrouvé Claude et ils sont allés en classe.

Aux alentours du troisième cours, c'était l'éducation physique, quelque chose n'allait pas avec Mathilde. Elle a commencé à se sentir faible et elle a eu très mal à la jambe gauche. Son institutrice l'a amenée à l'infirmerie. Malheureusement, en chemin, Mathilde s'est soudainement effondrée en tremblant et s'est évanouie. On a immédiatement appelé les urgences et les parents de la fille. L'ambulance l'a emmenée à l'hôpital. Louise et Jean-Pierre sont venus aussi vite qu'ils ont pu. Sans savoir ce qui se passait exactement, ils sont allés chez le médecin qui l'a examinée. Mathilde était heureuse de voir ses parents, mais elle n'a pas souri, elle n'en avait plus la capacité. Sa mère a commencé à pleurer et à pressentir les pires choses. Son mari l'a prise dans ses bras et l'a serrée fermement. À ce moment-là, le spécialiste est revenu avec les résultats de scanner et de son analyse de sang. D'abord, il a invité Louise et Jean-Pierre à son bureau. Leur fille attendait dans le couloir. Ils ont parlé pendant cinq minutes. Puis, on lui a demandé d'entrer. Ses parents attristés étaient assis devant le bureau du médecin.

– Ma petite fille... a commencé sa mère en pleurant.

Elle s'est assise avec difficulté juste à côté. Docteur Legrand, car c'était son nom, a expliqué quelques points. Néanmoins, Mathilde ne l'écoutait pas. Le silence des parents disait tout ce qui n'était pas prononcé. Et bien sûr cette douleur à chaque pas. Ça devait être une maladie sérieuse. Alors le médecin a révélé un diagnostic alarmant : un ostéosarcome, le cancer des os. C'était une nouvelle triste pour tout le monde.

Il fallait commencer le traitement dès que possible, parce que la maladie était à un stade avancé. Mathilde devait arrêter son apprentissage et s'installer au centre d'oncologie. Un changement trop grand pour une fille d'un si jeune âge. Elle n'était pas très proche de sa classe sauf, bien sûr de Claude et de quelques copines. Toutefois, tout ça l'a touchée profondément. Ce séjour à l'hôpital devenait insupportable. Une fois, presque toute la classe et sa surveillante sont venues la voir. C'était l'un des jours les plus heureux à l'hôpital. Ils l'encourageaient à lutter contre sa maladie, lui ont donné un grand bouquet de fleurs et un livre d'Éric-Emmanuel Schmitt, son écrivain préféré. Après cette visite, Mathilde se sentait mieux. C'était très gentil de leur part de se souvenir d'elle. Soudain, elle a senti qu'elle était appréciée par les autres et ça lui a donné un peu de courage. Malgré son état de santé faible, elle essayait d'être forte pour ne pas attrister ses parents. La jeune fille se répétait ça chaque jour à partir du moment où elle était

réveillée. Le personnel médical l'admirait pour sa volonté de vivre et pour sa joie face aux petits plaisirs. Parfois son état de santé s'améliorait, mais juste pour un moment. Le cas de Mathilde était particulièrement malin. On a essayé beaucoup de médicaments en association avec la chimiothérapie. Les spécialistes cherchaient quelque chose de particulier, de nouveau, qui pourrait l'aider. Néanmoins, un tel traitement n'existait pas encore. Louise et Jean-Pierre aidaient également à chercher un médicament adéquat. Ils ne pouvaient pas capituler et perdre leur unique enfant. Malheureusement, leur fille faiblissait de jour en jour. Le cancer l'attachait à son lit. Elle ne se levait plus depuis longtemps et ne pouvait pas marcher seule. Aucun traitement ne marchait. Il fallait prévenir le risque d'apparition des métastases. Alors on a été décidé en dernier recours : une amputation. Mathilde comprenait le fait qu'elle ne pourrait plus être la même personne. Elle savait que c'était nécessaire de survivre. Elle voyait avec tristesse la souffrance de ses parents. Tout le temps elle leur disait que tout irait bien. D'une personne timide et calme, elle s'est transformée en personne totalement confiante et mature malgré ses treize ans. Ce changement était une surprise pour ses proches. Le jour où devait avoir lieu l'amputation était très stressant pour tout le monde, surtout pour Louise qui était toujours vulnérable émotionnellement. L'opération a duré six heures et n'a pas été facile. Mais heureusement tout a bien fini. Après deux jours dans le coma, la fille s'est réveillée à la joie de tous. Tout de suite, elle a remarqué un changement. Sa jambe était plus courte, un peu au-dessus du genou. Au début elle se sentait étrange, comme si rien n'avait changé, ensuite elle a senti un mal perçant. Et elle a crié fort. On lui a donné immédiatement des analgésiques et des hypnotiques. Mathilde s'est endormie. Puis, après quelques problèmes, sa santé a commencé à s'améliorer un peu. Ça donnait un espoir de guérison. Elle était encore très faible mais elle ne sombrait plus dans l'inconscience. Tout avait l'air d'être mieux. Docteur Legrand a fait des examens divers. La seule chose qui leur restait était d'attendre. Les résultats des analyses ont été envoyés.

Ce jour-là, tout a changé. Il s'est avéré que des métastases étaient apparues dans son pelvis. Tout indiquait que cela pourrait être pire. Par conséquent, les médecins ont décidé que l'hôpital ne pouvait rien faire pour cette pauvre fille. Elle ne pouvait rentrer chez elle, tout d'abord, il n'y avait pas les conditions appropriées pour une personne malade. Ses parents cherchaient une solution et peu de temps après ils l'ont trouvée. À Bordeaux,

il y avait un hospice pour des enfants qui se trouvaient dans le même état que Mathilde. C'était un lieu où on aidait à atténuer la douleur. C'était là où on l'a placée. Certainement, l'hospice était déprimant quand on regardait tous ces enfants qui luttaienent contre des maladies incurables. Néanmoins, chacun d'eux était pour les autres une grande consolation. Mathilde est rapidement devenue amie avec tout le monde, mais spécialement avec une fille, Anabelle, qui avait la leucémie et avec un garçon, Sébastien, qui avait le cancer des yeux. Louise et Jean-Pierre savaient que leur fille n'avait plus beaucoup de temps. Ils avaient du mal à accepter ce fait. La progression de l'ostéosarcome se poursuivait tout le temps. Il ne restait qu'à assurer à Mathilde la tranquillité et la joie. Avec Claude, ils ont décidé qu'ils réaliseraient son rêve. La fille rêvait depuis longtemps de rencontrer son écrivain préféré, mais elle n'en avait jamais trouvé l'occasion. Alors, ils ont contacté son assistante. Après une semaine qui semblait aussi longue qu'un mois, elle a répondu positivement. Éric-Emmanuel Schmitt viendrait deux semaines plus tard. Ça devait être une surprise pour Mati, alors ils ne lui ont rien dit. Enfin, ce moment est arrivé. Monsieur Schmitt est apparu le samedi matin. La jeune fille était dans sa chambre et lisait l'un de ses livres. L'écrivain est entré dans la pièce. Imaginez sa surprise et son euphorie incroyables. Au début, elle ne pouvait rien dire et elle n'a fait que le regarder, étonnée. Mais peu après, elle s'est calmée. Avec un grand sourire, sans penser à la souffrance, elle a commencé à parler.

– Je suis très heureuse que vous soyez ici. C'était mon rêve de vous rencontrer.

– Oui, je sais... et moi, je suis content de voir cette fille de laquelle j'ai entendu dire beaucoup de choses positives.

– Merci... a répondu Mathilde en rougissant un peu.

– J'admire ton courage. Je crois que cette bataille n'est pas facile et je voudrais te donner quelque chose.

Et il a sorti un livre magnifique de son sac à dos. C'était un exemplaire qui n'était pas encore dans sa collection, *Oscar et la dame Rose*. Ce livre était le plus beau qu'elle avait vu. La reliure brune et rigide était couverte de lettres dorées, les pages un peu vieilles. À l'intérieur se trouvait une dédicace pour elle. La fille était presque en larmes, des larmes de joie. C'était sûr, ce devait être le plus beau jour de sa vie. Puis, ils ont parlé encore longtemps. Louise et Jean-Pierre la regardaient avec plaisir. Leur fille avait l'air d'une personne en bonne santé. Le soir, elle les a remerciés de cette expérience extraordinaire. Depuis lors, elle est devenue différente, ses capacités

revenaient. Presque en même temps, l'un des spécialistes qui s'occupait de Mathilde a contacté un collègue de sa profession et ils ont trouvé une solution temporaire, un traitement qui devait ralentir la progression de la maladie. Ce traitement expérimental devait être administré dès que possible. On l'a acheté rapidement et Mathilde a reçu une dose. Les examens ultérieurs ont montré que les métastases avaient arrêté leur progression et qu'en plus elles reculaient. Cette rémission est devenue un miracle spécifique. Mathilde a reçu une seconde chance de vivre et de suivre ses autres rêves.

2^{ème} partie :
Vertiges du passé

Les fantômes du passé

Małgorzata Dębowska

C'était en Pologne, c'est-à-dire nulle part. Mais ce « nulle part » avait son histoire, belle et pénible, ainsi que ses propres héros et ses propres traîtres. C'était à Varsovie, ou peut-être à Cracovie. Ça s'est passé aujourd'hui, ou peut-être hier ? C'était le printemps, le temps de l'amour. De jolis garçons en vert chantaient « Dieu, honneur, patrie » et « Mort aux communistes ». Des vieillards criaient « Défendre la démocratie ». Le pays était rempli de patriotes, et la terre fleurissait sous le soleil du printemps.

Pour la première fois, ils se sont rencontrés un dimanche pendant la messe. Il l'a aperçue parmi les autres scouts. Elle portait une longue tresse rouge et un béret noir. Mais c'étaient ses yeux riants qui ont capté son attention, si différents des yeux fatigués des autres personnes à l'église. Ils l'ont tant fasciné qu'il a osé l'inviter au café, même s'il ne la connaissait pas du tout. C'était la chose la plus audacieuse de sa vie, mais ça a valu la peine, car peu après, elle est devenue sa petite amie.

Pendant le premier mois, ils ne parlaient que d'amour, de la beauté du monde, de leurs plans pour le futur. Elle voulait devenir médecin, il pensait étudier l'histoire. Heureux et naïfs, ils planifiaient leur vie ensemble. Après quelques semaines, il a décidé de la présenter à son grand-père avec qui il avait une relation profonde. Pour le garçon, le grand-père était le plus

grand héros, un mentor et une autorité. Ayant tout vu et tout vécu, il avait toujours raison. Les souvenirs horribles du temps de la guerre n'ont jamais cessé de le hanter mais ses histoires épatantes – les histoires d'un vieux soldat – étaient aussi glorieuses que sinistres. Parfois, elles erraient parmi les bois ténébreux des Bieszczady où le vieil homme avait passé quatre années, longues et torturantes, de sa jeunesse perdue. Parfois, elles allaient au-delà de la guerre pour déterrer l'amertume et le désenchantement de la paix illusoire de 1945. Les récits des événements étaient toujours accompagnés de jugements sévères, renforcés par les décennies de son combat personnel contre, premièrement, le régime communiste, et puis, contre tout le monde. Même si le jugement était simplifié ou biaisé, on ne le discutait pas – un principe qu'elle ne connaissait pas au moment où elle s'est présentée à la maison du grand-père. Elle n'a donc pas hésité à exprimer son exaspération lorsque le vieil homme a abordé le sujet des Juifs : « Mais pourquoi vous dites ça ? Le monde ne se compose pas que de traîtres ! Les Juifs ne sont pas coupables du régime bolchevik ! C'est un mensonge répété par les perdants, c'est du racisme, tout simplement ! ». À ces mots, le sang du garçon s'est figé. Le grand-père n'a rien dit mais il a baissé les yeux et a frappé du poing sur la table. Puis, il s'est levé et est sorti de la pièce. La visite était finie. La fille s'en est allée rapidement et le garçon est resté seul à la table.

La fille se sentait agitée et abattue. Par contre, le garçon était si furieux que ses doigts tremblaient de colère alors qu'il composait son numéro quelques heures plus tard. « Comment as-tu pu l'insulter comme ça ? » criait-il au téléphone. « Tu n'imagines pas ce qu'il a vécu. Ce sont les Juifs qui l'ont trahi, qui l'ont dénoncé aux services. Comment peux-tu le juger ? »

La fille, embrouillée, l'écoutait sans dire un mot. Elle n'a pas osé dire que ses arrières grands-parents étaient Juifs, et qu'ils étaient morts en 1941. Elle n'a pas osé dire que ce n'étaient pas les Russes ni les Allemands qui les avaient égorgés. Elle n'a rien osé dire parce qu'elle savait que sa grand-mère devait sa vie à une famille polonaise et que la haine et la charité n'étaient pas toujours contradictoires. Parce qu'elle avait appris, durant 20 ans de sa vie en Pologne, qu'elle n'avait pas le droit de juger les autres. Et en plus, elle savait que la voix du vieil homme faiblissait, et que cette voix se tairait définitivement un jour. En ce temps-là, elle voulait vivre le moment présent, pas le moment passé. C'est pourquoi elle a décidé d'avaler la pilule et de ne jamais plus évoquer les fantômes de la guerre.

Le grand-père s'est éteint en décembre, avant Noël. On l'a trouvé assis sur son fauteuil, en face de la télévision. Peut-être que c'était une mauvaise nouvelle qui l'avait tué, ou plutôt un de ses fantômes. Mais la version la plus probable est que le temps est enfin venu le soulager et apporter la tranquillité éternelle à ses yeux toujours vigilants et troublés. Les funérailles étaient touchantes et solennelles. Les forces armées sont venues rendre les honneurs militaires à l'ancien combattant. Un trompettiste jouait la sonnerie aux morts et les officiers saluaient lorsque le cercueil disparaissait lentement dans la terre. Le garçon tenait la main de son amie et ils pleuraient, tous les deux.

Quelques mois ont passé et le printemps est revenu, tout en fleurs, après un long hiver. Les jaseurs sont rentrés de leurs voyages lointains pour chanter leurs airs en l'honneur du soleil et les jonquilles jaunissaient aussi bien aux jardins qu'aux cimetières. La famille a pris la décision de vendre l'appartement du grand-père et c'était un bon moment pour le nettoyer. Le garçon et son amie se sont immergés dans la poussière du grenier avec l'intention de vérifier s'il y avait quelque chose d'intéressant. Rapidement, ils ont vu qu'il n'y avait que des trésors : des vieilles robes toutes en dentelle, des photos en noir et blanc, montrant le monde d'antan, une boîte avec des lettres d'amour... Abasourdis par cette trouvaille, ils ont commencé à lire tout de suite, une lettre après l'autre, profondément touchés par la gentillesse et l'élégance de chaque mot choisi par les vieux amants. Mais une feuille se distinguait parmi la correspondance intime. Le papier était abîmé et l'encre effacée par le temps. La feuille portait le signe de l'Ancre Polonaise et sans doute c'était un document militaire. L'écriture était difficile à lire mais ils ont parvenu à déchiffrer quelques mots :

« Mission accomplie, 11 mars 1941. Nombre de morts : 11. Nationalité : Juifs. Réquisitions : réserves alimentaires, carburant, objets de valeur, une arme à feu... »

Le garçon a frissonné. Premièrement, il semblait ne pas comprendre. Puis, il s'est senti tenu de défendre l'honneur de son grand-père, même si personne ne l'attaquait. C'était son devoir moral, pensait-il, envers son ancêtre et donc envers lui-même. Mais avant qu'il n'ait pu articuler un mot, elle a dit :

– Ça n'explique rien. Quelques chiffres sans contexte, rien d'autre.

– Qu'est-ce qu'on va faire, donc ? a-t-il demandé.

– Il faut le détruire, afin que personne ne pose jamais de questions.

Elle voulait éteindre pour toujours la moindre étincelle de haine plutôt que la nourrir. C'était sa manière brutale de rompre avec le passé difficile, de l'enterrer dans la poussière et la cendre.

Ainsi, il a allumé le papier et ils le regardaient brûler en silence, lorsque les fantômes du passé s'enfuyaient dans l'oubli, comme la fumée et les tempêtes d'antan.

« *N'aie pas peur !* »

Ester

– Il est parti comme beaucoup d'autres. Pendant la guerre, ils devaient partir.

– Où ?

– Aux quatre coins du monde.

– Pour quelle raison ?

– Les uns pour gagner, les autres pour être perdus.

– Et après ?

– Les uns sont revenus mais d'autres ont disparu. Quelques-uns ont abandonné leurs femmes, leurs familles. Depuis ce temps-là, ils sont devenus des souvenirs dans leurs mémoires. Ils vivaient quand même, rappelés à la vie par leurs bien-aimées, quand elles parlaient d'eux et quand elles se souvenaient d'eux.

– Et lui ? Est-il revenu ?

– Jamais.

* * *

Il est parti comme beaucoup d'autres. Le neuf mai... Quand la nature était trop verte et trop jaune. Quand les hommes se battaient pour vivre un jour de plus sur cette misérable terre.

Son fiancé devait partir à l'ouest. Dès lors, elle était seule à vivre dans la maison de son mari qui avait perdu ses parents quelques années auparavant. Même si la peur était son plus proche compagnon, elle ne cessait de penser que la guerre finirait bientôt et qu'il allait revenir chez elle. Naïve ? Pas du tout, pendant la guerre, l'homme sans espoir est comme le pommier condamné à ne jamais avoir de fruits.

Il avait été appelé aux armes et en deux semaines il était parti en laissant tout. Cet événement avait marqué le début de la période de langueur dans la vie de son épouse.

L'amour rend aveugle et sourd chacun qui se soumet à son pouvoir. Certains veulent encore se battre, essaient de faire face à cette puissance. De temps en temps, ils gagnent et ont pour prix la solitude et le vide qu'ils comprennent comme une démonstration du bon sens et de la maîtrise de l'esprit.

Cet été-là, il faisait énormément chaud. Les maisons, les bicoques et les cabanes étaient recouvertes de mouches. À cause de la chaleur, les gens passaient d'une ombre à l'autre. La route principale, de la même façon que les sentiers et les pistes, était vide. De temps en temps, les gens pouvaient entendre le bruit violent d'un avion qui faisait chaque fois frissonner. Un énorme silence pesait dans le village. Les chiens n'aboyaient pas. Les vaches et les porcs étaient en grande partie volés ou déjà mangés. Pourtant, il existait un être qui vivait de la même manière qu'avant la guerre. C'était le coq des Nowak. Tous les matins, son assourdissant chant réveillait le village. Innocent, il avait le pouvoir sur les rêves des femmes et des hommes. Des grands-parents et des petits-enfants. Des enfants et des parents. Des amoureux et des solitaires. Il tirait toujours Magda de son sommeil, pendant lequel chaque nuit, elle faisait presque le même rêve. Elle se voyait près d'une falaise, elle était consciente qu'elle n'était pas seule, mais ne pouvait pas dire qui était avec elle. Malgré tous ses efforts, une immense puissance la poussait vers la mer. Jusqu'à la fin, elle se défendait, mais, au fur et à mesure que le temps passait, elle s'approchait de la falaise. Quand elle était au bout de la falaise, la personne qui était près d'elle lui disait « N'aie pas peur ! » et, en commençant à marcher dans le vide, elle se réveillait en raison du chant du coq. Chaque matin, Magda se demandait ce que pouvait signifier le rêve et comment il pouvait être lié à une personne de son entourage. Souvent, ses

pensées l'avaient absorbée si fortement qu'elle donnait du foin aux poules et oubliait de préparer le diner. À chaque fois, quand ses réflexions touchaient la personne de son mari, elle faisait une petite prière pour que Dieu le protège de tout le mal.

Quand est passé le dixième mois de son absence, les lettres ont cessé de lui parvenir. Au début, elle pensait que leur interruption était causée par les problèmes de la poste. Mais après un mois, elle a commencé à devenir folle de chagrin. Elle n'était pas capable de s'asseoir même si elle était très fatiguée. Le moindre problème provoquait ses larmes : un bref manque d'eau, la fermeture éclair qui s'était bloquée ou un discours méchant qu'elle avait entendu. Elle ne s'imaginait pas la vie sans lui. Oui, on ne pouvait pas l'imaginer sans lui, son ombre tutélaire avait toujours été derrière elle. De temps en temps, son opinion l'avait aidée à prendre une décision, ou à s'opposer aux reproches des autres. À chaque fois, il l'encourageait avec les mêmes mots. Elle ne devait faire aucun effort pour se souvenir du ton de sa voix quand il disait « N'aie pas peur ! ». Avant le déménagement de chez ses parents, c'étaient eux qui décidaient pour elle. Mais comme elle avait dû les quitter pour habiter chez son mari, depuis ce temps-là, il dirigeait ses pensées.

Quand les autres pensaient où trouver la nourriture et les outils pour le travail, elle pensait où le trouver. Pendant cette recherche, elle perdait les derniers rayons d'espoir. Pour avoir quelques informations, elle a écrit une lettre au responsable de la surveillance de la région où elle vivait. Pleine d'inquiétude, elle a attendu la réponse. Le mois d'après, quelqu'un est apparu dans les vallées du nord. Elle l'a aperçu de la fenêtre quand elle prenait le petit-déjeuner. « Il revient ! » a-t-elle pensé. Immédiatement, elle n'avait plus faim et s'est levée pour sortir. Mais, dans la même minute, elle s'est assise une deuxième fois. C'était le facteur. Quand il a frappé à la porte, elle l'a ouverte et a essayé de sourire.

– Bonjour madame, comment allez-vous ?

Son air joyeux lui semblait impropre. « Est-ce que le représentant de mauvaises nouvelles peut avoir un sourire si sincère sur le visage ? » se demandait-elle.

– Madame, pourquoi vous êtes si déprimée ? Je me hâte parce que j'ai beaucoup à faire. Heureusement, j'ai enfin de bonnes nouvelles !

« Oui, il vit ! » sa joie était immense, mais en réalité elle n'a rien dit pour ne pas montrer ses émotions.

– La guerre est finie, nous sommes enfin libres, comme je connais bien les alentours...

La joie a éclaté dans son cœur, mais une minute après, elle s'est éteinte. S'il ne revenait pas maintenant, il était très probable qu'il ne reviendrait jamais. Les autres pourraient commencer une vie nouvelle, alors qu'elle n'avait pas de nouvelles de son mari. Les gens se rendaient visite pour diffuser les nouvelles et se rendre certains que maintenant, tout serait plus simple et qu'ils vivraient dans de meilleures conditions. Quant à Magda, elle ne pouvait ni clore cette étape de sa vie ni en ouvrir une nouvelle. Pour les autres, la vie sans guerre est lentement arrivée dans le village : les agriculteurs et les habitants constataient les pertes et ne s'imaginaient pas comment ils reconstruiraient leurs fermes et logis. Pourtant, le silence arrêté par les craintes des gens doutant aussi fort qu'espérant, ne reculait pas. Trois semaines après la fin de la guerre, quelqu'un a frappé à la porte de Magda. « C'est lui ! » elle s'est exclamée. Pourtant le facteur était surpris par sa réaction quand elle l'a vu. Il apportait une lettre du gouvernement pour son mari. Après la guerre, le gouvernement voulait faire une analyse des pertes économiques et exigeait des informations sur le statut d'élevage et des récoltes des années passées.

Magda n'avait pas prévu ses futurs soucis... Son mari était le seul propriétaire de la ferme parce qu'il n'avait pas réglé les affaires administratives. Elle n'avait aucun droit d'y habiter et les fonctionnaires de la mairie lui ont vite expliqué sa situation. Le nouveau régime a commencé son règne et pour construire une société égale, il fallait priver certains de leurs biens. Il lui restait à revenir chez ses parents qui vivaient à vingt kilomètres de la ville. Cette situation lui paraissait si incroyable, qu'elle pensait que c'était une plaisanterie. Malheureusement pour elle, le nouveau gouvernement était impitoyable et a commandé son départ immédiat.

Elle a fait sa valise et à cette occasion, a rassemblé tous les souvenirs de son mariage : la robe, les pantoufles, le voile et les fleurs de son bouquet qu'elle avait fait sécher. Les roses blanches devenaient jaunes et avaient perdu leur odeur. Son amour, contrairement à tout ce qui était le souvenir de leur amour, ne voulait pas s'éteindre et chaque jour dans le cœur de Magda brûlait la même ardeur. Celui d'hier, d'aujourd'hui et de demain avec son

mari. Le jour où ils s'étaient rencontrés était proche comme hier, le jour de leur mariage comme aujourd'hui et le jour de leur prochaine rencontre comme demain...

La vie ne voulait pas s'arrêter et a poussé les gens à agir. Après le déménagement chez ses parents, Magda a ressenti un peu plus de calme. Leurs yeux ont vu le changement de leur fille. Elle n'était ni mère, ni épouse, ni veuve, ni célibataire. Au bout d'un mois, ils ont organisé une petite rencontre à laquelle ils avaient invité la famille et les amis. Leur but était de faire rencontrer à Magda un jeune homme encore célibataire. Une heure après le début de la réunion familiale, elle a remarqué que tout le monde l'observait. Les tantes jetaient des regards sur elle et sur cet homme pour elle jusque-là inconnu.

– Qu'est-ce que vous pensez ? Que je vais me marier à un autre homme ? Vous êtes fous ou quoi... !? s'est-elle écriée quand elle était près de sa mère.

– Magda, calme-toi ! Sa mère voulait lui envoyer un regard sévère pour qu'elle renonce à ce discours.

– Moi ? Me calmer ? Jamais ! Tu sais que j'ai un mari, a-t-elle rétorqué. Puis elle s'est échappée chez elle.

Malheureusement, ce dialogue avait été entendu par plusieurs personnes et par cet homme qui avait été invité. Un peu plus tard sa mère a essayé de s'excuser. Il n'était pas offensé, mais très honteux de toute la situation. Personne ne pouvait interrompre le règne de son mari dans le cœur de Magda. Le roi, même s'il était absent, avait laissé sa loi mais n'avait laissé aucun droit. Pendant que les hommes oubliaient la guerre et la mort, Magda n'avait pas oublié son mari. Les années avaient laissé des traces sur son apparence. Dans sa jeunesse, qui n'était pas encore terminée, elle était une femme aux cheveux blonds et aux yeux de biche. Même si ses traits de visage étaient forts, elle avait une physionomie gaie et sympathique, peut-être grâce aux joues légèrement joufflues et souvent rosées. Ses yeux étincelants faisaient preuve de sincérité et d'empathie. Cependant, maintenant, sa vigueur et son empathie se révélaient seulement dans la lueur de ses yeux. Mince comme elle était, elle avait perdu une certaine vivacité liée au bonheur. Depuis ce temps-là, elle avait le regard vide de la même façon que son âme. Elle avait l'air vieux malgré son âge, mais qu'est-ce que nous pourrions exiger d'une personne à qui tout a été ôté ?

La même année, le jour de son anniversaire, son ancienne voisine lui a téléphoné pour lui dire que quelqu'un flânait dans les alentours de la ferme de son mari. Bien sûr, les nouveaux propriétaires y habitaient, mais ils étaient allés à un mariage et la voisine devait observer si rien de mauvais ne se produisait. Elle ne l'aurait pas appelé si l'homme ne ressemblait à son conjoint et elle lui demandait de venir. Après ce coup de téléphone, une vague de nervosité l'a remplie. L'heure suivante n'était qu'un paysage fuyant devant ses yeux. Quand elle est descendue de la voiture, elle a aperçu un homme qui regardait la cabane à outils à droite de la maison. Puisqu'elle voyait son dos, elle ne pouvait pas être sûre de qui il s'agissait. C'était un homme de taille moyenne, assez musclé, aux épaules larges. Ses cheveux châains reflétaient les rayons du soleil couchant. Tout à coup, l'homme est entré dans la cabane à outils. Magda a jeté un regard aux fenêtres où la voisine lui avait promis d'être, mais personne n'était là. Risquant le tout pour le tout, elle s'est dirigée vers la cabane. Quand il restait cinq mètres à franchir, l'homme est sorti de la cabane. C'était lui. Pourtant, la guerre l'avait aussi changé. Son regard auparavant fier, était ce jour-là vide. Sur son visage, elle a aperçu de nombreuses balafres et beaucoup de rides. Néanmoins, elle a ressenti enfin un peu plus de calme malgré quelques craintes. La vie pourrait enfin être si simple après ces années-là perdues sans lui. Elle cuisinerait pour lui ses plats préférés, repasserait ses chemises et oui, bien sûr, lui expliquerait pourquoi les gens inconnus vivaient dans sa maison. Quand il l'a vue, un sourire méchant s'est peint sur son visage. Certainement, ce comportement ne lui a pas plu. Elle voulait se jeter dans les bras de son bien-aimé et, au lieu de la douce rencontre, elle ressentait de la peur. Peut-être qu'il ne la reconnaissait pas en raison de son apparence tellement changée. Peut-être...

– Qu'est-ce que vous cherchez ici, madame ?

Quand il a prononcé ces paroles, elle était certaine qu'il ne la reconnaissait pas et qu'il ne la reconnaîtrait jamais. Elle n'existait plus. Elle n'avait jamais existé. C'était un coup douloureux pour elle. Ses pensées ont commencé à se mélanger, elle ne savait pas si c'était un rêve ou si elle se tenait debout devant un homme qu'elle...

– Ils m'ont tout volé, ingrats !

Elle n'osait prononcer aucun mot.

– Je pensais qu'en Pologne nous aurions une vie nouvelle...

Nous. Effectivement, quand elle a tourné la tête, elle a vu une voiture stationnée à côté, avec trois personnes dedans : une femme et deux en-

fants. Elle s'est évanouie et heureusement parce qu'elle aurait appris que son bien-aimé avait déserté l'armée et que, pour gagner de l'argent, il volait des voitures qu'il vendait après. À cause de ses actions, il avait dû quitter la France avec sa femme qu'il avait rencontrée pendant la guerre et avec qui il avait deux filles. Pour fuir la police, il avait dû retourner en Pologne. Elle aurait appris par la suite qu'une fois pris par la police, il passerait la majorité du reste de sa vie en prison où sa femme ne lui aurait pas rendu visite.

Elle s'était évanouie et faisait le même rêve que pendant la guerre. Elle était près d'une falaise, elle était consciente qu'elle n'était pas seule, mais ne pouvait pas dire qui était avec elle. Malgré tous ses efforts, une immense puissance la poussait vers la mer. Jusqu'à la fin elle se défendait, mais au fur et à mesure que le temps s'échappait, elle s'approchait de la falaise. Quand elle était au bout de la falaise, la personne qui était près d'elle lui a dit « N'aie pas peur ! » et cette fois-ci elle a sauté et ne s'est jamais réveillée.

3^{ème} partie :
Vertiges du présent

« Bonne journée »

Monika Zapłotna

Le 18 février 2017 tombait un samedi. Inès s'est réveillée à midi et elle est allée à la grande fenêtre pour vérifier le temps qu'il faisait à Żory, sa ville natale au sud de la Pologne. Il neigeait délicatement. Presque toutes les rues piétonnes devant son appartement étaient désertées et couvertes d'une fine couche de neige. Inès s'est dirigée vers la cuisine pour préparer le petit déjeuner, car elle mourait de faim. Elle était en pyjama à petits pois verts et ses cheveux blonds tombaient délicatement sur ses épaules. L'apparence d'Inès n'était ni spectaculaire ni ordinaire. Elle avait les yeux bleus riants et les cheveux longs ondulés. Son visage était rond et ses traits étaient délicats. C'était une femme très belle de taille moyenne, mince et sportive. Elle avait le teint lumineux, mais on pouvait remarquer de petites rides au coin des yeux quand elle souriait. Ses mains étaient douces et son nez était court, mais fin. En plus, elle portait des lunettes rectangulaires qui donnaient l'impression qu'elle était une personne intelligente et travailleuse.

– Comment va être cette journée, mon chéri ? a-t-elle demandé à son chat noir préféré.

Inès était très contente d'avoir la possibilité de bien dormir après avoir travaillé jusqu'à 23 heures le jour précédent. Non seulement elle travaillait dans un restaurant comme serveuse trois jours par semaine, mais elle faisait aussi ses études de mathématiques à l'Université de Silésie. Cette fille de 19 ans aimait toujours faire beaucoup de choses en même temps et grâce

à cette capacité, pendant une heure, elle a fait une omelette au jambon et au fromage, nettoyé tout le désordre qui était dans la cuisine et pris une douche. Après toutes ces activités, elle s'est assise dans un fauteuil en cuir noir et elle s'est plongée dans ses pensées. Inès a commencé à s'imaginer comment serait la fête d'anniversaire de son amie Caroline qui aurait lieu dans la soirée.

Elle était un peu nerveuse parce qu'elle n'était pas allée à la grande fête il y a deux ans à cause de l'accident tragique qui avait changé toute sa vie. À partir de cette date, Inès n'était plus comme avant. Elle est devenue une fille plus fragile, timide, elle préférait rester tout le temps à la maison et elle a également beaucoup étudié pour oublier la douleur de son cœur. Autrefois, Inès aimait danser, passer le temps libre avec ses amis et se moquer à voix haute en riant aux blagues sur les blondes. Deux ans après ses événements, Inès a retrouvé son équilibre émotionnel, mais elle ressentait encore le besoin de quelqu'un de plus proche qu'un simple ami.

Inès buvait du café tranquillement dans son fauteuil quand elle s'est rappelé qu'elle n'avait pas fait un devoir pour l'université. Vite, elle s'est mise au travail et après quatre heures, elle l'a fini. Contente, mais un peu fatiguée, elle a fait une courte sieste et à cinq heures de l'après-midi. Inès a commencé à se préparer pour l'anniversaire de Caroline. Dans sa garde-robe, en choisissant une robe, elle s'est souvenue des anciennes préparations aux fêtes, l'odeur d'un parfum, du maquillage, de la joie qu'elle sentait toujours à la pensée du passé innocent avant l'événement qui avait tout changé. La jeune femme s'est vêtue d'une jolie robe rouge et après s'être coiffée et maquillée, elle est sortie de l'appartement en courant pour prendre le bus.

À l'heure du départ, il a commencé à neiger plus fort et pour couronner le tout, il y avait un vent glacial. Ce qui était important pour arriver à l'arrêt d'autobus, c'était qu'il fallait traverser une route agitée en attendant que le feu passe au vert. À ce moment-là, quand Inès est sortie du coin de la rue, son autobus était malheureusement déjà à l'arrêt.

- Zut, je n'y arriverai pas à temps ! a-t-elle crié en son for intérieur.

Inès espérait que le chauffeur attendrait quelques minutes le groupe de gens qui étaient bloqués de l'autre côté de la rue en attendant que le feu passe au vert. Ils ont même fait des signes, mais apparemment le chauffeur avait une journée vraiment difficile, il les a donc ignorés et l'autobus est par-

ti. Inès voulait crier sa colère, mais elle n'avait pas le temps d'être nerveuse. Elle a compté l'argent dans son portefeuille et elle a décidé de prendre un taxi en sachant qu'elle n'aurait pas assez d'argent pour le retour.

– J'espère que Caroline me prêtera une petite somme pour revenir à la maison, sinon, je devrai rentrer à pied, a-t-elle pensé.

Le voyage semblait très long et fastidieux, mais à vrai dire la distance était seulement de 12 kilomètres. Heureusement, le chauffeur a détendu l'atmosphère en mettant de la musique de Michael Jackson plus fort. Ils sont passés auprès du Cegielnia, c'est-à-dire le parc le plus connu, où des habitants de la ville pouvaient trouver des pistes cyclables modernes, de nombreux terrains de jeux et même un terrain de pétanque. D'après Inès, Żory était l'une des plus belles villes de la voïvodie de Silésie et elle aimait sa ville natale de tout son cœur. Inès se plongeait dans les choses imaginaires à propos de l'anniversaire.

– Peut-être que je vais rencontrer quelqu'un de nouveau, ou que je danserai avec des hommes mignons ?

Elle s'est moquée d'avoir une telle pensée superficielle, mais elle était vraiment heureuse d'être de bonne humeur depuis la matinée.

Quand Inès est arrivée près de la salle où son amie organisait la fête, elle a payé poliment pour la course de taxi et elle est sortie de la voiture. L'anniversaire avait lieu dans une vieille maison qui était éloignée du centre de la ville et située au milieu de la forêt. Il n'y avait pas d'autres maisons dans le voisinage. La salle était entourée d'arbres et une seule route champêtre y menait. Il ne faut pas oublier que le temps qu'il faisait était très mauvais : il neigeait fortement et un vent glacial s'était levé. Inès est passée à côté d'un groupe de jeunes gens qui fumaient des cigarettes et elle est entrée dans une antichambre pour laisser son manteau couvert de flocons de neige dans le vestiaire.

Lorsqu'Inès est enfin arrivée dans la salle, elle était impressionnée par toutes les décorations qui pendaient du plafond ou étaient posées sur des tables. Dans la salle de taille moyenne se trouvaient trois tables rectangulaires avec des nappes blanches, sur lesquelles étaient mis de simples morceaux de bois plats avec des bouquets de fleurs roses et blanches disposés au centre de chacun des morceaux. Au milieu de la salle, il y avait beaucoup de ballons gonflés de couleur mauve qui pendaient du plafond et il y avait aussi des guirlandes et de petites lanternes en papier sur les murs. Il ne faut pas oublier que chaque chaise était ornée de voilage blanc. Inès n'avait

jamais vu une salle décorée de cette façon, donc avant qu'elle s'assye, elle s'est approchée d'un grand miroir sur lequel quelques photos de son amie étaient accrochées. Cette salle était bien éclairée grâce à deux chandeliers en métal blanc d'un romantisme chic et grâce aux petites bougies bleues sur les tables.

Tout à coup, quelqu'un s'est approché par derrière et lui a caché les yeux de ses mains. Néanmoins, notre héroïne n'a pas eu peur parce qu'elle savait que ça devait être sa meilleure amie Caroline. Elle était habillée d'une chemise bleue claire et d'une jupe noire courte. Inès était impressionnée par le maquillage de son amie, toujours élégant, mais aujourd'hui, elle avait mis du rouge à lèvres et un peu de blush pour faire un teint plus naturel. Caroline avait les yeux noirs et les cheveux bruns lissés, elle aimait se vernir les ongles et pour cette occasion elle les avait faits en vert clair. Elle était de taille moyenne, mais avec ses talons hauts, elle semblait plus grande que dans la vie. Inès avait toujours confiance en elle et Caroline lui avait appris la persévérance dans la réalisation de ses rêves. Elle pouvait compter sur elle dans les moments difficiles et elle pensait qu'elle était toujours joyeuse et sympathique.

– Enfin, tu m'as manqué ma chérie, tu as fait bon voyage ? Il y avait des embouteillages ?

– Non, pas du tout, mais il neigeait fortement et j'ai dû prendre un taxi, parce que mon autobus est parti sans moi, a répondu Inès.

Elle a raconté brièvement l'histoire de son arrivée à son amie.

– Quel imbécile ce chauffeur du bus, c'est inimaginable en hiver de ne pas attendre les gens qui étaient à un passage piéton. Tu es vraiment jolie Inès, où est-ce que tu as acheté cette robe extraordinaire ? a-t-elle ajouté pour changer de sujet, je vais te montrer une place à la table et je te laisserai seule parce que je dois accueillir d'autres invités. Ne sois pas triste Inès, je voudrais te présenter quelqu'un de bien, je suis sûre que vous trouverez beaucoup de sujets de discussion.

Caroline a emmené Inès auprès de la table. En y allant, les filles riaient comme toujours. Un garçon de 18 ans les regardait et lorsque les filles se sont approchées, il s'est levé.

– Ben... je voudrais te présenter Inès, mon ami Nicolas avec qui je prends toujours le bus pour aller à l'école.

– Enchantée de te rencontrer. Je suis Inès.

– Je suis ravi aussi, est-ce que tu veux boire quelque chose ? Assieds-toi s'il te plaît.

Il a dit tous ces mots avec un tel grand sourire qu'Inès a commencé à soupçonner ses intentions.

– Une tasse de thé, merci beaucoup.

Au début de la fête, deux serveurs servaient le dîner, donc tous les gens qui bavardaient auprès de la grande fenêtre devaient se mettre à la table. Les gens se réjouissaient, en général, ils étaient des amis de Caroline de milieux différents : de l'école, de l'autobus, des colonies de vacances et enfin ils avaient la possibilité de se rencontrer à cette soirée-là. Inès pouvait semer une ambiance festive partout, parce que les uns discutaient très fort, d'autres parlaient à voix basse. Ils avaient tous quelque chose d'intéressant à dire. Les uns riaient, d'autres écoutaient de la musique et chantaient discrètement. Inès était ravie de pouvoir se reposer après avoir passé quelques semaines de dur travail et c'était possible grâce à la musique de Frank Sinatra et grâce à l'odeur très agréable des bougies. Après le repas, certains ont commencé à danser, car la musique est devenue plus rapide. Le temps passe toujours si vite quand l'ambiance est détendue.

À première vue, Nicolas semblait être digne de confiance. Son teint rose était très intéressant et il avait les yeux bleus pleins de joie. Ses cheveux noirs courts brillaient à la lumière. À vrai dire, Inès regardait Nicolas par pure curiosité en buvant du thé. Il était grand, selon elle, il mesurait environ 1,90 mètre et elle a remarqué qu'il portait un beau costume noir et une cravate bleu foncé. Inès a aussi vu qu'il avait une tache de naissance sur sa joue droite. Ils parlaient de sujets divers, en commençant par leurs familles, leurs passe-temps préférés et même la musique et le sport qu'ils aimaient. Il s'avérait qu'ils avaient les mêmes goûts et à cause de cela Inès s'est encore détendue oubliant qu'elle n'avait pas d'argent dans son sac à main. Ils riaient en buvant du vin rouge, mais ils n'allaient pas danser même si d'autres gens avaient commencé à danser quelques heures avant. Lorsqu' il y a une conversation agréable le temps passe rapidement.

– Depuis combien de temps tu connais Caroline ? lui a-t-elle demandé.

– Depuis environ un an. Je vais au Lycée Professionnel Agricole dans la ville d'à côté et depuis un an nous nous retrouvons dans le bus chaque matin et toi ?

- Caroline est mon amie depuis longtemps, mais à vrai dire, j'étais moins proche d'elle dernièrement, mais c'est une longue histoire.
- Si ce n'est pas une chose très personnelle, tu peux m'en parler.

Inès a décidé de lui raconter l'histoire à propos de sa sœur jumelle. En 2015, Marie est tombée grièvement malade. Leurs parents ont cherché partout un médecin courageux qui pourrait s'occuper d'elle en faisant une opération cardiaque très complexe, mais aucun n'a décidé de prendre le risque. La sœur jumelle d'Inès est décédée le 20 mai à l'hôpital à Żory. À partir de cette date, Inès n'était plus comme avant. Non seulement Inès a souffert très fort, mais ses parents ont vécu le moment le plus difficile de leur vie. Sa mère a décidé de voyager seule en Inde pour trouver de l'harmonie et son père a commencé à travailler dur pendant tous les jours suivants. Lorsqu'elle a raconté cette histoire, Inès savait que c'était une véritable avancée de dire une telle chose. Au moment où Nicolas l'a entendu, il savait qu'Inès était une fille marquée par cette tragédie. Pour la consoler, il a timidement pris sa main et il l'a invitée à danser en souriant. Ils dansaient parfois vite, parfois lentement et c'était évident pour les autres invités regardant le couple qu'Inès et Nicolas passaient un bon moment ensemble et qu'ils se comprenaient facilement. Quand la musique ne brouillait pas leur conversation, ils se racontaient des histoires et à cause de cela, Nicolas a un peu surpris Inès au moment où il lui a dit qu'il n'avait plus son petit doigt de pied droit, parce que quand il y avait 6 ans, il a perdu cet orteil en coupant du bois. Elle était un peu choquée, mais il l'a fait rire en disant que c'était sa marque de fabrique. Le temps passait très vite et tous les amis de Caroline s'amusaient bien, les uns dansaient tout le temps, les autres buvaient ou mangeaient des casse-croûtes.

Tout à coup, toutes les lumières se sont éteintes et la musique a cessé de jouer. Tous les danseurs ont arrêté de danser en pensant que les plombs avaient sauté. Ils s'attendaient à ce que l'électricité revienne, mais après quelques minutes, rien n'a changé. Soudain, la fenêtre qui se trouvait au-dessus des gens, s'est ouverte brutalement et a laissé passer l'air froid à l'intérieur. Personne ne pouvait ouvrir ni fermer cette fenêtre, parce qu'elle était trop haute, à environ trois mètres. Le vent glacial a éteint presque toutes les bougies sur les tables. La situation est devenue de plus en plus bizarre quand les gens ont réalisé qu'ils n'avaient pas de réseau et que leurs portables étaient inutiles. La salle n'était plus du tout agréable. Les gens ont

commencé à trembler de froid et ils attendaient de voir ce qui allait se passer en silence. Caroline a pris la parole pour calmer les invités en disant qu'elle allait redresser la situation. Elle s'est dirigée vers une porte pour entrer dans le vestiaire, car elle voulait mettre son manteau d'hiver pour ne pas avoir froid.

Néanmoins, quelqu'un avait fermé la porte de l'extérieur. Ce n'aurait pas été aussi effrayant si cela s'était passé avant, mais, au moment où Caroline a essayé d'ouvrir la porte, elle a entendu un gloussement de rire diabolique. Inès et les autres ont entendu certains bruits inexplicables et plus ils restaient dans cette petite salle, plus on avait l'impression que les murs gelaient progressivement. Les uns essayaient d'enfoncer la porte avec des chaises, mais ils n'y arrivaient pas, car elle était en métal. Ensuite, l'un des invités a saisi un petit extincteur pour briser la poignée de la porte en même temps que d'autres invités ont commencé à construire une tour avec des chaises en les mettant sur la table pour fermer la fenêtre ouverte. Malheureusement, ils n'y sont pas parvenus. L'atmosphère est devenue encore plus terrifiante.

– Mon Dieu ! Qu'est-ce qui se passe ici ? a demandé Inès à Nicolas d'une voix terrifiée.

– Je ne sais pas, mais sans doute c'est quelque chose d'étrange.

– Zut, j'ai peur, cette peur me rend malade, à vrai dire, j'ai peur des fantômes, Nicolas.

– Calme-toi, les mauvais esprits n'existent pas vraiment, ce sont juste des fables pour les enfants. Tout ira bien.

Nicolas essayait de calmer Inès, mais la vérité était qu'il avait aussi des soupçons. Il faisait froid, noir et même Caroline a cessé de calmer les invités qui avaient commencé à raconter des histoires d'horreurs, par exemple quelqu'un a dit qu'au moment où les lumières s'étaient éteintes, il était minuit, quelqu'un d'autre a déclaré que c'était le mauvais esprit de la vieille dame qui avait vécu dans cette maison au dix-neuvième siècle. Tout à coup, on a entendu des mots affreux qui venaient des haut-parleurs.

– Tu dois souffrir Caroline ! Les événements qui viennent d'avoir lieu étaient juste un échauffement avant un vrai malheur ! Prépare-toi au pire, je vais m'en occuper.

Ces mots étaient prononcés lentement et un peu vaguement et à la fin de ce message, a éclaté un rire hautain et menaçant.

Les gens étaient en même temps remués jusque dans les entrailles et choqués. Dans la salle, personne n'a pris la parole. Tous les invités ont attentivement observé Caroline. Son visage est devenu rouge de colère et elle a serré ses poings très fort. Inès était vraiment intriguée par la réaction de son amie. Elle a pensé qu'elle était plus furieuse que craignant le pire après avoir entendu le message des haut-parleurs. C'était un vrai mystère.

– Je vais te tuer Martin ! Tu es un fou ! Pourquoi tu m'as fait cela ? a crié Caroline avec une voix fatiguée.

À ce moment-là, beaucoup de gens ont ri joyeusement et ils ont commencé à applaudir.

– Qui est Martin, tu le connais Inès ? a demandé Nicolas à sa nouvelle amie en criant pour couvrir le bruit que faisaient les autres gens.

– Comment tu ne sais pas ? Maintenant tous ces événements font sens. Quelle grande surprise ! a-t-elle répondu.

Quand Inès a observé les gens qui riaient, la lumière était allumée et la musique a flotté de nouveau dans la salle. La porte était ouverte et un garçon est entré. Inès avait expliqué à Nicolas que cet homme était le frère de Caroline, Martin, qui travaillait à l'étranger et qui a dit à Caroline qu'il ne rentrerait pas en Pologne pour son anniversaire. Apparemment, il a décidé d'étonner tout le monde. Il a connecté son téléphone portable avec les haut-parleurs en wifi et tout cela a donné une impression terrifiante. Il est apparu que Caroline avait toujours rêvé de jouer dans un film, en particulier d'horreur, elle a donc couru pour accueillir son frère et l'a remercié de ce cadeau stupéfiant.

La fête a commencé de nouveau, les invités ont recommencé à manger et à danser. L'atmosphère est devenue encore plus plaisante, les gens s'amusaient bien et ils dansaient beaucoup en chantant en même temps. Ceux qui étaient plus ou moins fatigués étaient assis autour des tables. Quelques heures plus tard, quand le jour s'est levé, Inès a décidé de rentrer à la maison.

– Zut ! Je n'ai pas assez d'argent pour prendre un taxi, a-t-elle dit à elle-même à voix basse.

– Ne t'inquiète pas, Inès. Tu peux rentrer avec moi et mon amie Anna, son père vient nous chercher, a rassuré Nicolas.

Ils ont remercié Caroline pour cette merveilleuse fête et ils sont partis. Nicolas savait que ce soir-là était l'un des plus spéciaux de sa vie, il a donc osé demander le numéro de téléphone d'Inès. Quelle nuit inoubliable !

Le lendemain, quand Inès s'est réveillée dans son lit, elle a pensé à la nuit précédente et elle a pris dans la main son portable quand elle a remarqué qu'il y avait un sms pour elle de Nicolas. Tout simplement : *Bonne journée*. Elle a souri.

Deux petites filles

Małgorzata Pielka

Il était une fois deux petites filles. Elles étaient très semblables. Mais il y avait une chose encore plus intéressante : elles étaient nées le même jour, il y a 7 ans à l'autre bout du monde. C'était étonnant mais elles étaient les meilleures amies. Même si elles ne s'étaient jamais vues, elles avaient cette incroyable connexion entre elles. Elles partageaient une amitié imaginaire.

Emily vivait dans une immense maison américaine avec un grand jardin et une aire de jeux où elle invitait ses copines de l'école. La maison était grande et avec beaucoup de chambres, mais elle était fille unique. Depuis toujours une grande attention lui était consacrée. Emily avait tout ce qu'elle voulait. En commençant par des poupées jusqu'à avoir sa propre cabane. Les parents voulaient probablement la récompenser du manque de frères et sœurs.

Pendant ce temps là, Zuri vivait dans une maison artisanale en bois et en sacs de sable. Elle avait cette maison grâce à un programme associatif « Habitat for humanity ». C'est une organisation internationale dédiée à la construction de logements simples pour les personnes défavorisées dans des pays en développement. Les volontaires qui avaient construit la cabane de Zuri étaient les plus gentilles personnes qu'elle avait vues de toute sa vie. La plupart étaient des jeunes venus de différentes parties du monde donc

ils ne se ressemblaient pas du tout. Ils avaient l'habitude de rendre visite aux enfants qui jouaient à côté des chantiers. Ils leur distribuaient toujours de l'eau en bouteille et des barres de chocolat. C'était grâce à eux que Zuri a pu manger du chocolat pour la première fois. Ainsi, elle aimait beaucoup sa maison mais chaque matin, elle devait aller chercher de l'eau pour toute la journée. Elle était élevée par sa tante parce qu'elle avait perdu ses parents pendant la guerre civile, qui avait tué un quart de population. En tout état de cause, la tante de Zuri était une personne amicale qui avait pris soin de Zuri. Il était sûr que Zuri appréciait beaucoup ce que sa tante avait fait pour elle. Mais étant la cinquième enfant de sa tante, elle n'était pas traitée comme les autres enfants. Elle devait travailler pour l'aider.

Un matin, lorsqu'Emily dormait bien, Zuri s'est réveillée, elle a voulu se lever pour aller chercher de l'eau au puits, mais elle avait mal à la jambe. Puis, elle a entendu des cris donc elle s'est cachée sous son lit. Elle y a passé toute la journée car les cris ne cessaient de continuer. Même quand les bruits se sont arrêtés, elle était trop effrayée pour sortir de sa cachette. Elle ne pouvait pas deviner ce qui s'était réellement passé, mais les hurlements, les gémissements et les coups de feu l'avaient persuadée qu'il valait mieux qu'elle reste cachée. Afin de ne pas avoir peur, elle s'est imaginé qu'elle était dans une prairie, à cueillir des fleurs en compagnie de sa sœur imaginaire. Elle a survécu seulement grâce à sa maturité et à sa volonté de vivre. Après tout, elle a été attaquée par Boko Haram et elle a miraculeusement échappé à ce tragique destin. Elle a eu la chance de survivre, et à ce moment-là, elle s'est promis que dès qu'elle serait adulte, elle fera tout pour protéger toutes les personnes souffrant du terrorisme. Comme chaque enfant réagirait dans sa situation, elle a pleuré pendant tout le voyage l'emmenant à l'orphelinat.

Parallèlement, Emily passait une journée typique avec ses parents et ses copines. Emily était réveillée par le parfum de jus d'orange et de brioches. Elle s'est dirigée vers la salle de bains pour se brosser les dents. En descendant l'escalier, elle a entendu ses parents parler d'adoption. Elle n'a pas compris le contexte d'adoption, elle se sentait heureuse d'imaginer recevoir un chien adopté dans un refuge. Emily a rejoint ses parents à table et a pris le petit déjeuner avec eux. Puis sa maman l'a accompagnée à l'école. À vrai dire, elle ne savait pas que ses parents avaient pensé à l'adoption d'un enfant car auparavant ils avaient appris qu'il leur était impossible d'avoir un autre enfant. Et pourtant, de tout cœur, ils voulaient partager leur vie avec

encore un autre enfant. Ils ont donc contacté une agence d'adoption. Dans l'après-midi, ils sont allés chercher Emily à l'école, ils l'ont surprise en lui parlant sérieusement de l'adoption d'un autre enfant mais ils étaient vraiment heureux de voir qu'elle était très joyeuse de cette possibilité d'avoir une sœur ou un frère. Ils lui ont parlé de tous les obstacles qu'ils devaient surmonter et du temps que ça pouvait prendre. Néanmoins, après 6 mois la famille a reçu une bonne nouvelle. Rapidement, ils se sont dirigés vers un camp de réfugiés pour rencontrer leur nouvelle fille. Ce camp était entièrement dirigé par les volontaires qui avaient travaillé pour « Habitat for humanity » et aussi par des commissionnaires d'adoption internationale. Dans ce camp, il y avait plus de vingt mille orphelins d'Afrique. Mais, ils voulaient principalement rencontrer une seule petite fille, avec qui ils étaient en contact depuis six mois.

Zuri a passé ces six derniers mois en compagnie des volontaires. Elle pouvait manger et boire régulièrement. En plus, elle a commencé à parler anglais. Elle était très contente de se faire des amis et d'avoir de nouveaux copains, mais au fond d'elle-même, elle était vraiment attristée parce que cela lui manquait de ne pas avoir de famille. Au moment où elle a reçu la première lettre de la famille qui voulait la connaître, elle a pu ressentir pour la première fois l'espoir d'être membre d'une vraie famille. Et enfin, le jour où elle a rencontré ses nouveaux parents est arrivé. Mais avant tout elle était heureuse de rencontrer Emily.

Quand Emily et Zuri se sont vues pour la première fois, elles étaient en quelque sorte comme des jumelles séparées à la naissance. À partir de ce moment-là, elles ont été inséparables. Le processus juridique d'adoption a duré longtemps, mais une fois fini, ils ont vécu heureux pour toujours.

La cruauté enfantine

Sandra Ludwik

Récemment, dans un village au sud de la France, a eu lieu un accident inattendu qui a changé la vie de nombreux habitants. Le directeur de la plus grande usine est décédé. La nouvelle, glaçant le sang des villageois, a provoqué la panique au sein de cette communauté. Le propriétaire et aussi le fondateur de cette industrie ne possédait aucun héritier pour reprendre sa fonction et confier le secret de son succès. Le manque de successeur menaçait l'existence de l'entreprise mais aussi le maintien des postes pour la plupart des gens. Le maire, à la tête du village, était obligé de trouver une solution afin d'éviter le pire pour l'économie locale et régionale. Sous la pression du temps, il a eu alors l'idée de contacter Ming, un ami de jeunesse, pour obtenir son aide et surtout sauver l'économie et l'emploi qui était la principale source d'argent de cette région en difficulté. Ming était un homme discipliné, responsable et expérimenté dans le secteur de la production, il avait obtenu ses diplômes dans une grande université et avait affronté des situations semblables, parfois plus difficiles. Le maire savait que l'ancien directeur était un grand homme, d'une grande clairvoyance, et un dirigeant talentueux. Le remplacer serait une tâche presque impossible à réaliser.

Après quelques jours, à la porte cochère du village, un inconnu a fait son apparition. C'était le nouveau directeur de l'usine et à la surprise des habitants, c'était un homme âgé avec les cheveux gris et la peau plutôt jaunâtre.

Il ne ressemblait pas à un Français, c'était un Asiatique avec une petite valise d'un côté et un petit garçon de l'autre qui lui tenait la main, marchant fièrement dans la direction de la mairie. Son air entreprenant et la flamme dans ses yeux attiraient l'œil des villageois. Après la perte du patron de cette entreprise, les habitants ont malgré tout commencé à discuter de la recommandation de leur maire. Est-ce que cet homme tellement différent et tellement inconnu pouvait être choisi pour succéder au directeur tant respecté et adoré par tout le monde ? Il était sans doute absurde de penser que oui.

Le Chinois et son fils se sont installés dans une petite maison au toit rouge près de la fabrique. La résidence était modeste mais charmante. Le jardin était plein de fleurs et de plantes vertes dansant avec le vent et le chant des oiseaux. Ignorant les opinions défavorables de leurs voisins, les nouveaux habitants du village se sont accommodés tranquillement à leur nouvelle destination.

Les jours passaient lentement et le petit Yao était de plus en plus excité avant son premier jour à l'école. Il n'était jamais allé dans une école française. Son père lui racontait beaucoup de la culture française et de la vie en France. Selon les histoires de son père, la France était complètement différente et éloignée du monde dans lequel Yao avait passé les premières années de son enfance. Le petit garçon pensait à la liberté des gens en Europe, à l'égalité des citoyens, à la tradition profonde de la cuisine, les fromages et les baguettes qu'il n'avait jamais goûtés auparavant, et une nouvelle étape qui venait de commencer avec son père dans le sud de la France. À la veille de jour-J, Yao a passé une nuit blanche à cause de l'excitation qui l'envahissait.

Le bâtiment de l'école était beaucoup plus petit et moins majestueux que celui qui apparaissait dans ses rêves. Yao ne se sentait pas déçu, et conduit par la curiosité et l'enthousiasme, il s'est retrouvé à l'intérieur. Il était 7 heures du matin. Le couloir était encore vide et silencieux. Il se promenait dans les couloirs comme dans un labyrinthe en admirant les travaux des élèves et les annonces accrochées sur les tableaux d'affichage. L'ambiance de l'établissement semblait être conviviale.

Tout à coup, Yao a entendu une sorte de sanglot plutôt discret au bout du couloir. Sans réfléchir, il a suivi cet étrange bruit. À la fin, il a trouvé un garçon accroupi dans un coin. Il s'est arrêté en le regardant curieusement.

La scène a duré un moment avant que le garçon lève la tête en poussant un cri d'horreur. Yao ne savait pas comment réagir. Au début, il voulait se retourner puis partir en le laissant sur place, mais encore dans son élan de curiosité, il continuait à le regarder pleurer. Ce garçon a donc réalisé que son observateur n'avait pas de mauvaises intentions. Il s'est donc levé du sol, se tenant en face du petit Chinois. Ils étaient de la même taille et malgré la couleur de peau, on pouvait y remarquer des ressemblances physiques sur certains aspects.

– Salut, comment ça va ? Je suis Yao, dit-il avec un accent asiatique plutôt soutenu.

– Je suis Pierre, répondit-il, amusé par la prononciation de son nouveau collègue.

C'était la première fois que Pierre rencontrait quelqu'un d'une autre nationalité. Il était impressionné par sa couleur de peau, la forme de ses yeux ainsi que ses cheveux noirs et brillants. Malgré tout, il était bien habillé et il semblait venir d'une famille riche. Tandis que Pierre, amaigri et mal vêtu ne faisait pas la meilleure des premières impressions.

– Que fais-tu ici si tôt le matin ? Les cours commencent dans une heure, a demandé le petit Français.

– Dans mon pays, nous aimons être toujours à l'heure. Et d'ailleurs je voudrais découvrir ce bâtiment et connaître l'organisation des classes, a annoncé Yao, et toi Pierre, pourquoi es-tu triste ? Qu'est-ce qui s'est passé ?

Pierre était intimidé par cette question embarrassante. Il recherchait une réponse rationnelle mais rien ne lui venait à l'esprit. Car, comment expliquer à un étranger que l'école est son seul moyen de s'échapper de la maison pleine d'agression et d'indifférence. Le père du garçon était ouvrier dans l'usine du village. Il aimait beaucoup trop l'alcool. Parfois, il devenait agressif et bruyant. Depuis que la fabrique avait été temporairement fermée, les attaques venant de son alcoolisme devenaient de plus en plus fréquentes. Il dépensait beaucoup d'argent pour l'alcool et c'est pour cette raison que Pierre restait sans repas parfois plusieurs jours. Dans les moments où son père était sobre, il n'avait pas envie de jouer le rôle de parent exemplaire. Il était déprimé et plus intéressé par ses problèmes au travail que son enfant. Sa mère était au chômage, petite, délicate et fragile. Ses cheveux blonds, toujours attachés en chignon, avaient perdu leur éclat il y a bien longtemps. Sa peau claire était devenue presque transparente. Elle était si aveuglément

amoureuse de son mari qu'elle ne remarquait plus la présence de son fils. Pierre était négligé par ses parents.

– Salut saligaud ! Retourne dans ta tanière ! a crié un garçon en passant à côté de Pierre.

L'insulte bruyante a interrompu le silence gênant. Pierre s'est senti encore plus embarrassé qu'au début.

– Ça va ? Tout va bien ? C'était très impoli. Connais-tu ce garçon ? a demandé Yao, soucieux de la situation.

– Ce n'est pas ton affaire ! s'est exclamé Pierre.

Le pauvre garçon ne voulait pas devenir la victime du nouveau. Il avait assez de soucis à la maison, et même à l'extérieur, il ne trouvait pas de consolation. Pierre était toujours réservé et discret. Il ne montrait jamais son chagrin au monde entier, exactement comme ses parents.

Les jours passaient et Pierre a remarqué qu'il n'était pas le seul objet de moqueries de ses camarades. Le nouvel étudiant Yao était tellement différent de tous les autres qu'ils oubliaient l'existence du sale et pauvre Français. Dans la tête de Pierre est née une nouvelle pensée : « S'il commence à se comporter comme ses copains, fera-t-il enfin partie de leur groupe ? »

– Le jaune ! Ouvre les yeux, enfin ! Tu n'y arrives pas ? ! Oh tu es déformé ! a crié Pierre devant toute la classe.

Les jeunes gens ont pouffé de rire. Ils applaudissaient Pierre. C'était la première fois qu'il se sentait fier et apprécié. Le sentiment était si agréable qu'il voulait le répéter autant que possible. Le garçon timide et modeste est devenu un bourreau, brutal et privé d'émotions. L'origine de Yao et ses racines ont provoqués chez ses camarades la volonté de changer sa vie en enfer. Il n'était plus positif et courageux. Les rôles étaient inversés. Depuis des semaines Yao avait peur d'aller à l'école et de sortir de la maison. La cruauté était partout. Son père était trop occupé à reprendre le fonctionnement de l'usine et à maintenir les emplois pour les habitants de village. L'accumulation du travail a entraîné la négligence des devoirs à la maison et l'intérêt pour son fils. La situation est devenue de plus en plus grave. Le petit Yao était la victime de Pierre, une nouvelle personne cynique et ironique.

Chaque matin était difficile pour Yao. Il n'avait plus de raisons de se lever pour commencer une nouvelle journée. Il se sentait abandonné et inutile. Après toutes les insultes énoncées par ses collègues, il a commencé à croire qu'il ne convenait pas à ce monde. Jusqu'à ce moment-là, ses ra-

cines étaient la raison de sa fierté, mais elles sont devenues ensuite la cause de cette honte. Il a décidé d'essayer de parler à son père pour comprendre pourquoi les autres le traitaient de cette façon.

Il a frappé timidement à la porte du bureau.

– Entrez s'il vous plaît ! a crié la voix à l'intérieur.

Le garçon est entré tranquillement, incertain du résultat de la conversation qu'il voulait réaliser.

– Papa, est-ce que tu te sens différent parfois ? a demandé Yao.

– Hm ? a murmuré son père en sortant le nez du tas de papiers.

– Et si nous partions d'ici ? a dit Yao, baissant la voix, plein d'espoir.

– Ici, nous commençons une nouvelle vie, nous avons de nouvelles opportunités, essaye d'être plus ouvert aux nouvelles expériences, tes nouveaux collègues peuvent t'apprendre beaucoup. Je n'ai pas le temps en ce moment, nous parlerons demain. Bonne nuit mon chéri.

Son père a baissé la tête et s'est plongé dans ses documents.

Le garçon a quitté le bureau de son père. Cette nuit-là, il n'est pas retourné au lit. Il n'y avait plus d'espoir pour un meilleur réveil le jour suivant. Il s'est assis dans le couloir de la maison et s'est lamenté sur son impuissance. Un moment plus tard, il est sorti de la maison, inaperçu. L'horloge de la ville a sonné minuit.

C'était un beau jour d'hiver. Un groupe de jeunes, traversant le pont à côté de la forêt, a remarqué des empreintes se terminant au niveau de la balustrade. Sur la rambarde, il était attaché une corde épaisse à la fin de laquelle pendait le corps du petit asiatique. La police appelée a ouvert une enquête. Quelques spectateurs ont pris des photos. Le corps du garçon enfin retiré de la corde, la vie dans le village est revenue à la normale.

Les villageois restaient indifférents à la mort du garçon. Il n'y a pas eu de funérailles ou même une question « pourquoi le garçon s'est suicidé ? ». Yao a disparu et seul Pierre était touché par sa mort. La mort de sa victime, qui l'avait sauvé devant les quolibets de ses collègues cruels. La vie continuait jusqu'au jour de la disparition du père de Yao. Certains disaient qu'il avait quitté le village, fatigué du travail si dur, d'autres qu'il avait plongé dans le désespoir et la tristesse et s'était suicidé comme son fils. Quelques semaines plus tard, l'usine a été fermée. Pour les habitants de la ville il n'y avait plus aucun espoir.

Mortelle devinette

Anna de l'Arc

J'étais furieux. Je ne savais pas quoi faire. Tout mon corps tremblait, j'avais les jambes molles et mes yeux étaient couverts de brouillard. Mon cœur battait si fort dans ma poitrine que je pouvais l'entendre. Je voulais crier mais ma gorge était paralysée. J'étais dans un piège. Un piège duquel je ne pouvais pas échapper.

Je l'ai aperçu.

C'était un homme énorme. J'avais l'impression qu'il était deux fois plus grand que moi. Sa poitrine et son ventre étaient au niveau de mon visage. Son bras était aussi long et grand que ma jambe. Il était bien musclé et il avait le dos large. Il n'était ni gros ni obèse mais il avait des muscles partout. Quant au visage, il était allongé et maigre sans rides ou signes de vieillesse. Les traits étaient marqués mais en même temps fins. Le nez était un peu retroussé. Ses lèvres et le bas de son visage étaient cachés sous une barbe imposante qui voilait aussi son cou mais qui laissait voir des tatouages de roses et de chats. Les yeux retenaient l'attention : ils étaient grands et marron, profonds comme la mer sans fond. Il portait une chemise rouge et un jean déchiqueté. Sur sa tête, il avait un bonnet gris. Je ne pouvais pas reconnaître cet homme bien que je le regardasse. Elle était trainée comme un

sac, ficelée et bâillonnée. « Pourquoi elle et pas moi ?! », je me demandais. Je devais la sauver...

Il est resté en arrêt un moment et j'ai reconnu cette jeune femme. Tout s'éclaircissait. J'ai compris la situation.

* * *

De l'extérieur, cette église rappelait un vieux château démoli. Elle était construite dans le style gothique. Les murs étaient en brique noire. Les fenêtres étaient transformées en vitraux présentant des hommes saints. Elles étaient petites et rondes. Si on voulait entrer dans l'église, on devrait prendre l'escalier au faite duquel il y avait une vieille femme. On pouvait constater qu'elle était fatiguée parce qu'elle avait la tête posée contre la porte. La porte en bois était renforcée par des lattes de métal. Après être entré, on était oppressé par la grandeur de cette église. Le plafond était si haut qu'on ne pouvait pas l'apercevoir. L'espace était divisée en trois parties : une grande nef et deux nefs latérales. La grande nef se composait de deux rangs de bancs et elle menait à un grand autel. Les autres étaient placées de chaque côté et faisaient fonction de chapelles. Des chandelles sur l'autel étaient vieilles et leur flamme était éteinte par le vent. La chose qui attirait l'attention c'était la croix. Elle était délabrée.

En entrant, j'avais l'impression d'être en présence de quelqu'un, bien que l'église fût vide. Si les informations que Basile m'avait données étaient vraies, Estelle devait être ici. J'ai commencé à m'approcher de l'autel. J'étais inquiet, quelque chose n'allait pas.

Soudain, j'ai entendu le gémissement d'un homme qui venait de derrière l'autel.

C'était Basile. Il était couvert de sang et de sueur. Il serrait dans sa main une feuille pleine de gribouillis.

– Basile ! Que s'est-il passé ? ai-je demandé.

– Estelle est en danger. Elle était ici et j'ai essayé de la sauver mais...

Sa voix s'est brisée.

– Mais quoi ?!

– Les hommes qui détiennent Estelle sont très dangereux. On ne peut pas les stopper. Tu ne peux faire confiance à personne.

Ses paroles n'avaient aucun sens. Il a commencé à respirer difficilement, il voulait parler mais sa gorge était pleine de sang.

- Basile ! ai-je crié, résiste encore un moment ! J'appellerai à l'aide !
- Non ! Reste avec moi. Je ne veux pas mourir seul.
- Personne ne meurt ! Attends ici, ai-je dit d'une voix terne.

Je suis sorti de l'église. La ville était pleinement vide. J'ai aperçu une femme avec un enfant. Je m'approchais d'eux et j'ai commencé à parler mais ils m'ont semblé totalement absents. Ils n'ont pas réagi à mes mots. J'étais au désespoir. J'ai décidé de revenir dans l'église.

- Léo, Léo, j'ai entendu un chuchotement.
- Basile, l'aide va arriver dans quelques minutes.

À ce moment-là, j'ai pensé que le mensonge était la meilleure option. Je savais que Basile ne résisterait pas alors je voulais le consoler.

– Léo, prends cette feuille, a-t-il dit en levant sa main, ce sont des instructions que les ravisseurs ont laissées.

- Les as-tu aperçus ? ai-je demandé avec un espoir.
- Tu ne peux faire confiance à personne, il a répété d'une voix blanche et il a perdu connaissance
- Basile, Basile !

Il est mort. Je l'ai perdu. J'étais seul.

* * *

Les instructions de la feuille m'ont amené ici. Il faisait froid et des éclairs ont commencé à apparaître dans le ciel. Pour vérifier le terrain, je devais marcher contre le vent. Mes mains étaient gelées à cause de cette feuille que je serrais convulsivement. À chaque pas, je devenais plus effrayé et incertain.

Le jardin me rendait mal à l'aise, chaque arbuste rappelait un homme et le chant des oiseaux sonnait comme la voix d'Estelle. Je regardais encore une fois la feuille que Basile m'avait donnée. Le texte disait :

« *Si vous voulez reprendre Estelle, venez au jardin de votre enfance* ».

Quand j'étais petit, Estelle et moi visitions ce jardin avec mon père chaque dimanche. Nous jouions aux échecs des heures entières et parlions de toutes choses. Depuis que mon père a disparu, je n'ai pas visité ce lieu. Mon enfance était pleine de bonheur, malheureusement ma vie comme adulte était entièrement l'inverse. Estelle était la seule personne qui me comprenait.

Avant, ce jardin était la propriété d'une famille noble. Au milieu, il y avait un petit manoir qui se trouvait sur une élévation. Ce manoir dominait les autres territoires dans la ville. J'ai décidé d'y entrer. Les corridors étaient

comme je les avais mémorisés : tortueux et vastes. Les murs étaient couverts de vieilles peintures et les sculptures remplissaient un espace vide. L'escalier en marbre menait à l'autre partie de l'édifice. Je l'ai monté. Tout de suite, j'ai entendu un cri qui n'appartenait pas à une femme mais à un homme. J'ouvrais chaque porte à tour de rôle. Finalement, j'ai trouvé la source du cri. C'était un homme un peu vieux et très maigre. Son visage était marqué par des rides et ses yeux étaient cernés. Ses cheveux étaient gris et à cause de son dos courbé, il semblait fatigué.

C'était mon père. Mon père qui avait disparu il y a 10 ans.

– Ils ont pris Estelle, j'ai essayé de la sauver mais je ne pouvais pas combattre ces gens... a dit le père d'une voix tremblante.

– Papa, je ne comprends pas... que s'est-il passé au juste ? j'ai demandé.

– Léo, pas maintenant, tu dois trouver Estelle, il a répondu rapidement.

– Où est-elle ? Est-elle blessée ?

– Non, mais elle est en grand danger.

J'ai regardé par la fenêtre et j'ai aperçu l'homme au bonnet gris et Estelle. Elle voulait se libérer mais l'étreinte de l'homme était trop forte. Je suis sorti du manoir.

* * *

– Estelle !

– Léo ! Laisse-moi ! Va trouver notre père et enfuyez-vous !

– Non !

J'ai commencé à m'approcher d'Estelle et de son ravisseur mais c'était quelqu'un d'autre. L'homme au bonnet gris avait disparu. Soudain, quelqu'un m'a attrapé. J'ai tourné et je ne pouvais pas croire mes yeux. C'était Basile ! Je me libérais et entraîs en fureur.

– Non ! Tu es mort ! C'est impossible ! j'ai crié.

Il se pâmail de rire. D'un rire diabolique est effrayant.

– Tu es tombé dans le panneau dans l'église. Je devais détourner ton attention d'Estelle. Et j'ai réussi. Maintenant toute ta famille est entre mes mains.

Il a sorti un couteau de sa poche et s'est approché d'Estelle. Il l'a saisie et a appliqué l'arme à sa gorge. Je me suis lancé à sa poursuite mais tout est devenu vague...

Et heureusement je me suis réveillée. C'était un cauchemar. J'ai entendu la voix de ma mère qui me disait de me lever. Je voulais frotter mes yeux mais j'avais quelque chose dans ma main. C'était une feuille. Je la regardais avec le cœur battant.

– Ce n'est pas possible...

J'avais dans ma main la feuille de mon rêve. Je suis sorti de ma chambre. « Peut-être que ce n'était pas un rêve et qu'Estelle avait vraiment disparu ? » Je suis entré dans sa chambre et je me suis senti soulagé. Elle était là, saine et sauve.

« Mais comment expliquer cette feuille dans ma main ? »

4^{ème} partie :
Vertiges de l'absence

Camille

Martyna Matusiak

C'était un jour ordinaire d'été. Le soleil brillait, chauffant discrètement les joues des passants. Le vent soufflait de temps en temps. Il était comme un garçon coquet qui soulève la jupe d'une jeune fille qui lui plaît. Il faisait bon. C'était tranquille. Moi, j'étais fâché après une querelle avec mon père. J'étais un enfant âgé de neuf ans. À ce moment-là, je pensais que tout le monde était contre moi. Naturellement, je suis de cet avis encore aujourd'hui. Mais à mon âge, à présent, rien ne peut me bouleverser autant qu'alors.

J'étais assis sur un banc dans un parc. Seul. Au bord des larmes à cause de ma colère. Il est raisonnable de me demander le sujet de cette querelle mais je ne peux pas me le rappeler. Je n'ai pas d'idée. Peut-être que c'était un gros mot que j'avais dit en présence de ma mère ou peut-être que j'avais frappé mon frère cadet. Qui peut se souvenir de ça ? Tout ce que je me rappelle c'est que c'était une bagatelle d'enfants. Je me sentais stupide, trop jeune pour les choses de ce monde. Je sais que j'avais pleinement conscience de l'autorité de mon père. Je voulais être plus mature, plus sage, meilleur que je ne l'étais. Encore que j'étais un merdeux, je savais que seulement le temps pouvait me faire grandir. Je gardais un œil sur les oiseaux, une danse gracieuse dans les arbres, sur tout et sur rien en fait.

Et je l'ai remarquée. Elle était comme une fleur. Délicate, sublime, sophistiquée. Chacun de ses mouvements était la grâce même. Pas gracieux. Non, pas vraiment. Chaque mouvement était entièrement composé de grâce à l'état pur. Elle avait des cheveux couleur paille, bouclés comme des rubans du satin le plus noble. Son visage était lumineux et plein d'espoir. C'était le visage d'une enfant non contaminée par brutalité de la vie. Je savais qu'elle devait être plus jeune que moi. Elle était confiante, sans entraves, juste. Pendant qu'elle dansait dans le parterre de fleurs, des gouttes de rosée parsemaient sa robe. Elle était pieds nus mais elle n'avait pas peur de se blesser. Je voulais m'approcher, mais d'autre part, je savais que cela m'aurait ôté le plaisir de l'observer. Et je ne pouvais pas lever mes yeux sur elle. J'avais peur de l'effaroucher. Tout ça était si beau, inhabituel et attirant que je n'étais pas prêt à le perdre. Même si elle était seulement une illusion, la projection d'une présentation imaginaire. Je désirais m'oublier en elle encore une minute. Je n'avais pas la berlue, je savais qu'elle ne pouvait pas être une essence de ce monde. Elle devait venir d'ailleurs, de quelque meilleur espace.

On peut répliquer qu'une chose telle que le coup de foudre n'existe pas. C'était donc le premier moment où j'ai pris conscience de son existence. Etant donné qu'il était un amour au premier souffle commun, un battement de cœur commun, une impulsion commune de notre synapse électrique. C'était le premier moment où j'étais présent avec elle dans une réalité commune. Le premier instant où nos corps étaient présents ensemble en même temps. Et par un premier fixement de nos regards, nous avons réveillé le destin. Elle a glissé du muret et elle est descendue doucement sur l'herbe. Je voulais lui crier quelque chose. Je savais que je n'avais qu'une fraction de temps. Et il était important, ce moment bref. Alors j'ai dit :

- Qu'est-ce que tu fais ? Il ne faut pas gambader là ! Tu es folle ?
- Quoi ? Quel est votre problème !? Pourquoi vous m'attaquez ?
- Attaquer ? Je ne t'attaque pas. C'est la police qui t'attaquera plutôt quand elle te verra ici. C'est un parterre de fleurs, il ne faut pas jouer là, tu peux détruire quelque chose. Tu ne sais pas ?
- Non.

Je me suis arrêté net. Je ne savais pas si elle était sérieuse ou si elle voulait se moquer de moi. Je regardais son visage d'ange. Non. Je savais que ce « non » était quelque chose de plus.

- Quoi ? Qu'est-ce que tu penses en disant « non » ?
- Je n'avais pas ce savoir, voilà.

Son langage était étrange. Ce n'était pas le même vocabulaire qu'utilisent les parents. Ni celui qu'utilisent les enseignants à l'école. Il était encore plus étrange. Sophistiqué ? C'est sûr. De plus, elle entonnait des mots comme si elle parlait de choses plus graves. Et comme si j'étais une petite créature déraisonnable à qui on a toujours besoin de tout expliquer soigneusement.

– Quoi ? Tu te moques de moi ? Pourquoi tu parles de cette drôle de façon ? ai-je demandé alors.

– Non, pas du tout. Je m'exprime normalement.

– Ah ah, « exprime » ?

Ces mots, cette gravité dans sa voix étaient absurdes pour moi. Je ne pouvais pas m'empêcher de rire. Mais de rire de bon cœur. Par contre, elle s'est fâchée pour de vrai. Elle a dit :

– Pourquoi êtes-vous si étonné par ce mot ? Vous me faites m'enfermer dans ma coquille de timidité. Une phrase encore, et je vais revenir à ma solitude. Pourquoi vous m'interrompez ?

J'avais peur. Je pouvais à peine faire la conversation avec cette créature mystérieuse. Je ne voulais pas la perdre. Je voulais juste la connaître mieux. J'ai dit :

– Non, non, du calme. Ne t'enfuis pas. Je voudrais te connaître. Je m'appelle Philippe.

Dans ses yeux, il est apparu à nouveau une petite dose de confiance. Elle m'a regardé timidement. Elle était confuse. Je ne pouvais pas comprendre ses pensées.

– Mais... Je sais, a-t-elle dit.

– Tu sais quoi ?

– Je sais pourtant que votre nom est Philippe.

Maintenant, j'étais celui qui était désorienté. Qu'est-ce que cela voulait dire ? J'étais sûr, sans aucun doute et incontestablement sûr que je ne l'avais jamais rencontrée auparavant. Ni mes yeux, ni mes oreilles, ni mon sens de l'odorat ne l'avaient rencontrée. C'était mon âme qui l'avait rencontrée à coup sûr. J'ai demandé alors :

– D'où tu me connais ?

Mais sa réponse m'a surpris encore plus :

– Je ne comprends pas votre question. Pourquoi devrais-je vous connaître de quelque part ?

Mes yeux étaient grand ouverts. Je commençais à me demander sérieusement si l'un de mes camarades ne me faisait pas une stupide blague. Ainsi, je me suis permis de penser que peut-être cette créature extrêmement belle était folle. Mais j'étais trop curieux pour partir.

– Comment peux-tu savoir mon nom si nous ne nous sommes pas vus avant ? J'ai demandé.

– Ha ha, elle s'est mise à rire innocemment, quelles balivernes débitez-vous ? Pourquoi j'aurais dû vous rencontrer avant pour vous connaître ? C'est d'un absurde achevé.

– Non, pas du tout. C'est l'ordre naturel des choses. Après tout, tu ne me connaissais pas jusqu'à maintenant.

À ce moment-là, j'ai commencé à me demander si ce n'était pas moi qui étais le fou.

– De quoi parlez-vous ? Vos mots me **stupéfient**. Je n'ai aucune connaissance de votre **réflexion**.

Il m'avait semblé un moment qu'elle parlait de la même manière que moi, mais là encore, ces mots étranges.

– Je ne dois rien vous demander pour savoir tout ce que vous êtes prêt à me dire. C'est pourtant évident, normal.

« Normal ». Ça m'a frappé, j'ai eu une révélation. Tout à coup, j'ai compris. Certainement pas tout, mais beaucoup. Elle n'avait pas feint, ni menti, ni blagué. Ses émotions étaient trop pleines de sincérité et d'authenticité. Elle n'était pas de ce type d'idiotes stupides qui s'amuse à des petits jeux. Il m'est apparu qu'elle devait être différente de moi. Probablement différente de nous tous. Elle devait voir le monde d'une manière impensable pour moi. Pour nous. Je lui ai posé encore une question. Je pense que c'était la première qui était sensible et réfléchie depuis que j'avais commencé cette conversation bizarre :

– Alors, qu'est-ce que tu sais encore à propos de moi ?

Quand j'ai vu l'expression sur son visage, je pouvais supposer qu'elle commençait à comprendre. Elle a pris une profonde inspiration. Elle s'est calmée :

– Je sais, par exemple, que votre maman s'appelle Élisabeth. Je sais que vous vivez dans une maison sur une colline et qu'elle est près d'un ruisseau avec un petit pont. Vous y allez quand vous voulez être seul. Il y a beaucoup de pommiers à côté du verger de votre grand-père. Je sais énormément de choses, je continue ?

C'était inutile. J'avais déjà confirmé mes présomptions. J'ai encore demandé :

– D'où tu viens ?

– Je sais seulement que je suis derrière le cinquième mur. Où suis-je ?

– Tu es en Dédancie. On appelle ainsi la réalité dans laquelle nous sommes. Comment tu es venu ici ?

– Vous ne savez rien de moi ?

– Non, rien.

– Puis-je m'ouvrir plus tard? Je suis très fatiguée. Je n'ai pas la force d'exprimer encore mes sentiments.

Comme elle allait le dire plus tard, « je l'ai serrée avec mon regard », « je lui ai donné un sentiment de sécurité dans mon silence compréhensif » et j'ai l'emmené chez moi.

Maman était surprise. Je me demandais si je devais lui dire d'où venait Camille. J'avais peur mais les mamans sont les mamans. Elles voient tout, entendent tout, savent tout. Elle l'aurait deviné pis. Mais, par ailleurs, j'ai pensé que parfois c'est mieux de ne pas exprimer les choses évidentes. C'est comme quand tout le monde sait quelque chose mais personne ne le dit à haute voix. Pourquoi ? Par égard pour l'intimité de quelqu'un. Ce n'est pas prétendre que c'est quelque chose d'inexistant mais faire semblant que c'est une chose normale, naturelle, ordinaire. Alors j'ai dit seulement :

– Maman, c'est Camille. Elle n'a pas de maison ici. Est-ce qu'elle peut rester avec nous un peu ?

Elle m'a regardé avec des yeux étonnés. Mais comme j'avais prévu, elle a eu cette dose de compréhension qui fait qu'on ne pose pas de questions inutiles. Nous sommes allés dans ma chambre.

– Qu'est-ce que c'est ? Elle a montré une photo de moi quand j'étais un bébé, cet objet, qu'est-ce que c'est ?

– Je ne comprends pas... Qu'est-ce que tu veux dire ?

– C'est la première fois que je vois un objet comme ça.

Et, à nouveau, j'ai compris. Cette chose qu'elle m'a apprise au début, c'était qu'on ne peut rien supposer, rien considérer comme un dû mais tout penser de manière abstraite. Elle était un bon professeur qui m'a enseigné à tout voir comme si c'était la première fois.

Ensuite, on est allé dans le jardin. Je voulais lui faire voir mon bac à sable, ma balançoire et, avant tout, mon chien Casserole. On a joué au chat et voilà, il est venu à elle. Camille était étonnée.

– Qui est-ce !? a-t-elle demandé.

– Tu veux dire : Qu'est-ce que c'est. C'est un chien. Tu ne sais pas ce que c'est ?

– Non... Mais pourquoi tu l'appelles comme si c'était une chose alors que c'est une créature vivante... ?

– Parce que ce n'est pas un homme. C'est un animal.

– Tu dis « animal »... On n'en a pas dans mon monde. Et c'est possible pour un animal d'avoir une famille et tout ça ?

– Oui, oui. Naturellement. C'est possible comme pour nous, comme pour les hommes.

– Ah oui.

C'était bizarre pour moi parce que cette information l'avait calmée.

– Tu sais quoi ? a-t-elle demandé avec de la joie dans sa voix.

– Non, dis-moi !

– Je pense que je suis amoureuse de Casserole.

– Ah oui, il est mignon. Moi, je l'adore aussi.

J'étais totalement inconscient.

– Non, non, non. Tu ne comprends pas. Je rêve de l'épouser.

– Quoi ? Tu es folle ? C'est un animal. Tu ne peux pas l'épouser.

– Mais... Tu as dit qu'ils peuvent avoir une famille...

– Oui, mais... Ils peuvent avoir une famille entre eux. Nous sommes des hommes. C'est pas normal d'épouser un animal...

– Mais pourquoi ? Je l'aime... Je vais être une femme bonne et fidèle pour lui. Et il sera un mari doux et gentil mari pour moi. Je le vois dans ses yeux.

Je la regardais avec confusion. Je ne savais pas comment lui expliquer que cette idée n'était pas normale et que c'était irréfragable. J'ai dit :

– Parce que c'est un animal. C'est tout. Il n'y a pas de raison plus forte, plus exacte.

– Je ne comprends pas ce monde. Pour moi, il est curieux et cruel, dit-elle.

Elle n'était pas triste. Non, ce n'était pas le mot adéquat. Elle avait le visage d'une enfant qui vient d'apprendre que tout le chocolat de ce monde a disparu, que la magie n'existe pas, qu'il n'y a pas de fées, de nymphes, de nains, que Winnie l'ourson est un personnage fictif. Elle a tourné les talons et elle est rentrée à la maison.

Quelques jours après Camille connaissait tous mes amis et tous les lieux importants dans ma vie. Alors c'était le moment de rendre visite à mes grands-parents. Ils l'ont reçue avec bienveillance. Mamie lui a fait un gâteau au chocolat et on a vraiment passé du bon temps. Mais au milieu des événements Camille a dit sans avoir conscience de sa maladresse :

– Merde ! Il pleut.

Mamie a posé sur elle un regard lourd de reproches. Moi, j'ai rougi comme un sot. Camille n'a rien compris et elle m'a demandé :

– Quoi ? Je dis ce que je vois...

– Où as-tu appris de si beaux mots, Camille, ma chérie ? a demandé Mamie.

– Je ne comprends pas le problème. Philippe et ses amis l'utilisent sans arrêt.

Je n'avais pas d'excuses alors j'ai décidé de rester silencieux et d'attendre jusqu'à ce que la tragédie atteigne son comble.

– Ah, oui ? Philippe... ?

– Alors... oui. Pierre a dit ça une fois ou deux...

– Non, non, non. De nombreuses fois comme toi, Philippe...

Camille nous enfonçait.

– Non, Camille... Tu as dû mal entendre...

Je l'ai regardée et je lui ai fait signe de se taire.

– Hein. Je pense que quelqu'un se moque de moi mais je m'en fous alors on doit finir cette conversation !

Elle était très blessée.

– Camille ! Tu es une gentille petite fille ! Qu'est-ce que c'est cette manière de parler ?!

– Je ne comprends pas...

À ce moment-là, après la parole de Mamie, Camille n'était plus fâchée. Maintenant, elle était penaude et franchement triste.

– Pourquoi ces mots vous bouleversent ? a-t-elle demandé.

– C'est un gros mot. Ce n'est pas gentil d'utiliser des mots comme ça, a expliqué Mamie.

– Mais... c'est un mot comme toutes les autres. Je ne comprends pas la différence.

Camille était complètement désorientée.

– Non, Camille. Je t'assure que non. Je ne sais pas comment te l'expliquer mais ce n'est pas vraiment un mot comme les autres.

Je n'ai rien dit. Je savais que pour elle notre réalité avec toutes ses règles ridicules et absurdes était incompréhensible. Et, chose plus morne, je savais que c'était elle qui avait raison. C'était elle qui pensait rationnellement.

Une autre fois, on a joué avec Pierre sur un terrain de jeu. Je me sentais mal. Je savais que j'étais brusque mais je n'avais pas d'envie d'arrêter. On a joué à la marelle et j'essayais de me comporter normalement. Mais

finalement j'ai perdu et, à ce moment-là, je suis arrivé au comble de mon frustration. J'ai dit à Pierre :

– Tu sais quoi ? Je ne souhaite plus passer de temps avec toi aujourd'hui. Je rentre chez moi.

– Mais pourquoi ? Si tu veux me dire quelque chose, je suis ici pour toi, m'a-t-il dit tranquillement.

– Non, je te dis. Je ne veux pas te voir. Je ne veux voir personne. Camille, si tu veux, tu peux rester.

Et j'ai commencé à m'acheminer vers chez moi. Camille m'a rejoint.

– Pourquoi vous êtes si grossier avec lui ? Il ne t'a rien fait... Plus que cela, il a essayé d'être un bon ami.

– Peut-être. Mais je lui ai dit : je ne veux voir personne. Comme toi, Camille. Est que tu peux me laisser ? ai-je demandé impatientement.

– Non.

– Quoi ? Pourquoi non ?

– Parce que tu es mon ami et ce n'est pas propre de laisser des amis quand ils ont besoin de toi.

– Mais je t'ai dit. Je n'ai besoin de personne maintenant.

J'étais de plus en plus fâché.

– Non, tu as tort. Peut-être que tu n'as pas besoin de ma conversation mais tu as sans nul doute besoin de ma présence. Alors... on va être silencieux ensemble. Et si tu ressens le besoin de parler, je serai juste à côté de toi. Mais jusque-là, je vais être totalement muette.

Elle avait raison. C'était vrai. Je voulais que quelqu'un m'accompagne. Je ne voulais pas être seul. Tout le monde parlait toujours et cela m'énervait. Ils ne voulaient pas m'aider. Ils étaient curieux de mon problème. Mais elle n'était pas curieuse, elle était intéressée. Alors j'ai décidé de lui dire :

– Mes parents divorcent.

– Qu'est-ce que c'est, divorcer ?

– Ils ne vont plus être une femme et un mari. Ils ne vont plus habiter ensemble. Et moi, je dois choisir avec qui je veux rester. Mais ce n'est pas la chose la plus terrible. C'est qu'ils cherchent à m'influencer tout le temps. Maman m'a dit des choses horribles sur Papa... Et je ne sais pas ce que je dois croire. C'est mon Papa, je l'aime.

J'étais au bord des larmes.

– Comme tu as dit, c'est ton papa. Et qu'est-ce que tu ressens ? Tu penses qu'il est une mauvaise personne ?

– Non, je ne peux pas l'imaginer. Il est un ange pour moi.

– Alors... Tu sais ce que j'en pense ? Tu peux faire confiance à ton intuition. Profondément, au fond de ton cœur, tu sais ce qui est juste.

Camille était mystiquement sage. Je ne sais pas pourquoi alors qu'elle avait mon âge mais elle ne s'est jamais trompée.

Après un an ensemble elle m'a dit :

– Je voudrais rentrer chez moi.

J'étais conscient que ce moment approchait. Jour après jour, elle était de plus en plus fatiguée, épuisée par les ridicules de notre monde. Après une minute de silence, elle a ajouté :

– Je suis malheureuse. Je ne suis pas capable de vivre ici. C'est au-delà de mes forces.

On a empaqueté ses vêtements, nos sentiments et nos souvenirs et on s'est dirigé vers le Grand Mur. J'étais plus que triste. Tout mon monde s'est effondré. J'étais obligé de libérer mon grand amour. En vrai, mon seul amour. Mais grâce à cette énorme passion que je lui avais donnée, j'ai compris quelque chose. Et c'est la leçon la plus importante qu'elle m'a donnée. Eh bien, quand on adore un rossignol, on ne veut pas le garder. Parce qu'on respecte son individualité. On est conscient qu'il n'est pas pour nous mais qu'il vit pour lui-même. Il ne doit pas nous servir. Il doit servir justement à lui-même. On souhaite plutôt ne jamais le garder que le garder malheureux.

Alors voici où j'en étais en ce vraiment beau jour de juillet. Quand le soleil brillait délicieusement et le vent soufflait finement. J'étais vis-à-vis de la seule femme qui m'a jamais émue. Je tenais sa main et c'était le geste le plus intime et le plus sensationnel que j'ai jamais expérimenté. Et c'est important d'ajouter que je suis plus âgé maintenant et que j'ai eu quelques femmes dans ma vie. Je l'ai embrassée sur le front, et je lui ai dit dans ma tête : « Je t'aime ». Je ne voulais pas le dire à haute voix parce que je savais que ça rendrait les choses seulement plus difficiles. Et ce que je désirais c'était de lui faciliter son départ le plus possible. Je lui ai dit encore : « Au revoir mon petit bébé, mon hargneuse bestiole, mon petit tout, mon seul amour, mon unique vérité ». Elle m'a abandonné et j'ai regardé ses cheveux dorés qui brillait dans le soleil. Le vent les faisait subtilement bouger. Les larmes ruisselaient involontairement sur mes joues. Je suis resté là encore une heure. Ou deux. Ou trois. Ou tout l'après-midi. Je ne sais plus. Le temps n'existait plus. Ou moi, j'existais en dehors du temps. Même pendant les mois suivants. Ou peut-être jusqu'aujourd'hui ?

Le chêne

Zuzanna Kosek

C'était le premier jour du printemps. La vie des habitants de la ville commençait à se tranquilliser après les événements tragiques qui y avaient eu lieu une dizaine d'années plus tôt, pendant la guerre. Les maisons reconstruites étaient entourées de verdure. Tout semblait se réveiller petit à petit de son long sommeil d'hiver. Les rayons du soleil apportaient la lumière et la chaleur. Les fleurs et les arbres florissants encourageaient à se promener. Le vert omniprésent évoquait de timides signes de joie et l'optimisme des citoyens.

Parmi les plantes d'un parc, il y avait un arbre particulièrement fascinant. C'était un immense chêne majestueux de presque cent ans. En le regardant d'un peu plus près, on pouvait remarquer des irrégularités de l'écorce, des branches cassées, un cœur gravé sur le tronc. Beaucoup d'histoires différentes s'étaient passées sous cet arbre. Le chêne avait été le témoin muet des événements horribles qui s'étaient déroulés dans la ville durant la guerre, des larmes et des adieux douloureux, mais pas seulement. L'histoire que je vais vous raconter ne concerne ni des adversaires ni des amants.

Le premier jour du printemps, j'ai aperçu pour la première fois les ré-
unions normales, mais en même temps extraordinaires de deux garçons.
C'était un samedi tranquille, plus précisément l'après-midi, quand j'avais

déjà déjeuné. J'étais dans ma salle de séjour, confortablement installée dans mon fauteuil à bascule, occupée à coudre. Le vieux chêne était dans mon champ de vision, car j'habite dans le voisinage du parc. J'ai ouvert les fenêtres pour laisser entrer dans ma chambre l'air frais. J'admirais les chants des oiseaux quand un jeune garçon est venu sous l'arbre. À mon avis, il avait environ 10 ans, il était blond et plutôt mince. Il s'est assis sur l'herbe, il a sorti de sa poche un morceau de bois et il a commencé à le raboter. J'ai eu l'impression qu'il attendait quelque chose. Quelques minutes plus tard, mes prédictions ont été confirmées parce que j'ai remarqué un autre garçon qui s'est approché du chêne. Il était crasseux et habillé avec négligence. Grand et avec les cheveux noirs, il avait l'air beaucoup plus énergique et ouvert que son ami. Les deux garçons semblaient ravis de se voir. Ils étaient visuellement complètement différents, mais vous pouviez voir tout de suite qu'ils se comprenaient très bien. Ils bavardaient, racontaient des histoires, riaient à voix haute. Parfois ils étaient simplement assis en silence, l'un à côté de l'autre, le dos contre le tronc du vieil arbre, avec un sourire sur le visage. Après quelques heures, quand l'après-midi est devenu le soir, je suis allée à la cuisine pour préparer mon dîner. Quand je suis rentrée dans ma salle de séjour et que j'ai regardé par la fenêtre, il n'y avait plus personne sous le chêne.

Le samedi suivant, je voulais vérifier si cette réunion des amis avait été une rencontre singulière ou si elle allait se répéter. À vrai dire, ces garçons m'avaient beaucoup plu et j'avais envie de les voir encore une fois. Après le déjeuner, je me suis assise dans le fauteuil et j'attendais. À ma grande joie, quelques minutes plus tard, les garçons sont venus sous l'arbre. Comme la dernière fois, ils ont passé le temps ensemble jusqu'au soir. Cette fois, j'ai remarqué aussi qu'ils repartaient dans deux directions différentes, l'un à gauche, l'autre à droite.

Les mois passaient et les garçons se retrouvaient sous l'arbre chaque semaine. Intriguée par leurs réunions régulières à cet endroit, j'ai décidé de les approcher et de faire leur connaissance. J'ai essayé de trouver un sujet de conversation plus ou moins naturel mais je n'ai eu aucune idée. Après peu de temps, un certain samedi de pluie est venu m'apporter de l'aide.

Ce jour-là, les nuages couvraient le soleil et le ciel était gris. Le vent fort et les grosses gouttes qui tombaient encourageaient plutôt à rester à la maison. Néanmoins, j'avais le pressentiment que les garçons se réuniraient

malgré le temps terrible. Comme je l'ai appris plus tard, je ne m'étais pas trompée. Quelques minutes avant midi le blond est venu, il s'est protégé de la pluie sous le feuillage de l'arbre et il a commencé, comme d'habitude, à raboter quelque morceau de bois en attendant son ami. Comme j'ai vu qu'il était de plus en plus mouillé, j'ai eu une idée parfaite. J'ai décidé d'inviter les garçons chez moi pour qu'ils puissent se protéger du mauvais temps et parler dans le calme. Ne voulant pas changer d'avis et rater l'occasion de faire leur connaissance, je me suis habillée rapidement et j'ai quitté la maison. Quand j'ai ouvert la porte, j'ai vu que le second garçon était venu plus tôt que d'habitude et que les amis se saluaient. Je ne savais pas vraiment s'ils allaient accepter mon invitation, mais je voulais essayer.

À ma grande surprise, je ne devais pas commencer cette conversation moi-même. Le garçon aux cheveux bruns, avec un grand sourire sur le visage, m'a salué gentiment : « Bonjour, Madame ! ». De près, je pouvais voir ses yeux noirs brillants et ses dents blanches et bien rangées. Le blond s'est également approché de nous, avec un peu plus de timidité. Les garçons se sont présentés à moi et grâce à ça, j'ai appris que celui que j'avais nommé « le fripon » c'était Léo et l'autre, « l'artiste », c'était Julien. Il faisait froid et la pluie devenait de plus en plus intense, alors j'ai les invités chez moi. Ils se sont regardés dans les yeux et après un peu d'hésitation, ils ont accepté mon invitation.

Dans ma cuisine, quand je préparais le thé, Léo et Julien goûtaient les madeleines que j'avais préparées la veille. Je me sentais vraiment en famille avec ces garçons, parfois j'avais l'impression que c'étaient mes petits-fils. Il y a eu une brève conversation pendant laquelle ils m'ont dit qu'ils se réunissaient ici chaque semaine. Je n'ai pas avoué que je les avais observés car je ne voulais pas leur faire peur. Léo, au nom des deux, m'a remercié pour l'hospitalité. Je lui ai répondu que, étant une personne âgée, je n'avais pas trop d'activités et que leur présence était pour moi un grand plaisir. Ils ont souri en entendant mes paroles. Après ça, les garçons sont allés dans la salle de séjour pour bavarder et je suis restée à la cuisine pour ne pas les déranger.

Assise dans la pièce voisine, je pouvais entendre des fragments de leur conversation. J'étais impressionnée par leur maturité et leur compréhension mutuelle. Environ deux heures plus tard, Léo est venu à la cuisine et m'a dit qu'il devait sortir parce que son père lui avait dit de rentrer à la maison un

peu plus tôt ce jour-là. Julien est apparu derrière lui, mais j'ai eu l'impression qu'il n'avait pas forcément le désir de rentrer chez lui. Je lui ai proposé de rester un peu plus longtemps, s'il n'était pas pressé comme Léo. À ma grande joie, il a accepté ma proposition.

Quand nous sommes restés seuls, Julien et moi, nous nous sommes assis dans la salle de séjour. Je lui ai demandé si ses parents ne seraient pas inquiets et j'ai appris qu'il n'avait pas de père et que sa mère était hors de la maison. Elle était peintre et pendant toute la journée quand Julien était à l'école, elle s'occupait de peinture. Chaque samedi, elle allait à la grande ville pour vendre les tableaux commandés et elle ne rentrait jamais avant 20h. En parlant d'elle, Julien avait l'air un peu triste. Ne voulant pas être indiscret, j'ai changé de sujet et je lui ai demandé de me raconter l'histoire de leur amitié. Julien s'est détendu et a répondu de manière détaillée à ma question.

Les garçons s'étaient rencontrés pour la première fois avant d'aller à l'école. Léo habitait dans la même rue que Julien, il y avait deux maisons entre eux. Ils passaient ensemble tous les après-midi : ils faisaient des constructions de bois et de pierres, ils allaient attraper des grenouilles, ils nageaient dans le petit fleuve. La mère de Julien n'était pas très contente de cette situation. Elle disait que Léo avait une mauvaise influence sur son fils et qu'il était devenu plus braillard et désobéissant. L'année dernière, le père de Léo a changé de travail et ils ont déménagé. « Maman croyait qu'après leur déménagement le problème de Léo allait disparaître et que j'allais devoir trouver de nouveaux copains. Mais je ne voulais pas renoncer à mon meilleur ami. » Les garçons ont trouvé la solution : les rencontres dans le parc qui se trouvait entre les deux maisons. Ils ont choisi les samedis, car la mère de Julien était à la grande ville et le père de Léo croyait que son fils était chez un autre camarade de la nouvelle école. « Alors, maintenant, ta mère sait que vous vous voyez avec Léo et ça ne la dérange pas ? » lui ai-je demandé, un peu confuse. Julien a répondu que non, elle ne savait pas du tout. Après un moment d'hésitation, il a ajouté : « À vrai dire, elle ferme toujours la porte à clé avant de partir... ». En voyant ma surprise, il m'a expliqué que sa mère avait constamment peur que quelque chose de mauvais puisse lui arriver. Elle était vraiment protectrice et Julien pour se retrouver avec son ami devait sortir de la maison par la fenêtre. Il m'a dit qu'il aimait sa mère et ne voulait pas la tromper, mais la séparation avec son meilleur

ami était pour lui insupportable. J'ai été impressionnée par les efforts qu'il avait faits pour maintenir son amitié avec Léo. Je comprenais très bien l'importance des amis dans la vie. Je lui ai décrit ma meilleure amie Julie, la femme avec laquelle j'ai passé la plupart de ma vie et qui me comprenait mieux que quiconque. Nous avons perdu contact pendant la guerre et elle m'a vraiment manqué. Julien écoutait attentivement. Quand j'ai fini mon histoire, il avait l'air pensif. Après quelques minutes de silence, il a regardé l'heure et il m'a dit qu'il devait partir pour rentrer à la maison avant le retour de sa mère. Je lui ai assuré qu'ils pouvaient me rendre visite un jour pour fuir le mauvais temps ou simplement s'il avait besoin de parler avec quelqu'un. « Les madeleines vous attendent toujours ! » j'ai ajouté. En souriant, il m'a remercié poliment pour tout et il est sorti. En regardant Julien qui traversait le parc, j'étais heureuse d'avoir gagné un peu de confiance de ce garçon plutôt introverti.

Les semaines passaient et j'observais les rencontres de Léo et Julien chaque samedi. De temps en temps, ils me rendaient visite et je les accueillais toujours avec joie. Léo me racontait des blagues et Julien me montrait ses petites sculptures en bois. Mais le premier samedi de juillet, tout a changé.

Ce jour-là, le ciel était gris et il faisait plutôt froid, même si c'étaient les premiers jours de vacances. Depuis quelques minutes, Léo et Julien étaient assis sous le chêne, comme d'habitude, et se racontaient des histoires. Soudain, j'ai aperçu un homme qui s'approchait des garçons. Il marchait très vite et il semblait vraiment en colère. Je me suis levée tout de suite, voulant les protéger, mais tout à coup Léo a remarqué l'apparition de l'homme, son visage est devenu pâle, et il a crié : « Papa ! Qu'est-ce que tu fais ici ? ! ». Quand ils ont commencé à se disputer, j'ai appris que le père de Léo avait cru toute l'année que son fils passait ses samedis chez Luc, un camarade de sa nouvelle école. Cet après-midi-là, il y avait téléphoné pour chercher Léo, mais il s'est avéré que son fils n'avait jamais rendu visite à Luc. Son père est donc sorti quelques minutes après Léo et il l'a suivi jusqu'à l'arbre. Maintenant, il essayait de forcer Léo de rentrer à la maison avec lui, mais le garçon s'y opposait. Brusquement, une nouvelle personne, cette fois une femme, est apparue dans le parc. Comme vous pouvez le supposer, c'était la mère de Julien. Quand elle a vu le père, elle lui a crié de laisser son fils tranquille. Le père lui a répliqué : « C'est aussi mon fils ! ». Ils ont commencé à se disputer. De ce que je pouvais comprendre, j'ai conclu qu'ils avaient

divorcé juste après la naissance des garçons, qui étaient jumeaux. Léo et Julien étaient choqués et moi aussi. Ils se sont regardés avec perplexité. L'explication de leur relation fraternelle était simple et en même temps absolument incroyable : ils étaient frères. Malheureusement, ils n'avaient pas le temps de se réjouir de cette découverte. Leurs parents n'ont pas réussi à tomber d'accord, la colère et les rancunes du passé ont gagné. Chacun d'eux a pris un enfant avec lui, exactement comme une dizaine d'années avant. Les garçons ont été séparés encore une fois.

Après cet événement, je n'ai plus jamais vu Léo. Par contre, Julien venait sous l'arbre régulièrement, dans l'espoir qu'il allait rencontrer son frère encore une fois. J'ai essayé de lui parler, mais quand je me suis approchée, il s'est enfui. Quelques mois plus tard, je crois qu'il a perdu espoir, parce qu'il a arrêté de venir dans le parc et je ne l'ai plus jamais vu désormais.

Une chasse singulière

Natalia Nycz

« Le brouillard commence à baisser » a dit Bernard en prenant son fusil et son sac, « le temps est parfait pour chasser ». Il a quitté sa maison de bois. L'air était humide et il n'y avait pas de vent. Bernard allait toujours avec le vent, jamais contre le vent, parce que le gibier sentirait son odeur. Le silence était omniprésent. Il était cinq heures du matin, alors, le soleil n'était pas encore levé. Quand il a quitté sa maison, il a aperçu un moineau sur le banc de la terrasse. Bernard s'est arrêté un moment. Il s'est imaginé sa femme, Béatrice, assise sur ce banc, avec un livre et une tasse du thé au citron. C'était son lieu préféré. À ce moment-là, il y avait le moineau au lieu de Béatrice, et Bernard ne la verra plus sur ce banc ni nulle part ailleurs. Après quelques minutes de silence, il a souri tristement et a continué à aller vers la forêt. Le chemin vers la forêt était étroit et un peu tortueux. Les arbres étaient partout. Ils étaient très grands et de formes variées. On pouvait apercevoir des fleurs des champs, et beaucoup de branches partout. Avant d'aller chasser, Bernard a premièrement visité la tombe de Béatrice, qui était située à environ cent mètres de la maison, parmi des arbres. Le tombeau était entouré de fleurs. Sur le tombeau il y avait gravé le nom, la date de naissance et de mort de Béatrice, et parce que Pétrarque était son poète préféré, il y avait aussi un poème de lui :

Se lamentera augelli

Si les pleurs des oiseaux, ou les verts feuillages

dans le frêle mouvoir de la brise d'été,
ou le sourd ruissellement de l'onde sage
s'entend d'un rivage fleuri et ombragé,
c'est là que je suis, pris d'amour et que j'écris ;

Ce que le ciel nous donna, la terre nous l'a pris
je vois, sens et comprends qu'elle est en vie
et que de très loin elle répond à mes soupirs.
– Allons, pourquoi te consumes-tu avant l'heure ?
Dit-elle avec compassion ; – et pourquoi demeurent
sur tes tristes yeux, de si douloureuses larmes ?

Ne t'afflige pas, parce qu'en mourant ma vie
devint éternelle ; et c'est dans la lumière,
quand mes yeux se fermaient que je les ai ouverts

Comme chaque fois en visitant le tombeau, il a fait le ménage autour du tombeau, enlevé des petites branches et des pommes de pin tombées sur le tombeau. Après ça, il est allé vers un petit chemin au sud. Il y avait une prairie avec beaucoup de fleurs qui portaient des couleurs très vivantes et belles, à tel point que c'était peut-être la plus belle peinture, celle de ces beaux paysages qui ne sont jamais peints. Comme chaque fois, il a cueilli un petit bouquet de bleuets et l'a mis sur le tombeau. Enfin il pouvait aller chasser. La lumière du soleil passait lentement à travers les branches. Il devait être un peu incliné, et aussi très concentré sur les bruits et les mouvements dans les buissons. Parmi le silence, on pouvait entendre de petits bruissements d'animaux, particulièrement dans un buisson à coté de Bernard. Il s'est accroupi et a écarté une brindille avec curiosité. Sous un arbuste, il y avait des petits hérissons. Il a souri et a continué. Après avoir parcouru environ un kilomètre, Bernard a entendu certains bruits. C'était un sanglier, pas très grand, mais visiblement sain. Il a immédiatement soulevé son fusil, en le pressant un peu plus fort. Le temps a ralenti pour un moment. Le sanglier, qui était situé à vingt mètres de Bernard, n'avait pas aperçu le chasseur. Soudain, Bernard a tué le sanglier. Il n'était pas pour Bernard, le chasseur ne tuait pas d'animaux seulement pour les manger après. Ce sanglier était promis à un boulanger de la ville, avec qui Bernard avait un accord. Deux ou trois fois par semaine, le boulanger rendait visite à Bernard, lui donnait du pain et d'autres types de nourriture, en échange de gibier. Ce boulanger

était le seul ami de Bernard. Il s'appelait Hugo. Il n'était ni jeune ni vieux. Ce gros homme de petite taille, aux cheveux roux, qui n'était pas seulement une personne très amusante, mais aussi un bon ami. Il aidait Bernard pour les achats, et en échange, Bernard l'aidait souvent avec des problèmes plus moraux ou au sujet de la vie. C'était parce qu'Hugo était une personne ouverte, bavarde. Ils aimaient s'asseoir à table près de la maison de Bernard, et boire du café. De temps en temps, Hugo arrivait en retard, à cause de beaucoup de clients dans la boulangerie. Mais on pouvait sentir quand il arrivait, parce que le parfum des chaudes baguettes montait dans l'air.

Il était neuf heures. Le soleil était de plus en plus haut. Il faisait un peu chaud, mais pas suffisamment pour ne pas avoir un pull. Juste au moment où Bernard a fini la préparation de la viande pour Hugo, il a entendu un bruit de rameaux qui se cassaient. Il a soulevé son godet préféré qui était rempli de café tellement chaud qu'on pouvait distinguer la vapeur montant au-dessus du godet.

– Enfin! Ton café est presque froid! a-t-il dit sans avoir tourné la tête vers Hugo.

– Excuse-moi, mais il y avait une querelle entre des vieillards à la boulangerie, au sujet du prix des baguettes aux grains... Ces imbéciles ne comprennent pas que j'utilise des ingrédients plus chers pour la cuisson de ces baguettes! a crié vivement le boulanger furieux.

Après un court moment, il a ajouté plus calmement :

– Mais Bernard, je t'ai apporté des légumes frais, du lait, des œufs, quoi encore.... oh! Du pain! Ton préféré, avec des graines de tournesol! Et aussi, comme tu m'as demandé, j'ai apporté aussi du thé et du café.

Avant qu'Hugo ne continue à parler énergiquement, Bernard a souri en disant tranquillement :

– Merci, la viande est prête. Comment ça va? Tout va bien, à part la querelle à la boulangerie?

Ils se sont assis sur le banc près de la table. Il y avait du vent, mais délicat et assez agréable. Hugo disait tout ce qui lui passait par la tête. Quelques minutes plus tard, il a dit quelque chose qui a fait que Bernard a levé les yeux sur Hugo :

– Hier j'ai vu ton fils, Victor, avec ta petite fille à la boulangerie. Cette fille est très amusante, et intelligente! Elle souriait et riait pendant presque toute la visite à la boulangerie...

Bernard a souri, mais il est immédiatement devenu triste. Amélie, sa petite fille ne pouvait pas voir son grand-père. C'était parce que Victor en voulait à Bernard de n'avoir pas évité la mort de Béatrice ou qu'il pensait que c'était la faute de Bernard. La vérité était un peu différente. C'était un accident. Un sanglier s'est approché de la maison de Bernard et Béatrice. Ça n'était pas quotidien. Le gibier ne s'était jamais approché de la maison, à l'exception de faons perdus. Mais c'était une exception. La truie avait perdu ses enfants. Elle avait paniqué, et quand elle avait aperçu Béatrice près de la maison, avec un chat sur les genoux, et elle avait furieusement attaqué Béatrice. Quand Bernard avait accouru et tué la truie, c'était trop tard. Son fils avait rejeté la faute sur Bernard. Depuis l'accident, Victor ne voulait plus être en contact avec son père. Et le plus triste était que Bernard ne pouvait plus voir sa petite fille. Elle lui manquait beaucoup :

– Allô, Bernard, tu m'écoutes ? a demandé Hugo d'une façon calme et attentionnée.

– Quoi ? Oui, oui, je t'écoute. Excuse-moi, je... Je n'ai pas vu Amélie depuis longtemps. Je n'arrive même plus à l'imaginer, il a tristement déclaré.

– Ne t'afflige pas ! Un jour, tu verras cette fillette...

À ce moment-là, Hugo ne savait pas quoi dire. Chaque fois où Bernard devenait triste, Hugo tentait de changer le sujet de la conversation. Soudain, Hugo a presque sursauté d'excitation et a crié :

– Bernard ! J'ai presque oublié ! Est-ce que tu as entendu la dernière nouvelle ?

– Dis-moi, comment je serai au courant, si tu es la seule personne qui me rend visite ?

Hugo a ri :

– Ah oui, oui. Mais c'est une chose incroyable ! J'ai appris ça d'un vendeur qui a son petit magasin à côté de moi, qui a appris ça de la fleuriste d'en face, qui a appris ça de...

– Va à l'essentiel ! l'a interrompu Bernard, irrité.

– Ah oui... qu'est-ce que je disais ? Ah oui ! J'ai appris qu'il y a quelque chose dans la forêt. Quelque chose... d'extraordinaire.

Hugo a changé expression. Il n'était plus si excité et amusant, il était plus sérieux. Au contraire, Bernard a éclaté de rire pour la première fois.

– Quoi d'extraordinaire ? Je connais cette forêt mieux que moi-même ! Il n'y a rien d'extraordinaire. Je n'ai jamais compris pourquoi chaque habitant a peur de la forêt. Extraordinaire... Ha ! Tu sais comment me faire rire, Hugo, tu sais...

Après ça, Hugo a écarquillé les yeux et dit :

– Mais Bernard, il y a quelques personnes qui déclarent qu'ils ont vu une chose brillante, éblouissante... Une personne a tenté de la tuer, mais quand il est rentré de la forêt, il ne pouvait pas raconter ce qui s'était passé. Je pense que c'est suffisamment extraordinaire !

Hugo n'était pas seulement effrayé, mais aussi excité. Cependant Bernard n'était pas effrayé, il était intéressé par cette nouvelle « chose » dans la forêt. Bien sûr, il était presque sûr que c'était seulement un potin, mais si c'était vrai... Et alors ? Bernard avait vu beaucoup de grands et effrayants animaux dans la forêt, il en avait tué beaucoup. Mais jamais quelque chose... d'extraordinaire.

– Assez ! Ça ne peut pas être vrai, a-t-il constaté sans hésiter. Mais si c'est vrai... Demain, j'irai à chercher dans la forêt de bonne heure cette... chose. Et si je la trouve, je la tuerai en un clin d'œil ! Bernard a dit ça en exagérant, et s'est mis à rire.

Ils avaient parlé jusqu'à ce que le soleil soit à son plus haut point dans le ciel. Quand Bernard est entré dans la maison, il s'est lavé les mains, et puis il a commencé à préparer le repas. Sa maison n'était pas grande, mais était très agréable, presque douillette. Auparavant, quand Béatrice était vivante, leur maison était plus chaude, plus fleurie, plus entretenue, il y avait beaucoup de fleurs entourant la maison. Depuis la mort de Béatrice, il n'y avait plus de fleurs, seulement des fleurs des champs. À la maison, il n'y avait pas de désordre, mais on pouvait sentir la tristesse quand on y entrait. Il n'y avait plus de joie. Même l'horloge sonnait les heures de façon différente. À ce moment-là, on pouvait écouter le sifflement de Bernard, et sentir le parfum du thé et des légumes.

Le matin suivant, Bernard s'est levé à environ quatre heures. Il a préparé du café et des œufs brouillés avec une baguette. Puis, il a pris place devant la table, où il y avait des accessoires pour la chasse, par exemple des couteaux de différente taille. Après avoir mis toutes les choses importantes dans son sac, il a pris le chapeau qui était sur la table et il l'a mis sur la tête. Ce chapeau était unique. Bernard le portait chaque fois quand il allait chasser. Il l'avait reçu de Béatrice plusieurs années avant. Il était de couleur brune, avec un ruban vert. Ce qui faisait que le chapeau était unique, était la plume qui y était attachée. Bernard a trouvé cette plume quand, enfant, il était allé chasser avec son père pour la première fois. C'était un sentiment remarquable. Quand ils étaient dans la forêt, ils avaient aperçu un bel oi-

seau, haut dans le ciel. Son père voulait le tuer, mais Bernard avait crié de ne pas le faire. Son père était furieux, alors ce n'avait pas été la meilleure des chasses. Le chapeau allait parfaitement à Bernard. Il n'était ni grand ni petit, il était de taille moyenne. Il portait des vêtements vieux et usés, mais un peu élégants. Il était toujours en chemise avec des bretelles, et presque toujours avec un nœud papillon. Toujours bien coiffé. Malgré son âge, il faisait l'impression d'un fort, vif homme. Peut-être que c'était parce qu'il vivait de façon saine. Néanmoins, il avait les cheveux gris et des rides. Son visage était généralement triste et déprimé.

L'horloge a sonné cinq heures. Bernard a quitté sa maison, pour apercevoir le dense brouillard. « Mince... Le brouillard ne baissera pas vite aujourd'hui » a dit Bernard dans sa barbe. Après avoir visité le tombeau, il s'est mis en route. De temps en temps, des oiseaux gazouillaient de façon agitée. Quelque chose était différent. On ne pouvait rien entendre, à l'exception des oiseaux. Ni les animaux, ni le vent, rien. Quelques kilomètres plus tard, toujours rien. Il semblait que tous les animaux s'étaient cachés. Mais pourquoi ? Bernard était inquiet, presque effrayé. Il y avait quelque chose dans la forêt. Et ce n'était rien de bon. Bernard a aperçu un petit lièvre parmi les herbes. Il était mort. Soudain, le lièvre a bougé. Bernard restait debout dans l'étonnement. Le lièvre s'est levé et s'est enfui. « Mais... Mais il était mort... », a-t-il chuchoté à lui-même. Puis, tout à coup, il a entendu certains bruits derrière des arbres, comme le battement de grandes ailes. Le brouillard était tellement dense, qu'il pouvait seulement viser cette créature, et prier pour ne pas être tué. C'était la première fois depuis longtemps que Bernard était vraiment effrayé. Ils n'avaient jamais eu une situation comme ça. On ne sait pas pourquoi Bernard allait lentement vers la créature. « Tu avais raison, Hugo... il n'y aura pas de meurtrier dans ma forêt... », a-t-il chuchoté. Puis, il tendait vers l'inconnu. Quand il s'est rapproché, premièrement il a aperçu de la lumière partout. La créature s'est dévoilée en voltigeant au-dessus de la terre. Bernard était tellement effrayé qu'il a visé instinctivement la créature. Un instant après, il a regardé cet animal. C'était un oiseau étrange, très, très grand. Il était beau à tel point que le fusil de Bernard est tombé à terre. Il était à tel point intimidé par la beauté de cet oiseau qu'il ne pouvait plus bouger. C'était un Phénix. Il a volé près de Bernard, évidemment pour le blesser, parce qu'il était aussi effrayé que Bernard. Tout à coup, le Phénix a aperçu le chapeau de Bernard et l'a fait tomber. Bernard ne savait pas pourquoi il avait fait ça, ou quoi faire dans cette situation. Le Phénix

tournoyait à la ronde quelques fois, et s'est envolé calmement. Bernard était sûr que l'oiseau le tuerait. Après un moment à réfléchir, il a regardé son chapeau. « La plume... La plume est la même que les plumes de cet oiseau! » Il s'est souvenu de la chasse avec son père. C'était la même créature. Bernard s'est rendu compte de l'importance de la situation. Si la créature ne l'avait pas tué, ça signifiait qu'elle faisait confiance à Bernard. Il l'avait sauvée une fois, il pouvait la sauver encore une fois. « Je promets de te protéger, il n'y aura plus personne dans cette forêt qui voudra te tuer... Je promets », a-t-il chuchoté en larmes en regardant le ciel. Il avait trouvé une nouvelle raison de vivre.

Le peintre

Aleksandra Andrukowicz

– Mais elle t'a vraiment quitté ? Une femme élégante refaisait son maquillage devant un miroir sans mouvement. Elle envisageait de sortir au bal, auquel elle n'arriverait jamais.

– Désolé, elle était vraiment joviale, j'adorais son sens de l'humour. Un homme chauve comme un œuf était assis sur son lit, mais ne pouvait pas même bouger la main.

– Oui, oui, arrêtez ! Je sais tout !

– Arrête de te fâcher, mon cher, cela est tout à fait de ta faute. C'est toi qui es méchant et aigre...

Vincent s'est levé de la chaise et leur a donné un coup de pied.

– Vous êtes bêtes, vous êtes tous bêtes, vous, imbéciles !

Il criait et pleurait. Des telles situations se répétaient régulièrement. Ses amis l'accusaient d'être antipathique, asocial... Ses amis ? Quels amis ? « Ce ne sont même pas des gens, des personnes réelles. Ce sont seulement de stupides tableaux », a-t-il pensé.

Seulement ou de plus ? Les tableaux qu'il avait peints étaient ses seuls amis. Vincent détestait la société qui lui avait fait tellement de mal. Quand il était petit, les enfants se moquaient de lui, à cause de son visage peu agréable. Sa frustration était parvenue à son apogée au moment où il enseignait à l'Académie de Beaux-arts et qu'aucun de ses étudiants et de ses collègues ne considérait ses œuvres comme de l'art avec un grand A. Dorénavant,

Vincent avait décidé que les seules personnes avec lesquelles il voulait passer son temps, étaient les personnages peints sur ses toiles et sa femme, Véronique.

Eh oui... Véronique. Vincent l'aimait tellement mais il ne savait pas le lui montrer. Ils ont passé ensemble toute leur vie. Et maintenant elle l'a quitté et il est resté solitaire. Un bizarre vieillard et ses tableaux... Cela ressemblait à une comédie, mais sans personne qui ne riait.

– Alors, c'est fini. J'en ai marre de vous. Je dois me créer un partenaire avec qui j'aurai envie de parler et qui ne me jugera point.

– Et qu'est-ce que tu as l'intention de faire ? Sortir de la maison ? ironisait la femme d'un de ses tableaux.

– Peindre mon autoportrait.

– Vincent, ouvre la porte, c'est moi, Pierre!

Le peindre restait insensible. Ce n'était pas la première fois que son frère essayait de le forcer à changer. Pierre était un homme de succès : deux enfants, une belle femme, sa propre galerie au centre de Paris, des invitations aux salons. Et Vincent ? Une petite chambrette dans le grenier d'un immeuble, un salaire de misère, dont il dépensait la majorité pour les peintures et les toiles. Sa (maintenant ex-) femme travaillait comme cuisinière avec ses mains blessées et fanées au contact des éponges rêches.

– Vincent, ouvre ! J'ai fait des achats pour toi. Ne sois pas sot...

– Je n'ai pas besoin de ton aide, Vincent a ouvert la porte avec un visage fâché.

– Ah oui ? Tu as vendu n'importe lequel de tes tableaux ? As-tu suffisamment d'argent pour survivre jusqu'à demain ?!

– Ce n'est pas ton problème.

– Si, parce que tu es mon frère ! Et je me préoccupe de toi. Moi et toute ma famille ! Arrête de mordre la main qui te nourrit !

Un long silence, un regard dans les yeux.

– Bien, entre. Mais n'essaye pas de me faire des reproches.

Son frère était un homme bien baraqué qui pouvait se permettre de s'habiller avec les meilleurs vêtements. Sa famille était parfaite. Une femme avec l'air d'un mannequin, des enfants fréquentant la meilleure école et jouant du piano. Bien sûr qu'il aidait Vincent au moins essayait, parce que l'artiste ne voulait jamais de sa pitié.

– Tu es sûr que tu ne veux pas emménager chez nous ? Nous avons une chambre libre...

– J'en suis sûr, Pierre. Je ne suis pas aussi jeune que toi, mais je ne suis pas non plus un raté... Je crois que je peux me débrouiller.

– Oui, je vois... je vois aussi comment tu réussis à vendre tes tableaux.

Pierre a souri ironiquement en regardant quelques toiles.

– C'est déjà trop ! Sors ! Vincent a crié. Sa fierté était vexée, son frère essayait de lui montrer une nouvelle fois sa supériorité.

– Toute notre enfance tu te moquais de moi, tu étais toujours le « meilleur » fils ! Assez, je n'ai plus besoin de toi. Je m'en fous de ta vie réussie, de ta fille idéale, de ta maison et de tes voitures ! Je ne veux pas de ton aumône.

Pierre est sorti et Vincent a commencé à pleurer. Il ne pleurait pas souvent. Presque jamais. Mais, alors, il sentait plus fortement qu'il n'avait personne près de lui. Que personne ne s'intéressait à lui. Tous ses tableaux étaient muets. La pièce était remplie de ses pleurs. Vincent sentait de chaudes larmes sur ses joues. Comme un enfant, il avait l'impression qu'avec chaque larme la frustration et la colère coulaient hors de lui.

Privé d'émotions, Vincent était assis près du chevalet pour commencer l'œuvre de sa vie. Ses doigts étaient habitués au pinceau, mais non à se peindre lui-même. L'homme se regardait dans un miroir et contemplait son visage. Les rides étaient plus profondes qu'il l'avait pensé. Ses sourcils broussailleux étaient froncés, ce qui lui donnait l'air menaçant. Les yeux, jadis bleu clair, étaient vagues. « Je suis laid..., a-t-il pensé, un vieillard acrimonieux seul au monde... »

Bleu. Une couleur parfaite. La couleur de la tristesse ; de la mélancolie. Vincent a pressé le tube de la peinture outremer qu'il adorait depuis toujours. Il a commencé à marquer le contour de son visage : irrégulier, un peu déformé comme s'il coulait de la toile. Il se sentait d'un côté comme Picasso, un artiste-légende et de l'autre comme un enfant qui essayait de créer quelque chose qui au moins ressemblerait à la réalité. Il n'était jamais tellement stressé en peignant. À ce moment-là, quand-même, il lui semblait que toute sa vie dépendait de ce portrait. Comme s'il pouvait changer complètement sa vie.

Vincent a peint toute la journée. Il n'a pas mangé, bu ou fait le ménage. Il fumait une cigarette après l'autre et tenait le pinceau au-dessus la toile avec les mains frissonnantes.

Deux semaines sont passées Vincent peignait, peignait et peignait. C'était comme une sorte de transe. Après un peu de temps, il avait l'impression que le monde était tout bleu, gris et violet, comme son tableau. Ses compagnons peints ont arrêté de parler avec lui, ils le regardaient seulement avec un mélange de curiosité et de distance.

Le silence extraordinaire a été rompu par des pas dans l'entrée. Vincent était terrifié, il était sûr qu'il n'y avait personne dans l'appartement. Le plancher a grincé, la lumière dans la cuisine s'est allumée. Sur son dos, l'homme a senti de la sueur froide. « C'est fini ? » pensait-il. Mais ce qui était étrange, c'était le fait que Vincent, à part de la peur, sentait une sorte de soulagement. Peut-être qu'il serait tué, et tous ses problèmes se finiraient. Peut-être que personne ne pleurerait auprès de lui. Du coup, il n'avait rien à laisser dans le testament : les tableaux ? Quelques fringues ? Le chevalet avec un pied cassé ? Il a commencé à faire ses adieux au monde, quand il a senti une main sur son épaule.

– Bonsoir, il y a pas mal de bazar, n'est-ce pas ?

C'était elle ! Il aurait reconnu cette voix à l'autre bout de l'univers : douce comme le chant d'une alouette.

– Qu'est-ce que tu fais ici ?

– Tu me manques.

Elle avait des larmes dans les yeux, un visage pâle, les lèvres tremblantes, elle avait peur :

– J'ai besoin de toi.

Il n'a rien dit, il la regardait seulement avec méfiance. Ce n'était pas un rêve ; peut-être une hallucination après avoir inhalé tant de terpentine et de fumée. Il rêvait tout éveillé ? Non, c'était la réalité. C'était Véronique qui lui parlait. C'était Véronique qui venait de l'embrasser. À ce moment-là, il était rempli de la joie et de tranquillité. « Alors, cela veut dire que je suis heureux ! »

D'habitude, Vincent détestait les matins. Il était un noctambule : pendant la nuit il se sentait à l'aise. Il n'y avait personne dans les rues, des gens se cachaient dans leurs petits appartements en rêvant des vies qu'ils n'auraient jamais eues. Mais ce matin, Vincent s'est réveillé en sentant l'odeur

de la femme de sa vie tout près de lui. Il a soulevé la main pour caresser ses cheveux longs et... Rien. Vide. Une literie fripée et encore chaude du corps qui y était il y avait encore quelques minutes. Il s'est levé violemment et a regardé à côté. Elle n'était pas là. Elle n'était nulle part dans la chambre. Il n'y avait pas ses vêtements, ses chaussures... Seulement son odeur et une petite feuille sur l'oreiller.

Mon chéri,

Pardonne-moi ce que je t'ai fait. Je suis consciente que c'était infantile, stupide et irresponsable. Je sais que j'ai éveillé encore une fois tes sentiments pour moi. J'admets ma faute. Mais comprends-moi, s'il te plaît, je t'aime encore, tu me manques. Moi aussi, je suis seule et abandonnée par tout le monde. Mais nous ne pouvons pas vivre ensemble, parce que cela nous tue tous les deux. Oublie cette nuit, oublie ce matin, oublie tout notre passé et vis ainsi de suite sans te retourner.

La tienne, toujours amante,

Véronique

Quelques jours sont passés. Vincent a fini son autoportrait. Ce qui lui restait à peindre, c'étaient les lèvres pour qu'il puisse parler. « Enfin ! C'est la fin de ma solitude. Dès ce moment, il y aura seulement moi et mon cher ami, la meilleure toile que je n'ai jamais peinte. Un partenaire pour une conversation de haut niveau. De niveau supérieur. »

Il a mis toutes ses œuvres dans une cave, les couvrant d'un drap. Aucune d'entre elles n'a rien dit. Elles n'ont même pas soufflé un mot.

Quelques derniers mouvements du pinceau, quelques traits, une petite tache de couleur, en forme de lèvres.

– Eh alors, mon frère. Ou bien mon fils ? Bonsoir.

Silence.

– Allô ? Tu es sourd, toi ?

Un silence très profond. Un silence qui se trémoussait dans ses oreilles.

– Qu'est-ce que tu penses ? Qu'est-ce que je pense... Je me demande si mon âme est pareille à ton visage. Je parierai que oui.

Mais il n'a rien dit. Vincent a essayé encore une fois. Et encore, et encore. Après une semaine, il a arrêté. Le portrait ne disait aucun mot. Il n'a rien répondu. Jamais. Vincent, désespéré, fâché et presque fou, a décidé de détruire cette créature. Il l'a jetée dans le feu et il a regardé le tableau brûler.

À ce moment-là, Vincent s'est rendu compte qu'il s'était trompé. Il pensait qu'il était le meilleur, qu'il était un homme plus intelligent que tous les autres. Mais c'était une erreur. Sa solitude et son approche de la vie le rendait si bizarre et si isolé que même son autoportrait ne voulait pas lui parler. Qu'il ne pouvait pas s'endurer lui-même.

Vincent a disparu. Il a quitté son appartement et on n'a jamais plus entendu parler de lui. Ce qui est resté, ce sont ses tableaux dans la cave et les yeux mélancoliques de Véronique qui attendait son retour jusqu'à sa propre mort.

L'absence

Kalina Gałęcka

« Nous sommes tous ici pour honorer la mémoire de Corneille Ledoux qui était une personne très sympathique et toujours souriante. Nous vous remercions de nous avoir donné la joie et l'amour de la vie. Corneille était pour nous un grand soutien. Puisse ton âme reposer en paix. Je veux donner la parole à Roman Ledoux. »

« Corneille sera toujours mon amour, le plus grand amour de ma vie. Nous nous sommes rencontrés dans un petit village sur la côte du Brésil. La pauvreté, le malheur et la tristesse était partout, mais cela n'a fait que renforcer l'empathie et le désir d'agir de Corneille. Je suis tombé amoureux. C'était un coup de foudre. Elle était comme un ange exilé sur une terre diabolique. Corneille a consacré un temps immense à aider les autres. Elle a soumis son propre bien-être au bien-être d'autrui. Elle était sensible, elle avait beaucoup lu et avait de vastes connaissances ; elle était une magnifique créature de ce monde qu'elle voulait changer en aidant le Tiers-monde. Je ne comprends pas pourquoi elle est morte si jeune. Je te remercie, ma chérie, tu as changé ma vie et grâce à Toi, Corneille, je suis devenu une meilleure personne. Merci. »

Il s'agissait de deux discours qui étaient prononcés pendant mon enterrement, j'écoutais et voyais tout. Le prêtre a pensé qu'il avait dit des choses sublimes, mais à vrai dire, il ne savait rien à propos de moi, ma famille

non plus. Ils pensaient que je risquais trop ma vie quand je suis partie au Brésil et que j'étais fermée d'esprit car je passais beaucoup de temps dans des livres. Seul Roman me comprenait.

Je sentais que j'étais morte mais j'avais la possibilité de lire dans les pensées des participants aux funérailles. C'était merveilleux de découvrir leurs secrets triviaux. À côté de mes parents, il y avait une jeune fille. Anne était ma cousine de moins de dix-sept ans. Elle était impatiente, elle a essayé d'enlever le téléphone de la poche pour vérifier les avis sur Instagram, à propos d'un concours de beauté qui avait été organisé par une blogueuse bien connue. Un homme derrière mon père pensait qu'il voulait rentrer chez lui et regarder des films pornos, car il ne ressentait pas le besoin de me faire ses adieux. Il m'avait vu une fois par an durant Noël. Une femme qui était un peu dans le fond a compté l'argent dans sa tête en se demandant si elle possédait une quantité suffisante d'argent pour ses extensions de cils du lendemain. De plus, mon cousin Paul regardait à la dérobée sur Tinder où il flirtait avec des femmes en oubliant qu'il avait une épouse. Il y avait aussi ma professeure de lycée à qui j'avais confié mes secrets, mais, après que j'ai quitté l'école, on ne se parlait plus jamais parce que « Je n'ai pas le temps » ; « Je ne suis pas disponible ». À côté de Roman, il y avait ma cousine que je n'avais pas vue depuis longtemps. Victoria a retroussé une manche pour regarder sa montre. À ce moment-là, j'étais choquée. Je savais avant qu'elle n'était pas heureuse dans son mariage, mais quand j'ai remarqué de grands bleus sur sa peau, j'ai pris conscience de la gravité de son problème. Victoria se sentait seule avec ses problèmes. Elle voulait quitter son mari, mais où pourrait-elle habiter après ? Comment pourrait-elle gagner son pain ? Les mêmes questions étaient nées dans la tête de Victoria. Elle était impuissante.

Je voyais mes funérailles comme une troisième personne. Je sentais tout, je savais tout mais je ne pouvais rien faire. J'étais accrochée entre le monde réel, où j'avais vécu, et l'espace vide d'un autre monde. Je sentais ce que sentaient les autres : la tristesse, la douleur de ma famille et le dégoût des gens qui ne voulaient pas être ici. Je ressentais non seulement leurs émotions mais aussi leurs pensées licencieuses. Leur enchaînement d'idées était sans valeur et médiocres pour moi. Une idée naissait dans ma tête : est-ce que dans ce monde il y avait encore des valeurs ? Où chercher des modèles ? Les gens devenaient indifférents aux autres : ils s'intéressaient seulement aux choses banales, privées de signification plus profonde. Leurs pensées

étaient salies par l'encombrement d'informations. On vivait dans une société concentrée sur les réseaux sociaux où on idéalisait la vie et où on mentait. On choisissait des droits simples, toujours pour notre bien, on était des égoïstes qui cherchaient leur propre désir. Les jeunes, en majorité, s'intéressaient aux choses banales comme le maquillage bien fait, les rendez-vous, les belles photos, la possibilité d'aller au club pour « oublier ». Rien n'était une valeur en soi, il n'y avait aucune décence. Partout il y avait la nudité, la stupidité, l'irréflexion et la simplicité (dans un sens négatif). Même la mode a changé ; beaucoup de jeunes filles s'habillaient de la même façon : en jeans et en t-shirts qui dévoilaient leur nombril, c'était pour moi le symbole de l'universalité, mais cela ressemblait à une grande masse de créatures identiques avec un téléphone -le porte-bonheur du XXI^{ème} siècle- dans leurs mains. Le problème était qu'il n'y avait pas de valeurs claires comme dans les siècles précédents, il n'y avait pas d'autorité, il n'y avait pas d'idée qu'on voulait suivre. Tout était plongé dans le chaos. Le chaos des possibilités et des innovations technologiques où il n'y avait plus de place pour la lecture, l'humanisme. Tout était basé sur la vitesse, les émotions, les sensations. Il y avait trop d'informations qui étaient des détrit.

En un moment tout a changé, je n'étais plus au cimetière. Je me suis réveillée dans un atelier où il y avait plusieurs personnes. J'y étais pour la première fois. Tous les regards des participants étaient sur moi. À ce moment-là, j'ai remarqué que j'étais assise complètement nue en face de tous ces gens. Ils me dessinaient. La tranquillité, la paix et le silence étaient venus sur moi. C'était incompatible avec mon caractère, parce que je n'ai jamais aimé regarder des gens nus ou montrer mon corps nu. J'avais une aversion pour le corps humain. Pour moi, la nudité était le tabou et en même temps la sainteté. J'ai été surprise par moi-même de ne pas vouloir quitter la salle. Je regardais autour de moi, les étudiants étaient debout à côté de leur chevalet en louchant sur moi. Toutes les personnes dessinaient ma silhouette nue. Dans la salle, il faisait chaud, les rayons du soleil tombaient par la fenêtre ouverte. Il me semblait que dans la salle, il y avait un vrai bazar, car il y avait plusieurs gens et peu de place. De plus, beaucoup de tableaux étaient accrochés sur le mur. J'étais assise sur un grand fauteuil mou. Ma position était confortable. Une chose m'a frappée : pourquoi j'étais ici et pourquoi j'avais accepté d'être nue ?

Les cours sont arrivés à leur terme, j'ai vu tous les tableaux avec ma silhouette sous des angles différents. À ce moment-là, j'étais agitée. Soudain, j'ai senti la honte. Toutes les images se sont mélangées dans mon imagination, cela ne pouvait pas être moi. Je n'avais jamais accepté de participer à cet événement.

Chacun de nous est apprécié par les autres, nous sommes observés et «dessinés» comme Corneille. C'est inévitable mais on ne peut pas perdre notre identité et la difficulté c'est de savoir se lever, s'habiller et sortir de l'atelier. De l'atelier de la faiblesse.

5^{ème} partie :
Voyages à haut risque

La passion

Wiktoria Tupta

Je m'appelle Sarah, j'ai 16 ans et je viens de perdre mon foie. Je plaisante, mais j'ai failli le perdre. Mon histoire a commencé au début du mois de septembre. Tous mes camarades se moquaient de moi parce que j'étais la seule pucelle au collège de Rome. Cela me tourmentait tous les jours, alors j'ai décidé de m'inscrire sur un réseau social, Tinder. C'est une application très répandue mais peut-être que certains de vous ne la connaissent pas. Elle consiste à choisir une personne en se référant à ses photos. De cette façon, on indique si on apprécie un autre utilisateur. Lorsque l'attraction est réciproque, les deux personnes sont mises en relation et peuvent échanger des messages. Une application fait défiler des profils d'utilisateurs sur plusieurs critères, entre autres sur la position géographique. Mon meilleur ami, Nathan m'a déconseillé ce réseau social en disant que cela ne peut pas marcher, mais j'étais vraiment déterminée et j'ai ignoré sa remarque. J'ai flirté avec beaucoup de garçons mais celui qui a attiré mon attention était Amadou, un jeune étudiant en Erasmus. Il est venu en Italie pour six mois et on s'est rencontrés plusieurs fois à Rome. Maintenant je regrette chaque minute passée avec lui...

Le premier rendez-vous avec Amadou a eu lieu à la mi-septembre. Florence se trouve à 300 kilomètres de Rome donc il est venu me voir en voiture. Ce jour-là, il faisait très chaud, donc j'étais en robe et lui en short.

Il m'attendait devant le Colisée, le lieu d'intérêt majeur de la capitale de l'Italie. Il m'a reconnue toute de suite et s'est approché de moi d'un pas ferme et rapide. Je ne savais pas comment lui dire bonjour et de quoi parler, alors je souriais seulement. Par contre Amadou n'était pas si timide et mon embarras ne l'a pas découragé. Nous avons fait une grande promenade dans le centre ville et on l'a finie dans un petit restaurant au bord du fleuve. Puisqu'il faisait nuit, il a choisi une table à la terrasse avec des bougies. Comme il était romantique ! Il a commandé des poireaux au roquefort pour deux en entrée, un dindonneau braisé au champagne et un risotto aux truffes comme plats principaux et deux crèmes brûlées pour le dessert. C'était le meilleur dîner de ma vie. Il m'a parlé beaucoup de sa famille, de son enfance difficile et de ses études. Après cette soirée, je le trouvais sympathique, sincère et très honnête. Mon amant de Tinder venait à Rome chaque samedi avec un bouquet de fleurs et une boîte de chocolats. Il m'a vraiment gâtée et m'a fait prendre 3 kilogrammes ! À chaque rencontre, j'étais de plus en plus amoureuse de lui. Nathan m'a avertie plusieurs fois mais j'étais totalement aveuglée par Amadou.

Vers la fin d'octobre, il m'a déclaré son amour et m'a invitée chez lui en Turquie pour les vacances de Noël. Personnellement, je ne me sentais pas prête pour partir toute seule chez un homme que je connaissais seulement depuis quelques semaines. Cependant, toutes mes copines essayaient de me persuader d'y aller. Il n'y avait personne qui pouvait m'aider à prendre cette décision. Je n'ai pas pu dire à mes parents que je passais mon temps avec un Turc de 25 ans car ils me disaient toujours que la différence d'âge était un obstacle dans une relation sérieuse. En plus, comment leur dire que je serais absente pendant Noël ? De l'autre côté, il y avait près de moi Nathan, mais il ne paraissait pas assez mature pour me donner des conseils concernant les hommes. Je le traitais comme mon frère cadet qui avait besoin de sa grande sœur. Étant au point mort, j'ai décidé de jeter une pièce de monnaie. Pile, je pars, face je quitte Amadou. On pourrait penser que c'est une façon assez infantile de résoudre un problème, mais il ne faut pas attendre une grande pondération de la jeune fille que j'étais. Malheureusement, après avoir jeté la monnaie, j'ai vu pile. Je ne vais jamais plus écouter la voie de mon cœur.

Comment aurais-je pu convaincre Sarah de ne pas aller en Turquie avec ce mec qui éveille les soupçons ?! Est-ce que je ne lui ai pas donné assez de signes qu'elle me plaît ? Peut-être qu'elle voulait me rendre jaloux ? Non, cela n'a aucun sens, elle ne l'aurait pas fait avec un Turc. Je fais tout pour son

bien et tout le monde voit mon engagement dans cette amitié. Puisque on se connaît depuis l'école primaire nous avons vraiment un lien très fort entre nous. Pendant ce temps, nous avons connu des épreuves. Nous avons été dans les meilleures et les pires situations mais on s'en est toujours tiré heureusement. Elle est mon âme sœur, ce qui signifie beaucoup pour moi. Bien que Sarah soit intelligente, compétente, sérieuse et équilibrée, parfois elle prend des décisions trop rapidement et sans réflexion. Comme celle de son départ à Havza chez Amadou. Pendant 2 jours, je n'avais aucun message pour savoir comment elle allait. Je supposais qu'elle n'avait pas d'Internet ou qu'elle voulait profiter du temps avec Amadou. En réalité, elle a été maintenue sous perfusion. Comment aurai-je pu me douter de cela ! Un mec mystérieux de 25 ans qui s'intéresse à une jeune fille aux cheveux blonds semble absolument suspect. Par son incompréhensibilité et son mystère, il inspirait une certaine fascination chez Sarah. Cependant, il a abusé de sa curiosité, car cette méthode lui a servi à manipuler ma meilleure amie. Son but était évidemment de la tromper. Si je vous dis quelle était son intention vous ne le croiriez jamais. À savoir qu'Amadou a invité une Italienne chez lui en vue d'obtenir un foie pour son frère malade. Tout le monde est au courant de la tentative de trafic d'organes mais il y a peu de gens en Europe qui entrent en contact avec ce phénomène. En Turquie, le nombre de greffes illégales augmente sans cesse. Je n'aurais jamais cru que cela allait arriver à Sarah ! En plus, la chasse aux personnes à la peau blanche y devient de plus en plus populaire. D'après la croyance locale, les organes de gens avec le teint pâle paraissent plus fiables et crédibles et peuvent apporter du bonheur. Parfois je regrette d'être blanc...

Qu'est-ce que je fais ici ? Où suis-je ? Comment est-ce possible ? C'étaient les trois premières questions que je me suis posées en me réveillant sur une table d'opération à 3 000 km de chez moi. Que je suis naïve ! Dès le début, il fallait écouter Nathan et ne pas créer de compte sur ce réseau à la noix ! En Italie, Amadou semblait gentil et digne de confiance, mais ce n'était qu'un masque. Il avait envisagé précisément mon enlèvement alors que moi, je n'ai pas pris aucunes précautions. Il a endormi complètement ma vigilance. Je suis arrivée à l'aéroport de Havza samedi soir. Amadou est venu me chercher en voiture. Le trajet de l'aéroport à sa maison a duré trois heures, donc avec la fatigue, je me suis immédiatement endormie. Comme j'étais irresponsable ! Pendant que je dormais il m'a fait une piqûre de somnifères. De cette façon, dimanche matin, je me suis retrouvée dans un débarras sur

une table d'opération. Après quelques minutes, je me suis rendu compte de ce qui m'arrivait. J'ai pensé que j'étais dans la pire situation, mais heureusement j'ai aperçu que j'avais mon portable dans la poche. Tout de suite, j'ai envoyé à Nathan ma position géographique et un court message « Au secours ». Quelques minutes plus tard, j'ai entendu le son de la sirène de la police. J'étais sauvé ! Amadou ne se dresserait pas longtemps contre les policiers. D'abord ils l'ont mis en état d'arrestation et puis, ils l'ont mis aux fers. Ils avaient mené une enquête sur Amadou il y a longtemps déjà et finalement ils ont réussi à l'attraper. Il s'est avéré qu'il avait dirigé un groupe turc responsable de plusieurs greffes illégales. À part moi dans la maison d'Amadou, il y avait aussi trois filles qui ont survécu. Maintenant nous sommes les meilleures amies et on se voit tous les 3 mois.

Après mon retour à Rome, je n'ai rien dit à mes parents. Seulement Nathan partage ce secret avec moi et on le tiendra pour toujours. Je sais que je peux lui faire confiance et compter sur lui indépendamment des circonstances. Malgré l'histoire tragique de Tinder et grâce à Amadou, je me suis liée à Nathan et maintenant je suis la personne la plus heureuse du monde.

Un mystérieux voyage

Léanne

La journée du 24 avril était une journée splendide. Le soleil à son zénith réchauffait les dos des passants, les arbres pliaient sous le poids des fleurs blanches, l'herbe scintillait dans les tons de vert, les oiseaux ont commencé leurs douces chansons. Cette journée a été une vraie surprise parmi les jours affreux et sombres de ce printemps. Cette atmosphère heureuse et détendue a fait que Tim ne pouvait pas se concentrer sur ce qu'il faisait tous les jours au travail : le calcul des impôts, le remplissage des formulaires de crédit, compléter les cases bancaires sur l'ordinateur... Il ne se souciait pas même de son passe-temps favori : la lecture des statistiques des taux de change. Une seule idée errait dans son esprit : la France.

Ah ! La France... La Tour Eiffel, des vins exceptionnels et des fromages, de belles femmes françaises en bérets ! Un rêve enfantin inaccompli... ! Comme ce serait merveilleux d'y aller, même pour une semaine ! Tim ne pouvait pas se libérer de ses pensées. Des piles de documents sur son bureau lui rappelaient la réalité. Il fallait travailler. Il se promit, cependant, de ne pas renoncer à la réalisation de ce rêve.

Une semaine après, il était assis dans son fauteuil d'avion et pensait à son voyage, qui avait été soigneusement préparé. Il s'imaginait son hôtel cinq étoiles dans lequel il avait réservé une suite de luxe avec un jacuzzi. Il

s'imaginait comme il marcherait à travers les charmantes rues de Paris et mangerait des croissants avec de la confiture dans les petits restaurants, et comme ce serait merveilleux de monter dans un bus touristique et de rouler à travers Paris en entendant les histoires tumultueuses du passé de ce pays.

Ces pensées heureuses l'ont si détendu qu'il est tombé dans un sommeil béat.

Plusieurs heures plus tard, il a été réveillé par la voix agréable de l'agent de bord annonçant la fin du voyage. « Ah! Enfin ! » a pensé Tim en jaillissant de l'endroit pour attraper ses bagages. Mais dès qu'il a quitté l'avion, toute la joie du voyage l'a quitté. Le paysage s'étendant devant ses yeux ne ressemblait pas du tout à ceux de la France ! Tim, surpris par cette découverte a laissé échapper ses bagages. L'avion a atterri sur une piste rectangulaire recouverte de béton. Autour de lui, il n'y avait pas de bâtiments. Les autres passagers sont montés à bord des voitures à la hâte. Tim a couru à l'un d'eux et a crié :

– Attendez ! Où sommes-nous ?

Mais ils avaient l'air de ne rien comprendre. En utilisant des gestes, ils lui ont montré qu'il pouvait aller avec eux. Tim regardait frénétiquement autour de lui. La place était déjà déserte. N'ayant pas de choix, il est entré dans la voiture. Pendant le voyage, il a essayé de parler avec des expressions faciales et des gestes, mais toutes ses tentatives pour communiquer avec les autres causaient un haussement d'épaules ou un sourire. Le manque d'espace libre et la chaleur rendaient le trajet inconfortable. Enfin, la voiture s'est arrêtée. Le village apparaissait devant ses yeux, dont parvenaient des bruits d'animaux, de marchandage dans une langue incompréhensible pour Tim, et l'odeur des épices. Il a poursuivi les autres passagers de la voiture, qui se sont dirigés vers le marché.

Il était entouré d'une foule de gens, certains d'entre eux essayaient d'inciter le client à acheter leurs produits, d'autres de négocier un prix plus bas, d'autres bavardaient. Les éventaires étaient couverts de plats orientaux, de tissus colorés, de bracelets, d'ornements, de cages avec des animaux, de chaussures, de vêtements... Il était certainement dans un pays d'Asie. Tim a parlé à l'une des personnes à côté de lui, à cause de l'agitation, cependant, il a dû crier pour qu'elle puisse l'entendre. L'indigène a regardé Tim comme s'il était fou et est parti. Tim a essayé à nouveau. Il s'est dirigé vers un étal, et aussi fort qu'il le pouvait, il a demandé :

– Quel est cet endroit ?

Cependant, la femme à qui il parlait a commencé à parler dans une langue étrangère lui faisant un geste hostile. Le jeune homme à côté d'elle a commencé à crier. Tim voulant éviter les problèmes potentiels s'est dirigé vers une autre direction. Il a forcé son passage à travers la foule en essayant de sortir du marché. Fatigué, il s'est assis un moment sur les marches d'une maison voisine. Il a vu au loin quatre hommes vêtus d'un uniforme de police.

– Ouf, je suis sauvé, ils m'aideront ! pensait-il.

Il s'est levé et s'est mis à marcher vers eux. La police, cependant, a sorti une arme et l'a dirigée vers lui. Ils l'ont menotté et sans un mot d'explication, ils lui ont dit d'aller avec eux. Tim, choqué et consterné, a essayé de résister, mais les hommes avaient l'avantage du nombre. Tim essayait de les convaincre de son innocence mais ils ne l'ont pas compris. Ils n'ont pas même montré la volonté de comprendre.

Il a été placé dans une cellule où il y avait déjà quinze prisonniers. Certains restaient debout près des grilles, d'autres dormaient, certains jouaient aux cartes sur le sol. Il n'y avait pas de lits ni de chaises, juste un espace vide. Tim a été horrifié par toute la situation actuelle, il savait qu'un mauvais mot ou un geste pouvait se finir tragiquement pour lui. Il savait qu'en cas d'attaque par d'autres prisonniers, il n'avait aucune chance. Alors, il s'est assis tranquillement. Pour un instant. Jusqu'au moment où dans la cellule est entré un homme corpulent, musclé, grand avec une barbe noire et un regard hostile, qui a regardé autour de lui. Ses yeux se sont arrêtés sur Tim. L'homme l'a appelé dans une langue étrangère. Tim avait peur et était confus. Il ne savait pas comment se comporter : si c'était une question à laquelle il ne répondait pas, il aurait des problèmes. Si c'était une commande à laquelle il n'avait pas réagi, il allait avoir encore plus de problèmes. Et si c'était une insulte... Afin de se sauver de l'oppression, il a dit :

– Je ne comprends pas, et il a étendu ses mains dans un geste d'impuissance.

Il espérait que l'homme le prendrait pour un étranger et le laisserait en paix. L'homme l'a approché, il a saisi ses vêtements à deux mains... et il l'a jeté contre le mur. Tim est tombé au sol. Les gens autour restaient immobiles, Tim a essayé de se lever. L'homme a fait trois pas dans sa direction, l'a frappé avec toute sa force. Tim a hurlé de douleur. S'appuyant contre le mur, il s'est levé et essayait de rester debout devant son nouvel ennemi. L'homme

a essayé de le frapper avec son poing droit, mais Tim a esquivé et a commencé à contre-attaquer.

Il a frappé son adversaire dans l'estomac, puis dans la mâchoire inférieure. L'homme s'est penché en arrière à cause de la force de l'impact. Tim n'a pas perdu de temps et lui a donné plus de trois coups. L'homme épuisé tenait à peine sur ses pieds. Tim voulait lui donner un coup de pied dans la cuisse gauche, mais l'homme l'a saisi par la jambe et l'a tiré vers le haut. Tim a atterri sur le sol. De la position couchée sur le dos, cependant, il a frappé l'agresseur dans le tibia et, profitant d'un manque d'attention, il s'est levé. Il estimait qu'il pouvait gagner cet affrontement. Son ennemi en face de lui s'est penché en haletant lourdement. Tim, quand il voulait infliger le coup final, a senti que quelqu'un le tirait. Deux hommes forts l'ont saisi par les bras pour qu'il ne puisse pas bouger. Son adversaire s'est mis à rire triomphalement et sinistrement. « C'est fini » a pensé Tim. L'adversaire a tiré un couteau.

Tim essayait avec le reste de ses forces de se libérer, mais ses tentatives se sont soldées par un fiasco. L'homme a parlé une fois encore. Tim, bien qu'il ne comprît pas la langue, savait exactement ce qu'il a dit « Tu es mort. » Il l'a lu dans son langage corporel. Soudain, dans la cellule ont couru vingt officiers armés en criant et en brandissant des armes. Tim a entendu quelques coups de feu d'avertissement. La police a attrapé l'homme et ses assistants, le reste des prisonniers a reçu l'ordre de se placer contre le mur avec les mains derrière la tête. La cellule était étouffante et bruyante, tous étaient confus et on pouvait sentir la peur dans l'air.

Tim a senti que quelqu'un tirait ses cheveux. Quelqu'un l'a ramassé du sol et l'a poussé vers la sortie. Tim n'ayant pas conscience de ce qui se passait, ne résistait pas. Quelqu'un lui a mis un sac noir sur la tête et lui a demandé d'aller de l'avant. Tim avait l'impression qu'il était entré dans une chambre. Quelqu'un l'a poussé sur une chaise et a soulevé le sac noir. Devant les yeux de Tim apparaissait une salle d'interrogatoire. Devant lui, il y avait une table, et de l'autre côté de ce meuble se trouvait une femme d'âge moyen avec une expression faciale sévère.

- Bonjour, M. Tim Willson. Vous vous demandez probablement ce qui se passe. Eh bien, je suis ici pour vous l'expliquer. Vous êtes une victime de

contrebandiers. Vous souvenez-vous qu'un certain vieil homme vous a demandé le chemin à l'aéroport ?

– Je me souviens.

– Eh bien, cet homme s'appelle Jack Rosenberg, il est trafiquant de drogues et de biens de luxe. Il vous a passé un petit paquet.

– Quoi ? Quel paquet ?

– Ce paquet était rempli de rares émeraudes précieuses. Ces pierres devaient être fournies à un autre contrebandier. Vous avez été dirigé vers le mauvais avion, et quand vous êtes sorti, un homme en voiture les a volées. Vous êtes allé en prison sous l'accusation de contrebande, et l'homme contre qui vous vous êtes battu était l'acheteur d'émeraudes. Cependant, les enquêteurs ont pu éclaircir la situation et vous exclure de la liste des suspects. Vous serez envoyé au consulat où vous serez dirigé chez vous. S'il vous plaît signez le protocole, a dit la femme en lui donnant un document.

Tim se sentait comme dans un cauchemar. Il était confus et effrayé. Il voulait rentrer chez lui et oublier de tout ce qui s'était passé. Et il l'a fait, deux semaines après. Cette histoire improbable revenait dans ses rêves. Il est devenu un homme plus sérieux et sombre.

Ce qui se passe quand tu commences à parler à une fourmi...

Solomiya Petrovych

Je m'appelle Miracle et je voudrais vous raconter l'histoire de toute ma vie. Maintenant, j'ai quatre-vingt-six ans et je vais vous raconter comment j'ai essayé de réaliser mon rêve. Donc, on commence...

Tout a changé en 2141 : ma passion (je suis presque devenu fou avec mes idées bizarres), mes plaisirs (les vis et les tournevis sont devenus mes meilleurs amis, ce qui est assez intéressant à cette époque où on n'a plus besoin de rien. Ni même besoin de construire quelque chose car tout avait été fait avant. Qu'est-ce qu'inventer ? Comment laisser une empreinte dans l'histoire du monde ?), mes amis (je n'ai jamais eu de camarades parce que j'étais très timide et j'avais peur de communiquer avec les gens. Mais dès que j'ai commencé à me connaître, j'ai rencontré ma meilleure amie qui est devenue l'amour de toute ma vie) et le monde en général. J'avais presque treize ans au moment où j'ai décidé de construire ma propre fusée pour voler vers Mars. C'était une folle idée et je le savais, mais, en même temps, j'avais de l'inspiration. Ainsi je me suis engagé dans ce travail.

Il faut que vous sachiez que j'ai toujours adoré les trains. Ce sont des machines qui roulent, composées de beaucoup de wagons, qui vont dans

différentes directions en transportant des gens et des matériaux. Les conversations avec des gens de hasard m'absorbaient complètement. Pendant chaque voyage, je découvrais quelque chose d'énigmatique pour moi. Les passagers partageaient leurs expériences et j'apprenais beaucoup de nouvelles choses. Vous pourriez deviner que l'idée de construire ma propre machine de vol est née lorsque je suis allé vers une très belle ville de mon pays, Genève. La dame qui vendait les biscuits dans le train m'a proposé des bonbons avec des noisettes, ceux que je préférais. J'étais donc prêt à une virée très intéressante. Après le troisième bonbon, sans aucun doute, j'ai ouvert le suivant. Ici m'attendait une surprise... Une petite fourmi a attiré mon regard. J'étais stupéfait. Fureur ! Qui est-ce qui avait oublié une fourmi dans mon bonbon ? C'était assez drôle et je l'ai presque jeté dans une poubelle. Soudain, elle a commencé à parler. Dans ma tête résonnait la seule question : « MAIS QUOI ? » La fourmi avait la voix d'un homme solide qui fumait beaucoup. D'abord, je ne la comprenais pas, mais après quelques instants, je parlais avec elle. Elle m'a dit seulement quelques phrases après lesquelles j'ai commencé à penser que j'étais devenu fou. Premièrement, la fourmi (appelons-la Catherine) m'a arraché la promesse de ne parler à personne de ce qu'elle me dirait. Par la suite, Catherine a prédit mon avenir. Elle me recommandait de chercher mon chemin dans la construction de voitures car elle considérait que j'aurais pu changer le monde en faisant des trucs comme ça. Évidemment que sans Catherine mon plan de construire l'avion du cosmos ne se serait jamais incarné dans la réalité.

En ce siècle-ci, on ne possède plus de trains car tout est remplacé par les véhicules magnétiques. Ils ne roulent pas, mais ils volent grâce aux particules magnétiques enterrées sous les routes qui sont aussi dans les voitures. Mes doux souvenirs d'enfance. Dommage... Plus de trains, plus de bonbons, plus de fourmi parlante... Un tel grand dommage ! C'est vraiment incroyable comme notre planète a pu changer en si peu de temps. Des trains terrestres à des autos volantes, des vacances à Hawaï à des vols sur la Lune, des délicieux plats dans nos assiettes à des repas en tubes, de l'école primaire à l'auto-éducation... Je ne sais pas si c'est quelque chose à voir avec moi où avec cette Planète.

* * *

Le jour suivant après la rencontre avec Catherine (elle a décidé de rester dans le train, mais je ne pouvais pas imaginer qu'elle allait apparaître

de nouveau dans ma vieillesse), je me suis jeté sur la planification de mon travail. Bien sûr que ma mère et mon père ne soupçonnaient rien du tout. Qu'est-ce que je pouvais dire ? Ma mère travaillant avec des gens et mon père étant programmeur, je ne sentais pas la solitude parce que je devais toujours répondre aux attentes et il y avait tout le temps quelque chose à faire. Comme mon père aimait ma mère ! C'était une sorte de très bel amour incompréhensible. Je les adorais comme ils s'adoraient eux-mêmes. À propos, le stéréotype selon lequel chaque enfant unique était très arrogant n'était pas pour moi. Ma grand-mère m'appelait le garçon du soleil... À l'école je n'avais pas d'amis probablement parce que je portais des chaussettes de couleurs différentes. Mes camarades de classe ne m'insultaient pas mais ne bavardaient pas avec moi non plus. Je pourrais vous raconter l'histoire de ma famille assez longtemps mais je dois continuer notre aventure.

Je décidais de travailler dans le garage de mon père non loin de la maison. Presque dix minutes à pied, près d'une forêt avec de grands arbres. Je détestais ce lieu car il était assez gris. Mon plan était de faire une boule avec des matériaux légers dans laquelle je devais être assis et qui pouvait me transporter sur Mars à grande vitesse. Le matériel pour l'extérieur, le siège, la boîte à boutons etc. Tous les détails que j'ai trouvés dans le garage étaient essentiellement importants. D'être capable d'utiliser toutes mes connaissances et de créer un véhicule qui pourrait contenir seulement une personne et atterrir sur Mars, c'était l'action d'un hurluberlu farfelu. Néanmoins, il y restait encore quelques lacunes dans mon plan et dans le travail. Les manuels de physique m'aidaient beaucoup. Comme je voulais piloter moi-même, il n'était pas difficile de faire un modèle de véhicule volant et de faire un vol d'essai. Je planifiais de commencer le lendemain mais, tout d'abord, j'ai demandé des conseils à mon vieux voisin. Zut ! J'avais oublié encore une chose... Le moteur... Chez moi, il ne marchait pas et je ne savais pas pourquoi... Il fallait demander à mon voisin. C'était un vieil homme à la retraite qui ne posait jamais de questions inutiles. Le voisin avait des moteurs car il travaillait dans ce domaine. Donc, il était d'accord pour me donner un moteur-fusée et de vérifier toutes les choses. Ce vieillard m'a promis que sept jours plus tard le moteur serait prêt. C'était comme ça. Il me restait seulement quelques détails à corriger et à fixer. J'ai connu la frousse et la nervosité. Le rêve de toute ma vie ! Quel bonheur !

Grâce à Dieu, mon père avait oublié son garage et toutes les choses qui lui étaient liées. S'il était venu chez moi pendant mon travail ici, il aurait pu perdre conscience. Le garage était devenu le lieu de construction de la machine qui devait conquérir le cosmos. Des détails en désordre, des dessins avec mes pensées, des vis et des tournevis, des écrous et toutes sortes de choses qui pouvaient paraître un peu bizarres. C'était mon atelier créatif d'où je tirais une source d'inspiration pour le travail. Il me restait encore à équiper le cockpit et à déterminer le jour exact de mon vol. J'espérais terminer avant la fin de la semaine pour aller dans le cosmos samedi. Je travaillais donc comme un fou. Jeudi, j'allais voir encore une fois mon voisin. Il fallait lui dire un grand merci car sans son aide je n'aurais pas pu réussir. Il m'avait assuré de garder mon secret et il m'avait souhaité un bon décollage. Je me sentais bien. Mais en même temps, j'avais mal au ventre. Peut-être, ce devait être comme ça.

* * *

Le jour suivant, je le passais aussi à travailler. J'ai fait les dernières préparations. Je dois vous dire la vérité – j'étais ému et stressé en même temps. Soudain, j'ai remarqué un cheveu sur le sol. Je pouvais supposer qu'il appartenait à une jeune fille blonde. Mais comment était-elle arrivée dans mon garage ? J'ai passé presque tous les jours ici et le garage était fermé quand je n'étais pas là. Étrange... J'ai décidé de ne pas remettre à plus tard mon plan et de seulement observer cette fillette. Dans ma tête, il y avait beaucoup de questions et de doutes. Je me suis caché sous une grande table. Elle ne pouvait sûrement pas me voir. J'attendais pendant une heure, deux heures, trois... Ça suffisait ! Était-il possible que le vent ait apporté ce cheveu ? Tout à coup, quelqu'un a frappé à la porte. C'était elle. Des cheveux longs, des yeux bleus, vêtue d'une robe rouge. Elle était très belle. Elle s'est approchée de moi... Pour un moment, je pensais que j'étais tombé amoureux. Mais non. Elle m'a donné une gifle. Je lui ai donc demandé ce qui s'était passé. Brièvement, elle m'a dit que mon idée n'était pas assez importante. Elle a affirmé que mes parents s'inquiétaient et elle aussi. La fillette a dit que c'était bizarre et elle voulait me persuader de ne pas faire cela. Il s'agissait de mon vol. « Tu ne pourras pas revenir de Mars, criait-elle, est-ce que tu le comprends ? ». Je n'entendais rien. C'était mon plan. Point. C'était mon rêve. Je n'ai pas répondu à cette fille. Elle est partie en pleurant. J'ai pris la décision de faire mon vol tout de suite.

* * *

C'était la nuit. Il faisait bon. Nul nuage ne couvrait le ciel. La fusée que j'ai enlevée du garage me semblait parfaite. Aucune rayure, la peinture brillante - c'était exactement ce dont j'avais besoin. Je me suis assis confortablement. Le panneau de commande brillait. J'ai poussé le bouton de démarrage. Un, deux, trois... J'ai décollé de la terre. Brr... Cinq secondes de vol... Pas mal. *Bing!* Quelque chose a mal tourné. Je ne pouvais pas être déjà arrivé à destination. J'ai ouvert la porte de ma cabine. La nuit... Trop de fumée. C'était moi qui avais mal construit la fusée. Je me suis retrouvé sur un arbre... Amusant ! C'était un arbre de la forêt tout près de mon garage. Comment un enfant pouvait-il descendre de cet arbre ?

Mon vieux voisin m'avait observé ainsi que toute cette drôle situation avec ces conséquences. Il m'a aidé à descendre de cet arbre et a commencé à me raconter une histoire. Il m'a assuré que tout est bien qui finit bien et que c'était son plan. Catherine lui avait rendu visite auparavant et lui avait expliqué ma situation. Elle avait dit que le but de tout cela était de me trouver des amis car dans le train elle avait vu beaucoup de solitude dans mes yeux. Cette fillette, c'était aussi son travail. Donc, pour que vous puissiez comprendre... Après la visite de Catherine chez mon voisin, ils ont collaboré ensemble. Ils voulaient m'inspirer et ils ont réussi. La jeune fille habitait près de moi mais je n'avais jamais prêté attention à elle. Elle était la petite fille de mon voisin ! Nous avons fait connaissance immédiatement après l'histoire concernant mon vol. Maintenant, nous avons trois enfants : deux filles jumelles et un garçon. C'est évidemment elle qui est devenue l'amour de toute ma vie et ma meilleure amie. Tout cela grâce à Catherine et à mon voisin. Tout était prévu. Et je suis heureux que cela soit arrivé dans ma vie.

Maintenant, on peut quand même se moquer de cette histoire vraiment incroyable. Quelle influence ont des petites choses sur notre vie ! Comme tout peut changer en une si petite période de temps ! Stupéfiant !!! La morale est que l'on doit garder chaque moment de notre vie quotidienne. Profiter de la vie et être joyeux. Peut-être que cela est le vrai bonheur qu'on cherche toujours et partout.

Le langage du désespoir

J. Żółty

Dans une petite ville où la vie est simple et où la monotonie quotidienne tue les citoyens, habitait un homme très ordinaire. Mais *ce n'est pas tout à fait* vrai. Il était un peu extraordinaire dans sa banalité. Cela veut dire qu'il n'était pas comme les autres et aussi qu'il n'était ni mieux ni pire. Il était différent. Son nom, Vincent, ses cheveux longs, marron comme l'acajou et ses yeux aussi sombres. Il n'était pas du tout exceptionnel par son visage et il s'habillait toujours modestement, en gris et bleu pour passer inaperçu. Cependant, pendant toute sa vie, il n'avait trouvé rien d'autre que le refus de la société de l'accepter tel qu'il était.

Quand il était enfant, il n'avait ni amis ni ennemis. Toutes les personnes l'évitaient parce qu'elles pensaient qu'il était étrange et bizarre. Son père était déjà mort et sa maman ne s'intéressait pas à lui. Il était donc toujours solitaire et triste. Sitôt qu'il ouvrait la bouche pour parler, toutes les personnes levaient les yeux au ciel et lui disaient en soupirant qu'elles ne l'avaient pas compris du tout. Ils étaient fréquemment irrités par ses paroles. Au fur et à mesure que le temps passait, les problèmes de communication s'amplifiaient et Vincent en avait marre. Il ne comprenait pas pourquoi une seule personne capable de déchiffrer ses phrases n'existait pas. Même quand celles-ci étaient simples et compréhensibles à son avis.

Un jour, c'était la goutte qui a fait déborder le vase. C'était le printemps. Il se trouvait sur le marché où il pouvait acheter des fruits. Au début, le marchand avait l'air d'être de bonne humeur. Il bavardait de sa vie, de sa femme, du beau temps et qu'il allait pleuvoir la semaine prochaine... Mais dès que Vincent a essayé de lui répondre avec toute sa générosité, l'homme a perdu sa contenance et sa figure est devenue un peu dégoûtée. Il a commencé à crier et à ergoter. La rougeur de son visage se fortifiait quand il maudissait et bouillonnait :

– Vous me prenez pour un imbécile, monsieur ?! Ce n'est pas drôle ! C'est scandaleux ! Qu'est-ce que vous pensez en vous moquant de moi de cette façon ?!

Vincent était effrayé. Il ne savait pas ce qui se passait. Vulnérable, il s'est caché derrière son panier parce que le marchand furieux lui jetait des pommes.

– Ne faites pas un tel bruit ! Je ne voulais qu'acheter un fruit !

Il a pleuré et il a quitté le marché en vitesse ayant peur pour sa vie. Il marchait et marchait jusqu'au moment où il s'est libéré de cet environnement artificiel.

À la frontière de la ville, Vincent a regardé derrière-lui. Cette ville où il avait passé son enfance et toute sa vie de 28 ans était calme et mortellement ennuyeuse comme toujours. Malgré cela, il ne s'est jamais plaint. Il s'est habitué à cette tranquillité parce qu'il était aussi un homme très tranquille. Le vrai problème était que cette incompréhension continue avait fini par l'ennuyer. Après tout, c'était impossible de vivre dans un endroit si fermé, provincial et égocentrique à l'infini.

À la fin de cette journée, il a décidé de quitter sa maison et de ne jamais y revenir. Il a fait ses valises et sans avertir personne, il est parti en voyage.

La ville des Impératifs

Sur une petite élévation de terrain, se trouvait une ville sombre, cachée dans le brouillard. C'était la première ville où il arrivait et elle ne semblait pas sympathique. De mauvais pressentiments lui disaient de revenir tout de suite, mais il continuait cependant. Le soleil brillait par une fenêtre quand il est entré dans une taverne. Tous les gens se sont tournés vers lui pour le voir. Ils avaient l'air de ne pas être contents. En les évitant, il louvoyait

entre les bouteilles brisées et les autres déchets et il s'est approché du bar. La taverne n'était pas grande et la fumée des cigarettes donnait l'impression qu'elle était encore plus petite. Autour de lui, l'odeur était aussi désagréable que celle d'un cloaque. Rien de plus que des cadavres d'hommes imprégnés d'alcool glissaient autour de lui sur le plancher gluant à cause de la saleté. En cachant son dégoût et avec tout son courage, il s'est adressé au barriste. Il l'a accosté avec les questions les plus simples. Comment il s'appelait, et s'il aimait son travail.

– D'abord commandez quelque chose.

Telle était sa réponse, très hostile et malhonnête. La voix basse et redoublante de cet homme grand comme une maison et aussi carré suggérait de faire ce qu'il disait. Vincent a donc docilement commandé de la bière, qu'il n'avait jamais vraiment aimée. Il a essayé une deuxième fois en commençant à parler du temps. Il a demandé s'il allait pleuvoir. Mais la réponse du barriste était aussi très banale et étrange.

– Prenez un parapluie, a-t-il répondu en frottant des verres.

Vincent a sourcillé et en ne disant rien, il a bu sa bière à petites gorgées. Cette conversation n'était pas satisfaisant pour lui et il a essayé une fois de plus. Il a demandé s'il y avait quelque chose à faire dans cette ville. Le barriste lui a répondu.

– Allez voir un spectacle ce soir. Aimez-le. Riez, il doit être drôle.

C'était le comble quand même. Cet homme évidemment se moquait de lui. En rougissant de colère, il a frappé la table avec la chope et il est sorti sans aucun mot.

La ville des Questions

C'était dans la deuxième ville où il a réalisé ce qui s'était passé dans la précédente. Il y est arrivé à midi. Les rues débordaient de monde et ce lieu donnait l'impression d'être vivant. Il passait à travers la foule. Beaucoup de gens dans la ruelle si étroite faisaient beaucoup de bruit. L'air était lourd. Quelqu'un criait quelque chose fébrilement. Tout semblait être sous un point d'interrogation. Sa conscience aussi. Ayant mal à la tête, il a décidé de sortir de cet endroit dangereux. Heureusement, le fleuve des hommes l'a emporté et l'a jeté sur la place centrale. Ici, la foule se dérobaient. C'était mieux. Ayant des vertiges qui l'empêchaient de rester stable, Vincent roulait dans ce tumulte. Par accident, il a débusqué un homme mature mais non vieux, qui par son apparence avait l'air d'être un clochard. Habillé en vert

et orange avec des chaussures trouées et des chaussettes dépareillées. Il regardait autour de lui mais sans voir. Sous son bras, il portait un vieux livre, mais il était trop vieux pour un étudiant et trop jeune pour un bibliothécaire. Il s'est adressé à lui avant que Vincent n'ait eu l'occasion de fuir :

– Pardon, m'avez-vous heurté, monsieur ? a-t-il demandé avec exaspération, est-ce que je suis invisible ?

Il n'était pas furieux, plutôt triste, déprimé. Il lui pardonnait, mais l'homme semblait ne pas faire attention à ce qu'il disait. Il a demandé si tout marchait bien. Imaginez sa surprise quand à sa question, il lui a répondu aussi par une question :

– Comment c'est possible d'marcher bien quand le monde ne marche pas ? disait-il avec de l'amertume si forte dans la voix que Vincent pouvait presque la goûter.

Il a souri avec un demi-sourire un peu embarrassé. Cette personne bizarre, ça devait être un philosophe ou un sot total. Il lui a demandé qui il était et ça a causé une réaction forte. Il a levé son regard surpris comme s'il entendait son interlocuteur pour la première fois.

– Qui suis-je ? Qui es-tu ? Qui sommes-nous ? Où nous-allons ? a-t-il répondu.

Un philosophe, donc. Vincent a soupiré et il a décidé de poser une question plus précise. Mais c'était aussi un échec. Il a commencé une deuxième fois, avec une question différente, mais cette fois, la réponse était aussi insuffisante et aussi sous forme de question. Il a abandonné, désespéré. Il a passé quelques rues plus désertes en regardant le sol pavé, et il a commencé à penser. Inspiré par les motifs sous ses pieds, il s'est rendu compte du schéma suivant : si dans la première ville toutes les personnes lui donnaient des ordres et dans la deuxième ils parlaient seulement avec des interrogations, peut-être que les lois qui gouvernent le monde étaient plus compliquées. Avec un reste d'espoir, il est allé chercher d'autres villes avec des gens qui allaient le comprendre. Il a appelé la première « La Ville des Impératifs et des Chefs » et la deuxième « La Ville des Questions et des Philosophes ».

La Ville du Futur

Un cyclone inattendu l'a surpris quand il était en voyage. Le vent, si fort qu'il était capable d'abattre les arbres, hurlait dans les branches. Alors, la forêt n'était pas du tout sûre, mais c'était là où Vincent se trouvait pendant

ce massacre. Heureusement, en se trompant entre les éclairs, il a trouvé le chemin menant à la civilisation. Le tableau d'information disait « La Ville du Futur ». La foudre effrayante a frappé au moment où il le lisait à voix haute, donc sans réfléchir plus longtemps, il a couru vers un abri. Une demi-heure plus tard, quand il s'approchait de la Ville, l'orage s'est calmé. La pluie était plus faible, comme une bruine. Le vent soufflait dans l'herbe arrosée de rosée et le soleil sortait des nuages. Mouillé et triste, Vincent s'est arrêté sur le trottoir d'une des maisons bases. Dans les rues tortueuses, des personnes grises passaient en silence, très occupées avec leurs pensées et leurs douleurs. Un silence dur et inquiétant pesait sur cette ville mélancolique comme une maussade menace. Ce calme était seulement superficiel et il ne concernait pas le tumulte intérieur que les habitants combattaient. Une jeune femme pâle s'est approchée de lui. Elle voulait probablement entrer dans la boutique devant laquelle il s'était arrêté. Elle avait l'air absent mais son visage sévère suggérait qu'elle avait les pieds sur terre. Elle allait presque passer sans le voir, mais il l'a arrêté.

– Pardonnez-moi, vers où mène cette route *que je vois* ? a-t-il demandé en expliquant qu'il était perdu.

Elle l'a examiné au-dessus de ses lunettes carrées. Elle ne portait pas de maquillage voyant et ses lèvres étaient minces. Ses cheveux noirs étroitement serrés avec une belle épingle d'or très chic.

– Vous arriverez au marché, mais excusez-moi, parce que je vais faire des achats, a-t-elle expliqué rapidement avec impatience.

– Quelle hâte vous avez pour faire des achats, lui a-t-il dit.

La réaction de la femme était si forte qu'il s'est effondré intérieurement :

– Mais ça n'ira pas avec le plan. Demain mes enfants vont mourir ! a-t-elle expliqué indignée avec de l'angoisse dans la voix.

Il lui a dit qu'il voulait parler avec elle, mais elle n'avait pas le temps pour ces affaires inutiles. Quand il a essayé de la retenir, elle était déjà partie. Elle a disparu dans la boutique. Puisque la pluie s'était arrêtée, Vincent a commencé à se balader. Il se promenait dans la rue vers le parc. Les hommes le dépassaient rapidement comme s'ils manquaient de temps. Il avait l'impression que leur temps passait plus vite. Tous courraient sans aucune réflexion pour les mots d'un étranger. Si quelqu'un s'arrêtait éventuellement, il considérait immédiatement sa tentative de bavarder librement comme absurde. Tous parlaient comme toujours du futur, de ce qu'ils allaient faire, et ce qui allait se passer le lendemain. Personne n'avait une seule minute pour lui. Il arrivait à la conclusion que ces personnes qui vivaient seulement dans le fu-

tur n'étaient pas capable de penser au présent et de profiter du moment présent. Donc, c'était impossible pour lui de trouver un langage commun avec eux. Il a abandonné cette ville déçu et déprimé. Ici, non seulement le langage posait problème, mais aussi la façon de vivre et de considérer la réalité.

Fatigué, il s'est arrêté à côté d'une ruelle. Il faisait beau, le soleil brillait et le ciel était très clair, sans un nuage. Il s'est assis sur une pierre, la tête cachée entre les bras. Il était proche des larmes. Tout seul et triste. Tout à coup, un carrosse attelé de chevaux frisons noirs qui marchaient avec une grâce incontestable est apparu. Les couleurs de cette machine en bois étaient aussi magnifiques. Un mélange de toutes les couleurs de l'arc en ciel avec une dominance d'orange violet et de vert. Le carrosse était grand et très chic, avec des ornements d'or et des rideaux de la même couleur brillante. Derrière, se trouvait une grande plateforme avec des roues et des petites portes au-dessus du plancher. Le véhicule s'est arrêté comme Vincent levait les yeux en les cachant de la lumière. Il les masquait avec la main en regardant le cocher qui descendait.

C'était un homme de taille moyenne, très beau et soigné. Avec les cheveux blonds, bouclés, noués avec un ruban de couleur bleu céleste et avec les yeux correspondant. Il était bien habillé toujours à la mode, très chic et extravagant plein de couleurs vivantes, intercalées par un fil d'or. Ce qui était exceptionnel et un peu bizarre dans son habit était un grand chapeau richement décoré. Il y avait tout dessus. De fausses fleurs, des cocardes et des papillons, des plumes, de paon même, des pierres précieuses brillant dans la lumière et beaucoup d'autres ornements. Cet accessoire aussi criard que lui le décrivait parfaitement. Son regard était intimidant, aussi intelligent que frivole. Sa petite moustache frisée se mouvait un peu quand il parlait ou souriait glamment.

Il s'est incliné devant lui avec un geste théâtral en agitant son chapeau:

– Bonjour monsieur, mon Dieu ! Vous me semblez perdu, je ne vous ai pas attendu ? Il s'est adressé à lui avec une voix chantante.

– Merci de vous inquiéter mais je vais rester ici, a-t-il répondu tristement et peu favorablement à une discussion qui allait probablement se terminer comme les précédentes.

L'homme fronçait les sourcils :

– Je m'appelle François et j'habite là-bas, a-t-il dit en montrant le carrosse du doigt, il y a beaucoup d'espace, voulez-vous voir le temps qui passe, ou allez chez moi, Gaulois ? Je peux vous ramener sans accusation à votre destination. Comment vous appelez-vous et où voyagez-vous ?

La cascade des mots l'avait noyé et Vincent se sentait cerné et attaqué, il a donc répondu :

– Non, merci, je reste assis.

Mais l'homme insistait et il n'y avait pas d'autre solution que de parler avec lui.

– Quelle est votre direction et le but de vos actions ? a-t-il demandé curieusement.

Il était si énervant que Vincent n'était plus capable de contrôler ses émotions. Il lui a expliqué son attitude et sa situation émotionnelle avec les plus beaux mots. Quand il a eu fini, François a constaté qu'il était très désolé que Vincent ne veuille pas accepter sa proposition parce que la conversation avec lui était vraiment un plaisir. Il s'est tourné et lui a dit au revoir en commençant à partir. Mais cette dernière déclaration était comme un soufflet pour Vincent. Comme le soleil illuminait le jour, il a été aussi touché par une illumination soudaine. Ils parlaient depuis quelques minutes et se comprenait bien, c'était une merveille, la première personne capable d'interagir comme ça. Il a couru jusqu'au carrosse et l'a arrêté. Il lui a demandé s'il le comprenait et la réponse est apparue comme une évidence :

– Bien sûr, et votre réponse est trop dure et me blesse, telle était sa réponse.

– J'ai changé d'avis, je suis à votre service, a-t-il dit en montant dans le véhicule.

Leur voyage a commencé. Vincent était enfin heureux. Il avait beaucoup de questions, mais la première qu'il a posée était évidente. Il a lui demandé qui il était. François s'est défini comme un artiste. Un terme qui n'était pas étrange pour son interlocuteur. Il était toute ouïe, écoutant avec une vraie curiosité ce que son conducteur disait. Il a expliqué que la machine sur le toit de laquelle ils étaient assis, c'était sa maison et sa scène. Il a annoncé aussi qu'il allait donner un spectacle dans la prochaine ville. Il a demandé à Vincent où il allait et ce qu'il voulait faire de sa vie, et il a lui dit qu'il voulait justement joindre une troupe artistique. C'était une bonne nouvelle parce que François a constaté qu'il semblait au premier coup d'œil être fait pour un métier artistique.

Plus tard, comme ils faisaient une halte, Vincent lui a raconté son histoire. Comment il avait été traité dans sa ville natale, comment il avait voyagé de ville en ville et qu'il avait cherché une personne comme lui. Son nouvel ami a expliqué que c'était normal qu'aucune personne n'était capable de comprendre un artiste parce qu'ils étaient des personnages exceptionnels, qui parlaient dans une langue artistique, que les gens ordinaires ne comprennent pas. Mais ce qui était important c'est qu'il fallait devenir un artiste. On peut naître avec cette capacité de parler en rimes, mais pour apprendre à chanter, il faut beaucoup de travail. C'est pourquoi il voulait que Vincent aille avec lui, parce qu'il voyait un potentiel dans sa façon de parler.

Quelques jours plus tard, leur voyage les avait rapprochés. Vincent n'était plus seul. La personne qu'il avait toujours cherchée était là, et l'avait attendu. Bien qu'il s'était presque effondré en perdant la foi en l'humanité, ce voyage valait la peine. Finalement, il pouvait parler avec quelqu'un qu'il le comprenait. Pour la première fois de sa vie, il était vraiment heureux. Mais, malgré tout ça, une certaine différence entre eux était évidente et elle empêchait Vincent de dormir tranquillement. Juste après leur première conversation, Vincent avait constaté que s'il voulait rester ami avec cet acteur, il devrait apprendre à chanter. Il a donc demandé à François de lui donner des leçons et il était très enthousiaste à cette idée. Il a commencé toute de suite et après un peu de temps, Vincent maîtrisait les bases. Pendant ce temps, ils parlaient beaucoup et chantaient en devenant des amis proches. Enfin, il sentait que ce serait la fin de sa recherche et avec elle, la fin de sa tristesse.

Au moment où ils arrivaient à la destination finale, Vincent faisait bonne impression, comme un artiste vrai et entièrement formé.

C'était une ville maritime, avec une grande criée ou travaillait des gens simples et ennuyeux. Ils ne cherchaient que le divertissement pour les détacher de leur vie quotidienne. Le temps libre, ils le passaient dans les tavernes ou dans les fêtes sur la place. C'est pourquoi c'était un lieu parfait pour donner un spectacle. Le carrosse avec les artistes est passé dans des contre-allées et s'est arrêté sur une promenade au bord de la mer. C'était le soir. Le lendemain devait être samedi, le grand jour. L'air était salé et les mouettes criaient au-dessus des têtes des passants arrosés. Francis a décidé

qu'il fallait se reposer un peu avant le spectacle, il se cachait donc dans sa maison à roues et Vincent flânait en ville.

Le jour du spectacle était beau et chaud. Cependant le public arrivait en groupes. Vincent était très nerveux, ce n'était donc pas lui qui allait jouer quelque chose sur la scène. Il observait les gens qui se réunissaient, de derrière les rideaux. Ils avaient l'air d'être ennuyées et apathiques. Il avait peur qu'ils ne soient pas contents du spectacle. Mais comme il avait commencé, et que le musicien qui faisait la première partie est entré sur scène, tous les gens ont arrêté leurs conversations et se sont intéressés à ce qui s'y passait. Vincent était ravi de cette réaction. Il a pensé que c'était formidable de donner un spectacle et d'être apprécié comme ça. C'était incroyable pour lui que toute la salle pouvait être si enthousiaste pour un seul homme. À son avis, le musicien *devait sans doute se sentir fier* et accepté. Evidemment, Vincent voulait être à sa place, mais à même temps, il se disait qu'il ne cherchait pas particulièrement la gloire. Il était un homme modeste. Mais la providence voulait autre chose. Quand il était en train de s'en aller, il a trébuché en tombant directement sur le musicien. Il a fini sur le tapis de la scène devant le public qui a immédiatement éclaté de rire. Tout s'est passé tellement vite que Vincent n'a pas eu un seul moment pour penser. Le musicien était furieux car son instrument avait été cassé. Avant que Vincent puisse l'arrêter, il était déjà sorti de scène. Pour sortir d'une manière ou d'une autre une telle situation et sauver le spectacle, le jeune homme a commencé à amuser le public. Puisqu'ils ne comprenaient rien de ce qu'il disait, ils ont constaté qu'il devait être cet artiste qu'ils attendaient. Ils se réjouissaient et l'acclamaient. Parce qu'aucune aide n'arrivait, il a décidé de chanter la seule chanson qu'il connaissait grâce à son ami. Bien qu'il fût bien encouragé par les applaudissements, il voulait bien sûr annoncer le vrai artiste après son mini-spectacle. Il a chanté avec passion et plaisir, mais cette gloire n'a pas duré longtemps. Quand il jouait son rôle, il a vu François au-dessus de la scène. Il avait l'air triste et furieux. Ses yeux étaient si déçus qu'il semblait au bord des larmes. Il *s'est détourné et s'est éloigné* sans un mot, avant que Vincent n'ait été capable de faire quoi que ce soit. Il n'y avait pas d'autre solution que de maintenir le spectacle et de le conduire jusqu'à la fin. Le bien dans le mal était tel que le public était très content. Il le prenait pour un vrai artiste et il l'applaudissait avec un enthousiasme touchant. Mais sitôt après que Vincent s'est incliné, il est sorti de la scène et il a couru chercher François. Il parcourait toutes les rues en se perdant pendant toute la nuit, mais son ami n'était

nulle part. Quand il s'est retourné, il a constaté avec effroi que leur maison n'était plus là. La place sur laquelle ils s'étaient arrêtés la veille était déserte. Seulement un homme de ménage faisait son travail avec un balai. Vincent l'a approché et il lui a demandé s'il savait où était parti le carrosse. Bin sûr la première fois l'homme n'a rien compris, mais après qu'il a insisté en l'interrogeant, il lui a tout dit. L'artiste était arrivé furieux et immédiatement, il avait commencé à empaqueter ses affaires. Il a dit que l'artiste avait dit qu'il avait été trompé, que son ami lui avait volé son spectacle, qu'il s'était servi de lui pour obtenir la gloire. Il avait aussi ajouté qu'il ne s'était jamais senti aussi humilié et qu'il avait quitté la ville à l'insu de son ami.

C'était une méprise, bien sûr, mais c'était trop tard pour les explications. Il est déjà parti et Vincent était de nouveau abandonné. En fait, il pouvait s'habituer à la vérité que toute sa vie était une grande erreur et un immense malentendu. La gloire et la renommée qu'il avait obtenues n'était pas ce qu'il avait cherché. Le moment de joie s'envolait comme une bulle. Et ce qui était pire, c'était que le public avait demandé un deuxième spectacle pour le lendemain, et il n'y avait ni scène ni une chanson différente à présenter. Il s'est assis sur un banc et là, il attendait le lever du jour.

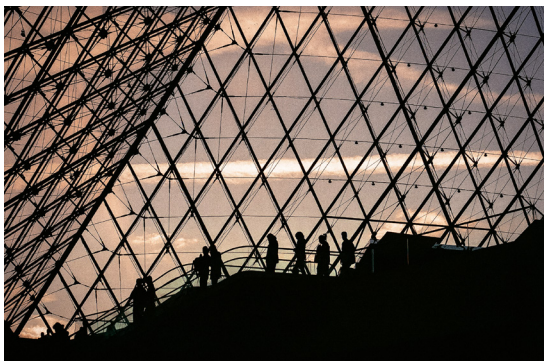
Le dimanche, les gens de la ville se sont réunis encore sur la place. Ils étaient préparés pour un spectacle mais à sa place, ils ont trouvé un homme qui ressemblait plus à un clochard qu'à un artiste. Tout de suite, ils ont réalisé quelle était la situation. Ils l'ont hué et l'ont expulsé de la ville et ses explications vives n'avaient aucune valeur. Il était donc battu et banni, seul et triste, tout à fait comme au début de son voyage.

Il s'est trouvé encore sur la chaussée, assis sur une pierre, au centre de nulle part, sous un seul arbre. Il a commencé à méditer sur sa vie. Il se souvenait de toutes les villes qu'il avait visitées. Il se souvenait aussi de sa maison qu'il avait abandonnée. Il pensait à toutes les personnes qu'il avait rencontrées et il s'engouffrait dans son malheur. Il pensait à la marchande, au barriste, à monsieur le philosophe, à la jeune femme et à François. Enfin, par ce dernier aussi, il n'avait pas été bien reçu. Une vie d'artiste est toujours une vie solitaire et pleine d'abnégation. Mais Vincent, il n'avait jamais voulu être un artiste. Il voulait seulement avoir un ami. Mais, apparemment, il était prédestiné à devenir ce qu'il était devenu. Un homme seul, sans sens à donner à sa vie. C'était pour lui impossible de se retrouver dans un

monde cruel, où personne n'est volontaire pour aider une personne perdue. Chaque vie, sa propre vie. Le monde est plein de fou, et il est le plus grand parmi eux. Tous sont différents et égocentriques. Il n'était pas accepté ou compris donc il n'était pas sorti de cette triste situation. Si personne n'était capable de parler avec lui, il pouvait aussi bien se taire à jamais.

– Dans la société, l'individu est toujours perdu, a-t-il constaté à voix basse et faible.

Il a sorti un couteau de sa poche et il l'a regardé dans la lumière. Il a brillé, menaçant dans un silence absolu et chagrin. C'était une belle journée et les environs étaient calmes, sans personne qui pouvait le déranger. Il a regardé le ciel. Un seul nuage passait à grand peine. À un moment, le cri d'un oiseau a déchiré le silence. Alors, à ce moment-là, désespéré, Vincent s'est coupé la langue. Puis, tranquillement, il s'est levé pour continuer son voyage sans but.



Numer specjalny „Romana” to podwójna radość dla czytelników, redaktorki czasopisma zebrały bowiem w jednym tomie artykuły będące owocem konferencji studenckiej „Wędrówki i tułaczki” oraz zbiór francuskojęzycznych opowiadań pod tytułem *Vertiges* – efekt pracy studentek I roku filologii francuskiej, doskonalących swój warsztat pisarski pod okiem znakomitej lektorki Marie Giraud-Claude-Lafontaine.

Fakt, że redakcja „Romana” mogła opracować ten wyjątkowy numer pisma, świadczy o ogromnym potencjale twórczym studentek i studentów Instytutu Filologii Romańskiej UJ – wszak gdyby nie dostarczyli tak obfitego materiału do publikacji, niniejszy tom nigdy by nie powstał. Formalne i tematyczne zróżnicowanie tekstów, prozatorskie próby najwyższych lotów, jakość merytoryczna artykułów pokonferencyjnych, jak również oryginalne potraktowanie przez Autorki wybranych zagadnień literaturo- i kulturoznawczych, pozwalają nam patrzeć optymistycznie w przyszłość. Mam bowiem nieodparte wrażenie, że redakcja „Romana” zapoczątkowała właśnie nową instytutową tradycję wydawniczą, dzięki której co roku, obok regularnego numeru czasopisma, ukazywać się będzie również jego numer specjalny.

Dr Olga Bartosiewicz,
opiekunka naukowa
Czasopisma Studentów UJ „Roman”